

Tajemnicza wyspa, tom II





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JULIUSZ VERNE

Tajemnicza wyspa

TEUM. J. PŁ.

CZĘŚĆ DRUGA. PORZUCONY

ROZDZIAŁ I

Z powodu ziarnka śrutu. — Budowa czółna. — Polowanie. — Na wierzchołku kauri. — Nic nie świadczy o obecności człowieka. — Wyprawa Naba z Harbertem na ryby. — Przewrócony żółw. — Zniknięcie żółwia. — Wyjaśnienie Cyrusa Smitha.

Minęło siedem miesięcy od dnia, gdy pasażerowie balonu zostali wyrzuceni na Wyspę Lincolna. Przez cały ten czas, mimo tylu poszukiwań, nie napotkali istoty ludzkiej. Najmniejszy obłoczek dymu nie zdradził obecności człowieka na powierzchni wyspy, żaden ślad pracy rąk ludzkich, dawny ani świeży, nie wskazywał na to, że ktoś tu kiedykolwiek przebywał. Wyglądało na to, że Wyspa Lincolna nie tylko obecnie była niezamieszka, ale sądzić należało, że zawsze była bezludna. A oto naraz całe to rusztowanie rozumowań rozsypało się przez małe ziarnko metalu znalezione w ciele niewinnego prosiaka!

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że śrut pochodził z broni palnej, a kto inny niż człowiek mógł używać tej broni?

Gdy Pencroff położył na stole ziarnko śrutu, jego towarzysze popatrzyli na nie z głębokim zdumieniem. W ich umysłach pojawiły się naraz wszystkie możliwe następstwa tego na pozór drobnego, a tak doniosłego zdarzenia. Nagłe pojawienie się jakiejś istoty nadprzyrodzonej nie wywarłoby na nich większego wrażenia.

Cyrus Smith pierwszy, nie wahając się, podzielił się przypuszczeniami, jakie nasunęły mu się w związku z tym równie zadziwiającym, jak niespodziewanym faktem. Wziął ziarnko śrutu do ręki, poobracał je na wszystkie strony, trzymając pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, wreszcie zapytał, zwracając się do Pencroffa:

— Czy może pan z pewnością twierdzić, że raniony tym ziarnkiem śrutu pekari miał nie więcej niż trzy miesiące?

— Tak jest, panie Cyrusie, nie więcej — odpowiedział Pencroff. — Ssał jeszcze matkę, gdy go znalazłem w dole.

— Dowodzi to więc — powiedział inżynier — że w ciągu ostatnich trzech miesięcy na Wyspie Lincolna ktoś strzelał z broni palnej.

— I że jedno ziarnko śrutu — dodał Gedeon Spilet — trafiło, choć nie śmiertelnie, to małe zwierzątko.

— Tak, to nie ulega wątpliwości — ciągnął dalej Cyrus Smith — a wnioski, jakie należy wysnuć z tego faktu, są następujące: albo wyspa ta była zamieszka przed naszym przybyciem, albo też jacyś ludzie wylądowali na niej w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Czy znaleźli się tutaj dobrowolnie, czy też wbrew swojej woli, wskutek zwykłego wylądowania, czy rozbicia się statku? Tę kwestię będzie można rozstrzygnąć dopiero później. Nie mamy podstaw do zgadywania, czy to byli Europejczycy, czy Malajowie, wrogowie czy przyjaciele naszej rasy, nie wiemy też, czy żyją nadal na wyspie, czy też już ją opuścili. A wszystkie te pytania mają dla nas zbyt wielkie znaczenie, abyśmy mogli pozostać dłużej w wątpliwości.

— Nie, po stokroć nie! Po tysiącokroć nie! — wykrzyknął marynarz, zrywając się od stołu. — Oprócz nas na Wyspie Lincolna nie ma innych ludzi! Cóż u diabła! Wyspa nie jest przecież tak wielka i gdyby była zamieszka, musielibyśmy już zobaczyć któregoś z mieszkańców!

— Istotnie, inaczej byłoby to bardzo dziwne — powiedział Harbert.

— Ale byłoby jeszcze dziwniejsze, jak mi się zdaje — zauważył reporter — gdyby ten mały pekari urodził się z ziarnkiem śrutu w ciele.

— Chyba że — odezwał się poważnie Nab — chyba że Pencroff miał już...

— Co?! — przerwał mu Pencroff. — No patrzcie, więc ja miałbym nosić od jakichś pięciu czy sześciu miesięcy ziarnko śrutu w szczęce, nawet się tego nie zauważając? A gdzież by ono siedziało? — dodał otwierając szeroko usta, by pokazać trzydzieści dwa wspaniałe zęby. — Przyjrzyj no się dobrze, Nabie, a jeżeli znajdziesz bodaj jeden spróchniały ząb, to pozwolę ci wyrwać mi pół tuzina!

— Hipoteza Naba jest rzeczywiście nie do przyjęcia — odpowiedział Cyrus Smith, mimo całej powagi zajmujących go myśli nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu. — Jest rzeczą pewną, że najdalej trzy miesiące temu na wyspie padł strzał z broni palnej. Jestem skłonny sądzić, że osoby, które wylądowały na wyspie, albo są na niej od bardzo niedawna, albo też tylko ją odwiedzały; gdyby bowiem ludzie znajdowali się tutaj w czasie, gdyśmy oglądali Wyspę Lincolną ze szczytu Góry Franklina, to musielibyśmy ich zobaczyć lub oni by nas zobaczyli. Prawdopodobnie więc rozbitkowie zostali wyrzuceni przez burzę gdzieś na nasz brzeg dopiero kilka tygodni temu. Tak czy owak, musimy uzyskać pewność pod tym względem.

— Sądzę, że trzeba będzie działać ostrożnie — powiedział reporter.

— I ja tak myślę — odpowiedział Cyrus Smith — ponieważ niestety należy się obawiać, że tymi przybyszami mogą być piraci malajscy.

— Panie Cyrusie — spytał marynarz — czy nie byłoby wskazane, zanim wyruszymy na poszukiwania, zbudować łódź, którą moglibyśmy popłynąć w górę rzeki lub opłynąć wybrzeże? Nie powinniśmy dać się zaskoczyć.

— Pański pomysł jest bardzo dobry, Pencroffie — odpowiedział inżynier — ale nie możemy czekać. A tymczasem na zbudowanie łodzi potrzeba co najmniej miesiąca...

— Prawdziwej łodzi, niewątpliwie — odparł marynarz — ale nam nie potrzeba łodzi, która by wytrzymała podróż morską, ja zaś zobowiązuję się najdalej w ciągu pięciu dni zbudować czółno wystarczające do żeglugi po Rzece Dziękczynienia.

— W ciągu pięciu dni — wykrzyknął Nab — zbudować łódź?!

— Tak, Nabie, łódź na sposób indiański.

— Z drzewa? — spytał Nab z wyrazem powątpiewania na twarzy.

— Z drzewa — odpowiedział Pencroff — a raczej z kory. Powtarzam panu, panie Cyrusie, że w pięć dni z taką robotą można się uwinąć.

— W pięć dni, zgoda! — odpowiedział inżynier.

— Ale do tego czasu dobrze będzie zachować wielką czujność — powiedział Harbert.

— Jak największą, przyjaciele — odpowiedział Cyrus Smith — i dlatego będę was prosił, abyście ograniczyli swoje wycieczki myśliwskie do okolic Granitowego Pałacu.

Obiad skończył się mniej wesoło, niż Pencroff się spodziewał.

Tak więc wyspa miała obecnie lub w przeszłości innych mieszkańców oprócz kolonistów. Od czasu przypadku z ziarnkiem śrutu był to fakt niezaprzeczalny, a odkrycie to wzbudziło w umysłach kolonistów żywy niepokój. Przed udaniem się na spoczynek Cyrus Smith i Gedeon Spilett długo o tym rozmawiali. Zastanawiali się, czy przypadkiem to zdarzenie nie ma jakiegoś związku z niewyjaśnionymi okolicznościami ocalenia inżyniera i z innymi dziwnymi szczegółami, które już kilkakrotnie ich zdumiewały. Wreszcie Cyrus po rozważeniu wszystkich za i przeciw powiedział:

— Krótko mówiąc, czy chce pan poznać moją opinię, drogi panie Spilett?

— Tak, Cyrusie.

— Otóż uważam, że mimo najskrupulatniejszych przeszukiwań wyspy niczego nie znajdziemy.

Zaraz następnego dnia Pencroff zabrał się do pracy. Nie chodziło o zbudowanie prawdziwej łodzi z kompletnym szkieletem i burtami, ale o proste, płaskodenne czółno unoszące się na wodzie, odpowiednie do żeglugi po Rzece Dziękczynienia, szczególnie w pobliżu jej źródeł, gdzie woda była bardzo płytka. Kawałki kory, zszyte razem, wystarczały do utworzenia takiej lekkiej łódki, mającej jeszcze i tę zaletę, że gdyby w razie jakichś przeszkód naturalnych trzeba było ją przenieść, niewielki ciężar i rozmiar znacznie to ułatwiały. Pencroff postanowił zszyć pasy kawałki kory zanitowanymi gwoździami i dobrze je dopasowując, zapewnić łódce szczelność.

Chodziło więc o wyszukanie drzew, których elastyczna i mocna kora nadawałaby się do tego celu. Szczęśliwie ostatni huragan powalił pewną ilość daglezi, szczególnie przydatnych do tego typu konstrukcji. Kilka z nich leżało na ziemi, wystarczyło tylko ściągnąć z nich korę, ale to właśnie było najtrudniejsze ze względu na niedoskonałość narzędzi, jakie mieli koloniści. W końcu jednak się z tym uporali.

Podczas gdy marynarz wraz z inżynierem bez przerwy zajmowali się pracą przy budowie łodzi, Gedeon Spilett i Harbert także nie próżnowali. Zajmowali się dostarczaniem

żywności dla kolonii. Reporter nie przestawał zachwycać się chłopcem, który nabył niezwykłej zręczności w posługiwaniu się łukiem i oszczepem. Harbert również wykazywał się wielką odwagą połączoną z zimną krwią, którą można by słusznie nazwać rozważnym męstwem. Ci dwaj towarzysze łowów, stosując się zresztą do zalecenia Cyrusa Smitha, nie wychodzili poza teren o promieniu dwóch mil wokół Granitowego Pałacu; to jednak wystarczało, gdyż brzegi lasu dawały dostateczną ilość aguti, kapibar, kangurów i pekari, a chociaż od czasu ustania mrozów zdobyczy w wilczych dołach było bardzo niewiele, to przynajmniej królikarnia nie przestała dostarczać swej zwykłej daniny mięsniwa, wystarczającej do wyżywienia całej kolonii na Wyspie Lincolna.

Często w czasie polowań Harbert rozmawiał z Gedeonem Spilettem o ziarnku śrutu i o wnioskach, jakie z tego zdarzenia wyciągnął inżynier, i pewnego dnia — było to 26 października — powiedział:

— Jednakże, panie Spilett, czy nie wydaje się panu nadzwyczaj dziwne, że rozbitkowie, jeżeli jacyś wylądowali na naszej wyspie, nie pokazali się dotychczas w okolicach Granitowego Pałacu?

— Istotnie, to bardzo dziwne — odparł reporter — jeżeli nadal są na wyspie, ale nic w tym dziwnego, jeżeli już ich nie ma.

— A więc sądzi pan, że ci ludzie opuścili już wyspę? — spytał Harbert.

— To więcej niż prawdopodobne, mój chłopcze, gdyby bowiem przebywali tu przez dłuższy czas, a zwłaszcza gdyby tu byli teraz, jakiś przypadek musiałby zdradzić ich obecność.

— Ale jeżeli mogli się stąd oddalić — zauważył chłopiec — to nie byli rozbitkami?

— Nie, Harbercie, albo przynajmniej byli to, że się tak wyrażę, rozbitkowie chwilowi. Bardzo możliwe, że burza wyrzuciła ich na wyspę, ale nie zniszczyła im statku i gdy ustała, wypłynęli znowu na morze.

— Przyznać trzeba jedno — powiedział Harbert — że pan Smith zawsze raczej obawiał się, niż pragnął obecności jakichś ludzi na naszej wyspie.

— Istotnie — odparł reporter — gdyż uważa, że po tych morzach mogą się kręcić tylko Malajowie, a ci dżentelmeni to nicponie, których lepiej unikać.

— A czy nie jest możliwe, panie Spilett — ciągnął dalej Harbert — że pewnego dnia natrafimy na ślady lądowania tych ludzi i wówczas zyskamy pewność?

— Niewykluczone, mój chłopcze. Opuszczone obozowisko czy wygasłe ognisko może nas naprowadzić na ślad i właśnie takich znaków będziemy szukać w czasie najbliższej wyprawy.

W dniu, w którym dwaj myśliwi prowadzili tę rozmowę, znajdowali się w lasach przylegających do Rzeki Dziękczynienia, gdzie rosły niezwykle piękne drzewa. Między innymi wznosiły się tutaj na wysokość prawie dwustu stóp wspaniałe drzewa iglaste, które mieszkańcy Nowej Zelandii nazywają *kauri*¹.

— Mam pomysł, panie Spilett — powiedział Harbert. — Gdybym wszedł na wierzchołek jednego z tych *kauri*, może mógłbym rozejrzeć się po okolicy na znacznej przestrzeni?

— Dobry pomysł — odpowiedział reporter — ale czy dasz radę wdrapać się na sam wierzchołek któregoś z tych olbrzymów?

— Spróbuję w każdym razie — odparł Harbert.

Zwinny i zręczny chłopiec wskoczył na dolne gałęzie, których układ ułatwiał wdrapanie się na drzewo, i ciągu w kilku minut dostał się na sam wierzchołek górujący nad ogromną równiną zieleni, którą tworzyły zaokrąglone korony drzew.

Z tego wysokiego punktu można było objąć wzrokiem całą południową część wyspy, od Przylądka Szponu na południowym wschodzie aż do Jaszczurczego Cypla na południowym zachodzie. Na północnym zachodzie wznosiła się Góra Franklina zasłaniająca znaczną część widnokręgu.

Harbert z wysokości swojego punktu obserwacyjnego mógł rozejrzeć się dokładniej po niezbadanej dotychczas części wyspy, gdzie być może chronili się obcy, których obecność podejrzewano.

¹*kauri* a. *agatis nowozelandzki*, *Agathis australis* (biol.) — drzewo z rodziny araukariowatych występujące na Wyspie Północnej w Nowej Zelandii, wysokie do 50 m, cenione ze względu na swoje drewno i żywicę. [przypis edytorski]

Chłopiec rozglądał się z największą uwagą. Na morzu nic nie było widać. Żadnego żagla, ani na widnokręgu, ani w miejscach dogodnych do wylądowania na wyspie. Ponieważ jednak część wybrzeża zasłaniała gęstwina drzew, możliwe, że jakiś statek, zwłaszcza statek pozbawiony ożaglowania, stał blisko lądu i nie był widoczny dla Harberta.

W Lesie Dalekiego Zachodu też nic nie było widać. Puszcza tworzyła nieprzeniknione dla oka sklepienie, mierzące kilka mil kwadratowych, bez jednej polanki, bez najmniejszego przerzedzenia. Nie dało się nawet śledzić biegu Rzeki Dziękczynienia ani dostrzec miejsca w górach, skąd brała początek. Możliwe, że na zachód płynęły jeszcze jakieś inne rzeki, ale nie sposób było tego stwierdzić.

Jeżeli nawet jednak Harbert nie mógł dostrzec żadnego obozowiska, to czy nie zauważyłby dymu, zdradzającego obecność człowieka? Powietrze była przejrzyste i najmniejszy dymek odcinałby się wyraźnie na tle nieba.

Przez chwilę Harbertowi zdawało się, że dostrzega leciutki dymek unoszący się na zachodzie, ale kiedy przyjrzał się uważniej, przekonał się, że się mylił. Wyteńczył swój bystry wzrok. Nie, stanowczo nic tam nie było.

Zszedł więc z drzewa i obaj myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu. Cyrus Smith wysłuchał opowiadania chłopca, pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Było jasne, że sprawę można będzie rozstrzygnąć tylko po dokładnym zbadaniu wyspy.

W dwa dni później, 28 października, zaszło inne zdarzenie, które trudno było wyjaśnić.

Harbert i Nab, blakając się po wybrzeżu o dwie mile od Granitowego Pałacu, szczęśliwie natrafili na przepyszną zdobycz. Był okaz wielkiego żółwia morskiego z gatunku *Chelonia mydas*², o pięknym, zielonkawym pancerzu.

Harbert zauważył go w chwili, gdy żółw pełził między głazami w stronę morza.

— Do mnie, Nabie, do mnie! — zawołał.

Nab przybiegł.

— Co za piękny okaz! — powiedział. — Ale jak sobie z nim poradzić?

— Nic łatwiejszego, Nabie — odpowiedział Harbert. — Przewrócimy go na grzbiet, to nie będzie mógł uciec. Weź no oszczep i pomóż mi.

Gad, czując niebezpieczeństwo, schował się pod pancerz. Nie było widać już ani głowy, ani nóg, leżał nieruchomy jak głaz.

Tymczasem Harbert i Nab podłożyli okute oszczepy pod mostek zwierzęcia i wspólnymi siłami nie bez trudu przewrócili je na grzbiet. Żółw, długi na trzy stopy, musiał ważyć co najmniej czterysta funtów.

— Świetnie! — zawołał Nab. — To się dopiero mój przyjaciel Pencroff ucieszy!

Rzeczywiście Pencroff na pewno byłby zachwycony, gdyż mięso tych żółwi, żywiących się trawą morską, jest wyjątkowo smaczne. W tej chwili spod pancerza było widać tylko małą, spłaszczoną głowę, rozszerzającą się za wielkimi zagłębieniami skroniowymi, ukrytymi pod sklepieniem kostnym.

— Co teraz zrobimy z naszą zdobyczą? — powiedział Nab. — Przecież nie zdołamy zaciągnąć jej aż do Granitowego Pałacu.

— Zostawimy tutaj — odparł Harbert. — Żółw nie ucieknie, bo nie może się obrócić, a my wrócimy po niego z wózkiem.

— Tak będzie najlepiej.

Zanim jednak odeszli, dla większej pewności Harbert podparł żółwia dużymi kamieniami, co Nabowi wydało się zbyt bezsensowne. Następnie obydwa myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu plażą, którą właśnie szeroko odsłoniło morze w odpływie. Harbert, chcąc sprawić Pencroffowi niespodziankę, nic mu nie wspomniał o wspaniałym okazyje zostawionym na piasku. Dwie godziny później myśliwi wrócili z wózkiem na miejsce, gdzie zostawili żółwia. Niestety, już go tam nie było!

Nab z Harbertem spojrzeli po sobie, a potem dookoła siebie. Przecież to tu, a nie gdzie indziej zostawili żółwia. Chłopiec znalazł nawet kamienie, którymi go podparł, więc był pewny, że się nie myli.

— Coś takiego! Więc te zwierzęta umieją się same odwrócić? — powiedział Nab.

²*Chelonia mydas* (biol.) — żółw zielony (żółw jadalny), gatunek dużego żółwia morskiego o spłaszczonym pancerzu i kończynach przypominających szerokie, płaskie wiosła; waży przeciętnie 70–200 kg, obecnie zagrożony wyginięciem; jego nazwa pochodzi od koloru tkanki tłuszczowej, skorupa ma kolor oliwkowy lub brunatny. [przypis edytorski]

— Na to wygląda — odpowiedział Harbert, który nic z tego nie rozumiał i wpatrywał się w kamienie rozrzucone na piasku.

— No, to pan Pencroff nie będzie się miał z czego cieszyć!

„A pan Smith będzie w niemałym kłopotcie, jak wytłumaczyć to zniknięcie!” — pomyślał Harbert.

— No cóż — odezwał się Nab, który chciał ukryć tę niemiłą przygodę — nie wspomnijmy o tym.

— Przeciwnie, Nabie, wspomnimy, i to szczegółowo — odpowiedział Harbert.

Po czym obaj zawrócili do Granitowego Pałacu, ciągnąc za sobą wzięty niepotrzebnie wózek.

Po przybyciu do warsztatu skutniczego, gdzie pracowali marynarz i inżynier, Harbert opowiedział całe zdarzenie.

— Ach! Niezdary! — zawołał marynarz. — Wypuścić z rąk co najmniej pięćdziesiąt porcji zupy!

— Ależ Pencroffie — tłumaczył się Nab — to nie nasza wina, że zwierzę uciekło. Mówię ci przecież, że przewróciliśmy je na grzbiet!

— To widocznie niewystarczająco przewróciliście — zażartował niedający się ubłagać marynarz.

— Jak to „niewystarczająco”? — zaprotestował Harbert.

I opowiedział, jak zadbał nawet o to, żeby podeprzeć żółwia kamieniami.

— Więc to chyba cud! — zawołał Pencroff.

— Zdawało mi się, panie Cyrusie — powiedział Harbert — że żółwie, kiedy się je przewróci na wznak, nie mogą o własnych siłach stanąć na nogi, zwłaszcza jeśli są tak duże.

— I słusznie ci się zdawało, mój chłopcze — odpowiedział Cyrus Smith.

— A więc jak to się mogło stać?...

— W jakiej odległości od morza zostawiliście tego żółwia? — spytał inżynier, który przerwawszy pracę, zastanawiał się nad tym wydarzeniem.

— Najwyżej o jakieś piętnaście stóp — odpowiedział Harbert.

— I było to w czasie odpływu?

— Tak jest, panie Cyrusie.

— No więc, czego żółw nie mógł dokonać na piasku, prawdopodobnie dokonał w wodzie. Odwrócił się, gdy podczas przypływu uniosła go woda, i spokojnie popłynął na pełne morze.

— Ach, jakie z nas niezdary! — zawołał Nab.

— Miałem zaszczyt już wam to powiedzieć — powiedział Pencroff.

Cyrus Smith udzielił wyjaśnienia, które niewątpliwie wyglądało na prawdopodobne. Ale czy sam był naprawdę przekonany o jego słuszności? Nie można było za to ręczyć.

ROZDZIAŁ II

Pierwsza próba czółna. — Szczątki na brzegu. — Holowanie. — Cypel Znaleziska. — Zawartość skrzyni: narzędzia, broń, przyrządy, odzież, książki, sprzęty. — Czego brakuje Pencroffowi. — Ewangelia. — Werset z Pisma Świętego.

29 października czółno z kory było gotowe. Pencroff dotrzymał słowa. W ciągu pięciu dni zbudował łódź, której kadłub miał zebra z giętkich gałęzi drzewa crejimba. Jedna ławka z tyłu, druga w pośrodku, dla utrzymania stałego rozchylenia burt, trzecia ławka z przodu, listwy nadburcia do przymocowania dulek³ na dwa wiosła oraz wiosło sterowe tworzyły całe wyposażenie łódki, której długość wynosiła dwanaście stóp, a ciężar nie przekraczał dwustu funtów. Spuszczenie łodzi na wodę odbyło się bardzo prosto. Lekkie czółno zaniecono nad sam brzeg morza i postawiono je na piasku, a przypływ wody pochwylił je i uniosł. Pencroff wskoczył do niego natychmiast i zaczął sterować, po czym stwierdził, że doskonale nadaje się do celów, do których miało służyć.

³*dulka* — element łodzi wiosłowej w postaci ruchomego pierścienia lub widełek przymocowanych do burty, służący do utrzymywania wiosła w odpowiedniej pozycji. [przypis edytorski]

— Hurra! — krzyknął, nie wahając się uczcić swojego dzieła. — Tą łódką możemy opłynąć dokoła...

— Cały świat? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie, wyspę. Kilka kamieni na dno jako balast, na przodzie masz i kawałek żagla, który pan Smith kiedyś nam zrobi, a zajedziemy daleko! No cóż, panie Cyrusie, panie Spilett, i ty Harbercie, i ty Nabie, nie macie ochoty wypróbować nowego statku? Tam do diabła, trzeba się przekonać, czy uniesie nas wszystkich!

Rzeczywiście, należało się o tym przekonać. Pencroff jednym ruchem steru doprowadził czółno do brzegu przez wąski przesmyk pomiędzy skałami. Postanowiono jeszcze tego samego dnia przeprowadzić próbę z czółnem, płynąc wzdłuż brzegów morza aż do pierwszego cypla, gdzie się kończył łańcuch skał na południu.

W chwili gdy wsiadali do czółna, Nab zawołał:

— Ale ten twój statek przecieka, Pencroffie!

— To nic, Nabie — odparł marynarz. — Drewno musi nasiąknąć i napęcznieć. Za dwa dni nic nie będzie przeciekać, a w brzuchu naszego czółna nie znajdzie się więcej wody niż w żołądku pijaka. Wsiadajcie!

Wsiadli więc wszyscy i Pencroff odepchnął łódź od brzegu. Pogoda była wspaniała, morze tak spokojne, jakby jego wody ujęte były w ciasne brzegi jeziora, i czółno mogło pruć fale tak bezpiecznie, jakby to były spokojne wody Rzeki Dziękczynienia.

Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Pencroff pozostał na tyle czółna przy sterze.

Marynarz najpierw przepłynął cieśninę, a potem wziął kurs na południowy kraniec wysepki. Z południa wiał lekki wietrzyk. Bałwanów nie było ani w cieśninie, ani na pełnym morzu. Jedynie długie fale regularnie wzdymały powierzchnię morza, ale ciężko obciążona łódź ledwie to odczuwała. Odpłynęli o jakieś pół mili od brzegu, żeby zobaczyć Górę Franklina w całej okazałości.

Potem Pencroff zawrócił czółno i popłynął z powrotem w stronę ujścia rzeki. Odtąd posuwali się wzdłuż brzegu, który zaokrąglął się aż do cypla, zasłaniając całe Bagno Kazarek.

Cyfel, do którego odległość powiększała krzywizna brzegu, leżał o mniej więcej trzy mile od Rzeki Dziękczynienia. Koloniści postanowili dotrzeć aż do cypla i wysunąć się poza niego tylko tyle, ażeby móc rzucić okiem na wybrzeże ciągnące się do Przylądka Szponu.

Czółno posuwało się zatem wzdłuż brzegów w odległości najwyżej dwóch kabli⁴, omijając liczne w tej części morza rafy, które przyplływ zaczął już zakrywać falami. Ściana skalna obniżała się począwszy od ujścia rzeki aż do cypla. Tworzyły ją zwały granitów, bezładnie porozrzucane, zupełnie różne od ścian urwiska Płaskowyzu Pięknego Widoku i nadające okolicy dziki wygląd. Zdawało się, jakby w tym miejscu ktoś opróżnił olbrzymi wóz wyładowany głazami. Na tym ostrym cyplu, rozciągającym się na dwie mile przed skrajem lasu, nie było żadnej roślinności; wyglądał jak ramię olbrzyma wysuwające się z rękawa zieleni.

Pchane dwoma wiosłami czółno posuwało się lekko po powierzchni wody. Gedeon Spilett, z ołówkiem w jednej ręce, z notatnikiem w drugiej, szkicował kontury brzegu. Nab, Pencroff i Harbert rozmawiali, przypatrując się nieznanemu im okolicy. W miarę jak łódź płynęła na południe, obydwie Przylądki Szczęki zdawały się zwierzać i zaciskać wokół Zatoki Stanów Zjednoczonych.

Cyrus Smith milczał i po prostu patrzył, a jego nieufne spojrzenie zdradzało, że obserwuje nieznaną i obcą krainę.

Po trzech kwadransach żegluga łódź dotarła prawie do samego cypla, a Pencroff przygotowywał się, żeby go okrążyć, gdy Harbert, podniósłszy się w łodzi, wskazał jakąś czarną plamę i powiedział:

— Co tam leży na brzegu?

Oczy wszystkich zwróciły się we wskazanym kierunku.

⁴kabel — jednostka odległości stosowana w nawigacji; tu: kabel amerykański równy ok. 220 m. [przypis edytorski]

— Rzeczywiście — odezwał się reporter — coś jest. Wygląda jak szczątki rozbitego statku zagrzebane do połowy w piasku.

— Ach! — zawołał Pencroff. — Już wiem, co to jest!

— Co takiego? — zapytał Nab.

— Beczulki, i to beczulki może nawet pełne! — odparł marynarz.

— Niech pan przybije do brzegu, Pencroffie — powiedział Cyrus Smith.

Po kilku uderzeniach wioseł czółno przybiło do małej zatoczki, a pasażerowie wyskoczyli na brzeg.

Pencroff nie mylił się. Były to dwie beczulki, zagrzebane do połowy w piasku, ale nadal mocno przywiązane do dużej skrzyni. Skrzynia, utrzymywana na powierzchni wody przez beczulki, pływała po morzu, dopóki nie została wyrzucona na brzeg.

— Więc jakiś statek musiał się rozbić w pobliżu wyspy? — zapytał Harbert.

— Oczywiście — odparł Gedeon Spilett.

— Ale co tam być może w tej skrzyni?! — zawołał Pencroff z łatwością do zrozumienia niecierpliwością. — Co jest w skrzyni? Zamknięta, a nie ma czym odbić wieka! Aha, spróbuję kamieniem...

Marynarz podniósł z ziemi ciężki głaz i już chciał nim roztrzaskać jeden ze boków skrzyni, gdy inżynier, powstrzymując go, powiedział:

— Czy mógłby pan, Pencroffie, chociaż na godzinę pohamować swoją niecierpliwość?

— Ale niech pan tylko pomyśli, panie Cyrusie! Może w tej skrzyni znajduje się wszystko, czego nam brakuje!

— Przekonamy się o tym, Pencroffie — odpowiedział inżynier — ale proszę mi zaufać i nie rozbijać skrzyni, która może nam się przydać. Zabierzmy ją do Granitowego Pałacu, gdzie otworzymy ją łatwiej i bez uszkodzenia. Skrzynia jest przygotowana do podróży, a skoro dopłynęła tutaj, to dopłynie i do ujścia rzeki.

— Ma pan słuszość, panie Cyrusie, myliłem się — odparł marynarz — ale człowiek nie zawsze panuje nad sobą.

Rada inżyniera była rozsądna. Rzeczywiście łódź zapewne nie pomieściłaby przedmiotów ze skrzyni, która musiała być ciężka, skoro do utrzymywania jej na wodzie użyto aż dwóch pustych beczulek. Lepiej więc było odholować ją do podnóża Granitowego Pałacu.

Skąd się jednak wzięła ta skrzynia? To było ważne pytanie. Cyrus Smith i jego towarzysze rozejrzeli się uważnie dookoła i przeszli kilkaset kroków wzdłuż brzegu morza. Nie zauważyli żadnych innych szczątków. Równie uważnie sprawdzili morze. Harbert z Nabem wdrapali się na wysoką skałę, ale horyzont był pusty. Nie dostrzegli niczego, ani pływających szczątków, ani statku pod żaglami.

A jednak nie było najmniejszej wątpliwości, że w pobliżu musiał się rozbić jakiś statek. Może ten wypadek miał jakiś związek ze znalezionym ziarnkiem śrutu? Może jacyś przybysze wylądowali w innej części wyspy? Może jeszcze tam są? Kolonistom nasunęła się oczywista myśl, że przybysze nie mogli być piratami malajskimi, gdyż skrzynia była niewątpliwie pochodzenia amerykańskiego lub europejskiego.

Wszyscy zgromadzili się dookoła skrzyni, której długość wynosiła pięć stóp, a szerokość trzy. Wykonana została z drewna dębowego, starannie zbita i obciągnięta grubą skórą przytwierdzoną mosiężnymi gwoździami. Dwie brzuchate beczulki, hermetycznie zamknięte, ale sądząc po dźwięku, puste, przyłączone były do jej boków za pomocą mocnych lin związanych w węzły, które Pencroff z łatwością rozpoznał jako węzły marynarskie. Skrzynia była w całkiem dobrym stanie, co można było wytłumaczyć faktem, że została wyrzucona na piaszczysty brzeg, a nie na skały. Po bliższym zbadaniu można było nawet stwierdzić, że nie przebywała długo w wodzie i osiadła na piasku niedawno. Prawdopodobnie woda nie przeniknęła do wnętrza i zawarte w niej przedmioty były zupełnie nietknięte.

Było oczywiste, że skrzynię wyrzucono za burtę jakiegoś uszkodzonego statku pędzącego w stronę wyspy i że podróżni w nadziei, że dotrze ona szczęśliwie do brzegu, gdzie ją później odszukają, zatroszczyli się o to, by dzięki pustym baryłkom utrzymała się na powierzchni wody.

— Przyholujemy tę skrzynię do Granitowego Pałacu — powiedział inżynier — i spisujemy jej zawartość. Jeśli znajdziemy na wyspie jakichś rozbitków z tej przypuszczalnej katastrofy, oddamy ją tym, do których należała. Jeśli zaś nie znajdziemy nikogo...

— Wtedy zatrzymamy ją dla siebie! — zawołał Pencroff. — Ale na Boga, co w niej może być?

Tymczasem fale zaczęły już dosięgać skrzyni i pełny przypływ pewnością uniósłby ją na morze. Koloniści częściowo rozwiązali jedną z lin mocujących beczułki i posłużyli się nią jako liną holowniczą, przywiązując ją barylki do łodzi. Potem Pencroff z Nabem rozkopali wiosłami piasek dookoła, żeby łatwiej było ruszyć skrzynię z miejsca, i wkrótce łódź, ciągnąc za sobą skrzynię, zaczęła okrążyć cypel, który nazwano Cyplem Znaleziska. Ładunek był ciężki i beczułki z trudnością utrzymywały skrzynię na wodzie, dlatego marynarz obawiał się, że w każdej chwili może się urwać i pójść na dno. Na szczęście jego obawy się nie ziściły i półtorej godziny później — tyle bowiem czasu potrzeba było na przebycie tych trzech mil — łódź przybiła do brzegu przed Granitowym Pałacem.

Wówczas łódź i skrzynię wyciągnęli na piasek, a ponieważ właśnie zaczął się odpływ, wkrótce znalazły się na suchym lądzie. Nab pobiegł po narzędzia, aby otworzyć skrzynię tak, by ją jak najmniej uszkodzić. Przygotowano się do wyjmowania i spisywania zawartości. Pencroff nie ukrywał swojego poruszenia.

Marynarz rozpoczął od odwiązania beczulek, które były w bardzo dobrym stanie i mogły oczywiście się przydać. Następnie obcęгами podważył zamki i wieko odskoczyło.

Wnętrze skrzyni wypełniało pudło z blachy cynkowej, najwidoczniej po to, żeby zabezpieczyć znajdujące się w środku przedmioty przed wilgocią.

— Ach! — zawołał Nab. — Czyżby tam były konserwy?

— Mam nadzieję, że nie — odparł reporter.

— A gdyby to był... — mruknął półgłosem marynarz.

— Co takiego? — zapytał Nab, posłyszawszy słowa marynarza.

— Nic!

Pokrywą cynkową rozcięto wzdłuż, odgięto na boki, po czym zaczęto wyjmować rozmaite przedmioty i składać je na piasku. Przy każdym Pencroff krzyczał na całe gardło „hurra”, Harbert klaskał w dłonie, a Nab tańczył dookoła. Były tam między innymi książki, na widok których Harbert omal nie oszalał z radości, i sprzęty kuchenne, które Nab chętnie okryłby pocałunkami.

Zresztą wszyscy mieli wszelki powód do zadowolenia, gdyż skrzynia zawierała rozmaite narzędzia, broń, instrumenty, odzież i książki. A oto dokładny spis, sporządzony w notatniku Gedeona Spiletta:

Narzędzia

- 3 noże o kilku ostrzach
- 2 topory do rąbania drzewa
- 2 siekiery ciesielskie
- 3 heble
- 2 toporki
- 1 dłutko obosieczne
- 6 par nożyc
- 2 pilniki
- 3 młotki
- 3 świdry
- 2 wiertła
- 10 woreczków gwoździ i śrubek
- 3 piły rozmaitej wielkości
- 2 pudełka igieł

Broń

- 2 strzelby skałkowe⁵
- 2 strzelby kapiszonowe⁶
- 2 karabiny iglicowe⁷
- 5 kordelasów⁸
- 4 szable marynarskie
- 2 baryłki prochu po dwadzieścia pięć funtów
- 12 pudełek pistonów⁹

Instrumenty

- 1 sekstans¹⁰
- 1 lornetka
- 1 luneta
- 1 pudełko z kompasem
- 1 busola¹¹ kieszonkowa
- 1 termometr Fahrenheita
- 1 barometr aneroidowy¹²
- 1 pudełko zawierające komplet fotograficzny: aparat, obiektywy, płyty¹³, chemikalia itp.

Odzież

- 2 tuziny koszul z nieznannej tkaniny podobnej do wełny, ale wyraźnie utkanej z włókien roślinnych
- 3 tuziny pończoch z tej samej tkaniny

Naczynia

- 1 dzbanek żelazny
- 6 rondli z miedzi ocynowanej
- 3 talerze żelazne
- 10 nakryć aluminiowych
- 2 kociołki
- 1 przenośna kuchenka
- 6 noży stołowych

⁵*strzelba skałkowa* — długa broń palna z zamkiem skałkowym, ładowana od strony lufy, używana od XVII w. do połowy XIX w.; po naciśnięciu spustu broni kurek ze skałką (kawalkiem krzemienia) opadał na metalową płytkę, krzesząc iskry, które padały na panewkę z prochem, zapalając go. [przypis edytorski]

⁶*strzelba kapiszonowa* — długa broń palna z zamkiem kapiszonowym, w której odpalenie następuje przy użyciu kapiszona, miedzianej miseczki zawierającej piorunian rtęci; wynaleziona w 1818, wyparła broń skałkową, również ładowaną od strony wylotu lufy, po czym w drugiej połowie XIX w. została z kolei wyparta przez broń odtylcową na naboje zespolone. [przypis edytorski]

⁷*karabin iglicowy* — odtylcowa broń palna z zamkiem iglicowym, w którym napinana sprężyną długa iglica po naciśnięciu spustu przechodzi przez umieszczony w papierowej osłonie ładunek prochowy do spłonki przy podstawie pocisku, powodując wystrzał; skonstruowany w 1836, zapoczątkował rozwój nowoczesnej broni palnej, z powodu dużej szybkostrzelności i wygodnego ładowania szybko wszedł na wyposażenie armii. [przypis edytorski]

⁸*kordelas* — długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny; niegdyś również element uzbrojenia. [przypis edytorski]

⁹*piston* — kapiszon, miedziana a. mosiężna spłonka używana od XIX w. w odprzodowej broni palnej, mająca formę miseczki zawierającej piorunian rtęci, wybuchający po uderzeniu przez kurek, co powodowało zapalenie prochu w lufie i oddanie strzału. [przypis edytorski]

¹⁰*sekstant* — przyrząd stosowany w żeglarskim i astronomii, służący do mierzenia wysokości (kąta wzniesienia) ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na powierzchni ziemi. [przypis edytorski]

¹¹*busola* — przyrząd do wyznaczania kursu; podobnie jak kompas jest pudełkiem z igłą magnetyczną i podziałką, ale dodatkowo posiada przyrząd celowniczy pomagający w wyznaczeniu azymutu, czyli kąta pomiędzy wybranym kierunkiem (np. marszu) a północą. [przypis edytorski]

¹²*barometr aneroidowy* a. *barometr sprężynowy* — wynaleziony w 1844 roku przez fr. uczonego L. Vidiego przyrząd do pomiaru ciśnienia atmosferycznego, którego zasadniczą częścią jest szczelnie zamknięta próżniowa puszcza membranowa, która przy zmianie ciśnienia nieznacznie się odkształca, a przekładnie przenoszą wzmocniony ruch na wskazówkę skali. W przeciwieństwie do wcześniejszych barometrów cieczowych ten typ przyrządu nie jest wrażliwy na odchylenie od pozycji pionowej ani na zmiany temperatury otoczenia (powodujące zmiany gęstości cieczy). [przypis edytorski]

¹³*płyty fotograficzne* — w drugiej połowie XIX w. zdjęcia wykonywano na cienkich szklanych płytkach powleczonych warstwą światoczułą. [przypis edytorski]

Książki

- 1 Biblia zawierająca *Stary i Nowy Testament*
- 1 atlas geograficzny
- 1 słownik narzeczy polinezyjskich
- 1 słownik przyrodniczy w sześciu tomach
- 3 rzyzy białego papieru
- 2 niezapisane księgi rejestrowe

— Trzeba przyznać — powiedział reporter, gdy ukończono spis rzeczy — że właściciel tej skrzyni był człowiekiem praktycznym. Narzędzia, broń, instrumenty, odzież, naczynia, książki — niczego w niej nie brakuje. Wydaje się, że z góry miał zamiar zostać rozbitkiem i przygotował się z wyprzedzeniem.

— Rzeczywiście, nie brak niczego — mruknął Cyrus Smith zatopiony w myślach.

— I na pewno — dodał Harbert — statek, który wiozł tę skrzynię i jej właściciela, nie należał do piratów malajskich.

— Chyba że ten właściciel dostał się do niewoli piratów... — powiedział Pencroff.

— To mało prawdopodobne — odparł reporter. — Prędzej jakiś statek amerykański czy europejski został zapędzony w te okolice, a podróżni, chcąc uratować przynajmniej niezbędne przedmioty, załadowali je do skrzyni i wrzucili do morza.

— Czy pan też jest tego zdania, panie Cyrusie? — zapytał Harbert.

— Tak, mój chłopcze — odparł inżynier — mogło tak być. Możliwe, że przewidując rozbicie się statku, zgromadzono w tej skrzyni najpotrzebniejsze przedmioty, w nadziei odnalezienia jej później w jakimś punkcie wybrzeża...

— Nawet aparat fotograficzny! — zauważył z niedowierzaniem marynarz.

— Co do tego aparatu — odparł Cyrus Smith — to nie bardzo rozumiem, do czego byłby potrzebny. Bardziej by nam się przydał, jak wszystkim innym rozbitkom, pełniejszy asortyment odzieży lub większy zapas amunicji.

— Ale czy nie ma na tych instrumentach, narzędziach czy książkach jakiegoś znaku lub napisu, po którym moglibyśmy rozpoznać ich pochodzenie? — zapytał Gedeon Spilett.

O tym należało się przekonać. Obejrzano więc uważnie każdy przedmiot z osobna, a zwłaszcza książki, instrumenty i broń. Ani broń, ani instrumenty, wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie miały znaków fabrycznych. Były zresztą w doskonałym stanie i wyglądały na nieużywane. To samo dotyczyło narzędzi i naczyń. Każda sztuka była całkiem nowa, co świadczyło o tym, że nie wrzucano ich do skrzyni na chybił trafił, lecz przeciwnie, dobrze obmyślono dobór przedmiotów i starannie je uporządkowano. Wskazywała na to również druga powłoka metalowa, zabezpieczająca je przed wilgocią, której nie sposób było zlutować naprędce.

Zarówno słownik przyrodniczy, jak i słownik narzeczy polinezyjskich były w języku angielskim, lecz nie było na nich ani nazwiska wydawcy, ani daty wydania.

Podobnie rzecz się miała z Biblią. Było to wydanie angielskie, formatu *in quarto*¹⁴, godne uwagi jako piękny okaz sztuki drukarskiej i najwyraźniej często przeglądane.

Nazwy geograficzne w atlasie były natomiast francuskie. To wspaniałe dzieło, zawierające mapy całego świata i kilka planisfer¹⁵ wykreślonych w odwzorowaniu Merkatora¹⁶, również nie posiadało ani daty wydania, ani nazwiska wydawcy.

Na żadnym z tych rozmaitych przedmiotów nie było znaku, który by wskazywał ich pochodzenie, a zatem niczego, po czym można by się było domyślać narodowości statku, który niedawno mijał te strony. Jednak bez względu na to, skąd pochodziła skrzynia, dzięki niej koloniści Wyspy Lincoln stali się bogaczami. Dotychczas, przerabiając bogactwa

¹⁴*in quarto* — określenie formatu książki wielkości 1/4 arkusza, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4. [przypis edytorski]

¹⁵*planisfera* — mapa przedstawiająca całość globu ziemskiego w rzucie płaskim, bez podziału na półkule. [przypis edytorski]

¹⁶*odwzorowanie Merkatora* — odwzorowanie walcowe równokątne, jedno z najstarszych odwzorowań kartograficznych, wynalezione w czasach wielkich odkryć geograficznych przez flamandzkiego kartografa Gerarda Merkatora; ze względu na swoją wiernokątność powszechnie stosowane w mapach nawigacyjnych. [przypis edytorski]

naturalne, sami, własnymi siłami wytwarzali wszystko i dzięki swej inteligencji potrafili dać sobie radę. Ale czy to nie wyglądało tak, jakby Opatrzność chciała im to wynagrodzić, zsyłając im te różnorodne wytwory ludzkiego przemysłu? Dlatego też skierowali wspólnie dziękczynne modły ku niebu.

Mimo to jeden z nich nie był zupełnie zadowolony, mianowicie Pencroff. Najwyraźniej skrzynia nie zawierała czegoś, co miało dla niego wielką wartość, bo w miarę jak wydobywano z niej różne przedmioty, jego „hurra” stawało się coraz słabsze, a gdy już nic nie zostało, mruknął pod nosem:

— Wszystko to ładnie, pięknie, ale dla mnie w tym pudle nic nie ma!

To skłoniło Naba do zapytania:

— A czegoż to, przyjacielu Pencroffie, się spodziewałeś?

— Pół funta tytoniu! — odparł poważnie Pencroff. — Wtedy by mi niczego więcej do szczęścia nie brakowało!

Na tę uwagę marynarza jego towarzysze nie mogli powstrzymać uśmiechu.

Ze znalezienia skrzyni wynikało, że teraz koniecznie należy dokładnie zbadać całą wyspę. Postanowiono zatem nazajutrz skoro świt wyruszyć w drogę, w górę Rzeki Dziękczynienia, tak by dotrzeć do zachodniego wybrzeża. Jeżeli jacyś rozbitkowie wylądowali w tej części wyspy, to zachodziła obawa, że byli pozbawieni wszelkich środków do życia, a w takim razie należało niezwłocznie przyjść im z pomocą.

Cały dzień upłynął na znoszeniu znalezionych przedmiotów do Granitowego Pałacu i ich przemyślanym układaniu w wielkiej sali.

Tego dnia, 29 października, była akurat niedziela i Harbert przed udaniem się na spoczynek zagadnął inżyniera, czy nie zechciałby przeczytać im jakiegoś ustępu z Ewangelii.

— Chętnie — odparł Cyrus Smith.

Wziął do rąk świętą księgę i już chciał ją otworzyć, gdy Pencroff powstrzymał go, mówiąc:

— Panie Cyrusie, jestem zabobonny. Niech pan otworzy na chybił trafił i odczyta nam pierwszy werset, który wpadnie panu w oko. Zobaczymy, czy da się zastosować do naszego położenia.

Cyrus Smith uśmiechnął się i spełniając życzenie marynarza, otworzył Ewangelię dokładnie w miejscu, w którym tkwiła zakładka.

I nagle jego wzrok zatrzymał się na czerwonym krzyżyku, nakreślonym ołówkiem przed ósmym wersem trzeciego rozdziału Ewangelii św. Mateusza.

Przeczytał werset, który brzmiał:

Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie.

ROZDZIAŁ III

Odjazd. — Przyptyw. — Wiązy i więzowce. — Różne rośliny. — Złotopiór. — Widok lasu. — Olbrzymie eukaliptusy. — Dlaczego są nazywane „drzewami gorączkowymi”. — Gromady małp. — Wodospad. — Nocleg.

Nazajutrz, 30 października, wszystko było gotowe do wyprawy, która z powodu ostatnich wydarzeń stała się pilna. Sprawy przybrały teraz taki obrót, że koloniści Wyspy Lincoln słusznie mogli uważać, że teraz już nie potrzebują pomocy, ale mogą ją nieść innym.

Postanowiono zatem płynąć tak daleko w górę korytem Rzeki Dziękczynienia, jak to będzie możliwe. W ten sposób mogli przebyć znaczną część drogi bez zmęczenia, a zapasy żywności i broń przenieśliby w miejsce bardziej wysunięte na zachód.

Należało pamiętać nie tylko o przedmiotach, które zabrano ze sobą, ale także i o tych, które być może wypadnie sprowadzić do Granitowego Pałacu. Jeżeli bowiem, jak się zdawało, rzeczywiście w pobliżu wyspy rozbił się jakiś statek, to można się było spodziewać znalezienia wielu innych przedmiotów i szczątków wyrzuconych przez morze na brzeg. W takim przypadku niewątpliwie wózek byłby przydatniejszy od wątego czółna, ale był ciężki i niezgrabny, i w dodatku trzeba go było ciągnąć, co sprawiało, że był mniej wygodny. Skłoniło to Pencroffa do wyrażenia ubolewania, że w znalezionej przez nich skrzyni

oprócz „pół funta tytoniu” brakowało jeszcze pary silnych koni z New Jersey, które bardzo by się przydały kolonii.

Zapasy żywności, które Nab spakował do czółna, składały się z zakonserwowanego mięsa oraz kilku galonów piwa i sfermentowanego soku, co powinno wystarczyć na trzy dni — najdłuższy termin, jaki Cyrus Smith przeznaczył na wyprawę. Zresztą w razie potrzeby zamierzali odnowić zapasy po drodze, a Nab nie zapomniał wziąć ze sobą małej przenośnej kuchenki.

Z narzędzi koloniści wzięli dwie siekiery do rąbania drzewa, które miały służyć do torowania sobie drogi leśnych w gąszczach, a z instrumentów lunetę i kieszonkową busolę.

Jako broń wybrano dwie strzelby skałkowe, przydatniejsze na wyspie, gdyż do nich potrzebne były tylko krzemienie, które łatwo było zastąpić nowymi, podczas gdy broń nowszego typu wymagała pistonów zapłonowych, których zapas przy częstym użyciu szybko by się wyczerpał. Mimo to wzięli ze sobą także jeden karabin i kilka nabojów. Trzeba było zabrać również trochę prochu strzelniczego. W baryłkach było go około pięćdziesięciu funtów, ale inżynier miał nadzieję, że uda mu się wyprodukować substancję wybuchową, która pozwoli na zaoszczędzenie prochu. Prócz broni palnej wzięto także pięć kordelasów w skórzanych pochwach. Tak zaopatrzeni i uzbrojeni mogli się zapuścić w głąb nieprzejrzanых borów z pewną otuchą, że w każdym kłopotach dadzą sobie radę.

Nie trzeba dodawać, że tak uzbrojeni Pencroff, Harbert i Nab byli u szczytu szczęścia, chociaż Cyrus Smith wymógł na nich obietnicę, że nie oddadzą bez potrzeby ani jednego strzału.

O szóstej rano zepchnięto czółno na morze. Wsiadli do niego wszyscy z Topem włącznie i popłynęli ku ujściu Rzeki Dziękczynienia.

Przyływ zaczął się dopiero przed pół godziną. Mieli zatem przed sobą jeszcze kilka godzin sprzyjającego prądu, z czego należało skorzystać, później bowiem, podczas odpływu, musieliby płynąć przeciw prądowi, co znacznie utrudniałoby podróż w górę rzeki. Przyływ był już dość silny, gdyż za trzy dni przypadała pełnia księżycy, więc czółno, które wystarczyło tylko utrzymywać na prądzie rzeki, posuwało się szybko pomiędzy wysokimi brzegami, a podróżnicy nie potrzebowali zwiększać jego prędkości za pomocą wiosel.

Po kilku minutach dotarli do ostrego zakrętu Rzeki Dziękczynienia, gdzie Pencroff siedem miesięcy wcześniej zbudował pierwszą tratwę.

Od tego miejsca rzeka skręcała w kierunku południowo-zachodnim, a jej wody płynęły w cieniu olbrzymich, wiecznie zielonych drzew iglastych.

Brzegi Rzeki Dziękczynienia wyglądały przepięknie. Cyrus Smith i jego towarzysze mogli podziwiać te wspaniałe efekty, jakie przyroda tak łatwo osiąga za pomocą wody i drzew. W miarę jak płynęli coraz dalej, zmieniały się rodzaje leśnych drzew. Na prawym brzegu rzeki wznosiły się wspaniałe okazy z rodziny *Ulmaceae*¹⁷, bezcenne wiązy, tak bardzo poszukiwane przez budowniczych statków ze względu na to, że mogą bez szkody długo utrzymywać się w wodzie. Dalej liczne grupy drzew należących do tej samej rodziny, między innymi wiązowce¹⁸ rodzące orzeszki, z których wytłacza się bardzo użyteczny olej. Dalej Harbert zauważył kilka pnączy z rodziny *Lardizabalaceae*¹⁹, których giętkie gałęzie wymoczone w wodzie nadają się na doskonałe liny, a także parę drzew hebanowych²⁰ o pięknych czarnych pniach, fantazyjnie żyłkowanych.

Od czasu do czasu czółno zatrzymywało się w miejscach, gdzie łatwiej było wylądować. Wówczas Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff ze strzelbami w rękach, poprzedzani przez Topa, wyskakowali na brzeg. Oprócz zwierzyny mogli natknąć się na jakieś użyteczne rośliny, a młody przyrodnik był uszczęśliwiony, znalazł bowiem dziki szpinak z rodziny

¹⁷*Ulmaceae* (biol.) — wiązowate, rodzina roślin drzewiastych występujących na półkuli północnej. [przypis edytorski]

¹⁸wiązowce, a. *obrostrnice*, *Celtis* (biol.) — rodzaj drzew liściastych, zaliczany dawniej do rodziny wiązowatych, obecnie do blisko spokrewnionych z nimi konopiowatych. [przypis edytorski]

¹⁹*Lardizabalaceae* (biol.) — krępieniowate, rodzina roślin drzewiastych, obejmująca 40 gatunków pnączy występujących we wschodniej Azji i w Chile. [przypis edytorski]

²⁰drzewo hebanowe — pot. nazwa różnych drzew tropikalnych dostarczających heban, czyli czarne, twarde i ciężkie drewno, wykorzystywane m.in. do wyrobu mebli artystycznych i instrumentów muzycznych. [przypis edytorski]

*Chenopodiaceae*²¹ i liczne okazy z rodzaju krzyżowych, czyli kapustowatych²², dające się łatwo uszlachetnić przez przesadzenie. Były tam rzeżucha, rzodkiew, rzepa, wreszcie jakieś cienkie, pokryte meszkiem, rozgałęzione łodygi metrowej wysokości, wydające ciemne, prawie brunatne nasiona.

— Czy wiesz, co to za roślina? — zapytał Harbert marynarza.

— Tytoń! — zawołał Pencroff, który najwyraźniej swoją ulubioną roślinę widywał tylko w fajce.

— Nie, Pencroffie — odparł Harbert — to nie tytoń, to gorczyca.

— Niech będzie i gorczyca — odpowiedział marynarz. — Ale gdybyś przypadkiem znalazł gdzieś źdźbło tytoniu, mój chłopcze, to proszę, żebyś nim nie pogardził.

— Znajdziemy go kiedyś — powiedział Gedeon Spilett.

— Naprawdę?! — zawołał Pencroff. — Wtedy, dalibóg²³, niczego już nam nie będzie brakowało na wyspie!

Rośliny ostrożnie wykopano z korzeniami i zaniesiono do łódki, której nie opuszczał pogrążony rozmyślaniami Cyrus Smith.

Reporter, Harbert i Pencroff ładowali w ten sposób kilkakrotnie, to na prawym, to na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Lewy brzeg był mniej stromy, za to prawy bardziej lesisty. Za pomocą busoli inżynier stwierdził, że od pierwszego zakrętu rzeka kierowała się z południowego zachodu na północny wschód i na przestrzeni blisko trzech mil płynęła prawie w linii prostej. Należało jednak przypuszczać, że dalej ten kierunek się zmieni i Rzeka Dziękczynienia skręci na północny wschód, w kierunku zboczy Góry Franklina, skąd bierze początek.

Podczas jednej z takich wycieczek Gedeonowi Spilettowi udało się schwytać żywcem dwie pary dzikich kur. Były to ptaki o długich cienkich dziobach, smukłych szyjach, krótkich skrzydłach i bez śladu ogona. Harbert słusznie nazwał je kusaczami²⁴ i postanowiono, że zostaną pierwszymi mieszkańcami przyszłej ptaszarni.

Dotychczas strzelby jeszcze nie się odezwały, a pierwszy wystrzał, jaki rozległ się w Lesie Dalekiego Zachodu, był spowodowany ukazaniem się pięknego ptaka, podobnego z wyglądu do zimorodka.

— Poznaję go! — zawołał Pencroff i wystrzelił jakby mimo woli.

— Co pan poznaje? — zapytał reporter.

— Ptaka, który uciekł nam w czasie pierwszej wyprawy i którego imieniem nazwalismy tę część lasu.

— Złotopiór! — zawołał Harbert.

Był to istotnie złotopiór, piękny ptak o dość szorstkim upierzeniu z metalicznym połyskiem. Kilka ziarenek śrutu ściągnęło go na ziemię, a Top przyniósł go do czółna razem z pół tuzinem turaków²⁵, ptaków łączących wielkości gołębia, o zielonym upierzeniu, skrzydłach gdzieś karmazynowych i z sterczącym na głowie czubem z białą obwódką. Zaszczyt ustrzelenia tych ptaków przypadł Harbertowi i był z tego bardzo dumny. Turaki stanowiły lepszą zdobycz niż złotopiór, którego mięso jest trochę łykowane, ale Pencroffa trudno było przekonać, że nie ustrzelił króla jadalnych ptaków.

Około dziesiątej rano czółno dopłynęło do drugiego zakrętu Rzeki Dziękczynienia, oddalonego mniej więcej pięć mil od jej ujścia. Zatrzymano się w tym miejscu na śniadanie, a postój pod rozłożystymi, pięknymi drzewami trwał pół godziny.

²¹*Chenopodiaceae* (hist. biol.) — komosowate, rodzina roślin zielnych wyróżniana w dawnych systemach taksonomicznych, obejmująca m.in. komosę, buraka i szpinak. Młode liście występującej w Eurazji komosy białej (*Chenopodium album*), czyli lebiody, dawniej jadano jako jarzynę, tak jak szpinak. [przypis edytorski]

²²*kapustowate* a. *krzyżowe* (biol.) — rodzina roślin zielnych, rzadziej drzew i krzewów, do której należą m.in. kapusta, rukiew, chrzan, rzodkiew. [przypis edytorski]

²³*dalibóg* (daw.) — doprawdy, słowo daję; wykrzyknienie podkreślające prawdziwość wypowiedzi. [przypis edytorski]

²⁴*kusacze*, *Tinamidae* (biol.) — rząd ptaków naziemnych o krępej budowie ciała, małej głowie i krótkim ogonie, zamieszkujących Amerykę Środkową i Południową. [przypis edytorski]

²⁵*turak* a. *turako*, *Tauraco* — rodzaj roślinożernych ptaków afrykańskich z czubem na głowie, należących do rodziny turakowatych (*Musophagidae*). W oryginale: *touracos-loris*, dalej jako *loris*, jednak to drugie słowo w jęz. francuskim oznacza lory (*Loriinae*), papugi występujące w pld.-wsch. Azji, Indonezji i Australii. Do zamieszania zapewne przyczynił się fakt, że w pld. Afryce wszystkie turakowate nazywa się *lourie* lub *loerie*. [przypis edytorski]

Szerokość rzeki wynosiła tu sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp, a głębokość łozyska pięć do sześciu stóp. Inżynier zauważył, że do rzeki wpadało wiele dopływów, ale były to tylko zwykłe strumyki, żaden nie był splawny. Jak okiem sięgnąć, rozciągały Lasy Złotopióra i Dalekiego Zachodu. Nigdzie, ani w głębinach puszczy, ani wśród drzewach rosnących wzdłuż brzegów Rzeki Dziękczynienia nie było widać śladów obecności człowieka. Podróżnicy nie znaleźli żadnego podejrzanego tropu i było jasne, że nigdy siekiera drwała nie tknęła tych drzew, nigdy nóż pioniera nie przecinał tych splotów lian wiążących się od jednego pnia do drugiego wśród gęstych krzaków i wysokiej trawy. Jeśli rzeczywiście jacyś rozbitkowie wylądowali na wyspie, to nie opuścili jeszcze wybrzeża i z pewnością nie pod gęstym sklepieniem puszczy należało szukać ocalałych.

Dlatego inżynier spieszył się z dotarciem do zachodnich wybrzeży Wyspy Lincoln, oddalonych według jego szacunków jeszcze o co najmniej pięć mil. Popłynęli dalej i pomimo że Rzeka Dziękczynienia zdawała się zmierzać nie do wybrzeża, lecz raczej w stronę Góry Franklina, postanowili nie opuszczać czółna, dopóki będzie pod nim dość wody, by mogło płynąć. W ten sposób zaoszczędzali zarówno trudów, jak i czasu, gdyż inaczej trzeba by było siekierą torować sobie drogę przez gąszcze.

Wkrótce jednak unoszący ich prąd wody ustał, czy to dlatego, że zaczął się odpływ, który o tej właśnie porze powinien się rozpocząć, czy też dlatego, że przyływ morza w tej odległości od ujścia Rzeki Dziękczynienia nie dawał się już odczuć. Trzeba więc było chwycić za wiosła. Nab z Harbertem zajęli miejsca na ławkach, Pencroff zasiadł przy sterze i popłynęli dalej.

Wyglądało na to, że las od strony Dalekiego Zachodu zaczął się z wolna przersedzać. Drzewa nie rosły już tak gęsto, a często nawet stały odosobnione. Ale właśnie dlatego, że miały więcej przestrzeni wokół siebie, tym pełniej korzystały ze świeżego powietrza i tym wspanialsze rosły.

Co za cudowne okazy flory występowały na tej szerokości geograficznej! Sama ich obecność z pewnością wystarczyłaby botanikowi, żeby bez wahania określić równoleżnik przechodzący przez Wyspę Lincoln.

— Eukaliptusy! — zawołał nagle Harbert.

Były to istotnie te wspaniałe drzewa, ostatnie olbrzymy strefy podzwrotnikowej, pokrewne eukaliptusom rosnącym w Australii i w Nowej Zelandii, położonym na tej samej szerokości geograficznej szerokości, co Wyspa Lincoln. Niektóre z nich wznosiły się na wysokość dwustu stóp. Ich pnie miały u podstawy dwadzieścia stóp w obwodzie, a kora, pobrużdżona pasmami spływającej wonnej żywicy, miała do pięciu cali grubości. Nic cudowniejszego, lecz zarazem nic dziwniejszego niż te olbrzymie okazy z rodziny mirtowatych, których liście skierowane są bokiem do światła i przepuszczają promienie słoneczne aż do samej ziemi.

U stóp eukaliptusów ziemię pokrywała soczysta trawa, z której zrywały się gromady małych ptaszków polyskujących w słońcu jak skrzydlate klejnoty.

— To mi drzewa! — zawołał Nab — Ale czy jest z nich jakiś pożytek?

— Ba! — odparł na to Pencroff. — Tak jak mamy olbrzymów wśród ludzi, tak samo muszą być i olbrzymie roślinne. Nie przydają się na nic, chyba tylko do pokazywania na jarmarkach.

— Zdaje mi się, że się pan myli, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett. — Drzewo eukaliptusowe zaczyna być z wielkim pożytkiem wykorzystywane w stolarstwie artystycznym.

— A ja dodam — odezwał się Harbert — że te eukaliptusy należą do rodziny, która ma wielu pożytecznych członków, mianowicie: gujawa²⁶, rodząca owoce o tej samej nazwie; goździkowiec²⁷, rodzący goździki; drzewo granatowe rodzące granaty; *Eugenia*

²⁶ *gujawa*, *guawa* a. *gruszla* (biol.) — rodzaj niewielkich drzew z rodziny mirtowatych występujących w Ameryce Środkowej, rodzących jadalne, czerwone lub żółtawe owoce o gruszkowatym kształcie. [przypis edytorski]

²⁷ *goździkowiec korzenny* (biol.) — gatunek rośliny z rodziny mirtowatych pochodzący z Indonezji; z jego wysuszonych pączków uzyskuje się przyprawę zwaną goździkami (goździki korzenne). [przypis edytorski]

*cauliflora*²⁸, której owoce służą do wyrobu niezłego wina; mirt *ugni*²⁹ dający sok do wyrobu wyśmienitych alkoholi; mirt *caryophyllus*³⁰, którego kora daje tak ceniony cynamon; *Eugenia pimenta*³¹, dający pieprz angielski; mirt właściwy, którego jagody zastąpić mogą pieprz; *Eucalyptus robusta*³², dający rodzaj doskonałej mанны; *Eucalyptus gunni*³³, którego sok drogą fermentacji przekształca się w piwo; wreszcie wszystkie te drzewa znane pod nazwą „drzew życiodajnych” czy też „drzew żelaznych” także należące do rodziny mirtowatych, która liczy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków³⁴.

Nie przerywano chłopcu, który z wielkim zapałem wygłaszał swoją lekcję botaniki. Cyrus Smith, słuchając, uśmiechał się, a Pencroff słuchał z niedającym się opisać wyrazem dumy.

— Dobrze więc, Harbercie — powiedział Pencroff — ale przysiągłbym, że wszystkie te pożyteczne drzewa, które wyliczyłeś, nie są takimi olbrzymami jak te.

— Rzeczywiście, Pencroffie.

— To potwierdza to, co powiedziałem — odparł marynarz — że z tych olbrzymów nie ma żadnego pożytku.

— Otóż w tym się pan myli, Pencroffie — odezwał się na to inżynier — i właśnie te olbrzymie eukaliptusy, pod którymi teraz siedzimy, do czegoś się jednak przydają.

— Do czego mianowicie?

— Do poprawiania warunków zdrowotnych w krajach, w których rosną. Czy pan wie, jak je nazywają w Australii i na Nowej Zelandii?

— Nie wiem, panie Cyrusie.

— Nazywają je drzewami gorączkowymi.

— Dlatego, że powodują gorączkę?

— Nie, dlatego, że przed nią chronią!

— Dobrze, zanotuję to sobie — powiedział reporter.

— Zanotuj to, drogi Spilett, gdyż wydaje się udowodnione, że obecność eukaliptusów wystarcza do zneutralizowania wpływu miazmatów febry bagiennej³⁵. Próbowano tego naturalnego środka zapobiegającego w niektórych krajach południowej Europy i północnej Afryki, gdzie tereny były bardzo niezdrowe, i zauważono, że stan zdrowia mieszkańców stopniowo się poprawił. W okolicach, gdzie zasadzono lasy eukaliptusów, nie występuje już febra. Obecnie fakt ten nie ulega żadnej wątpliwości i dla nas, mieszkańców Wyspy Lincoln, jest to okoliczność bardzo pomyślna.

— Ach, cóż to za wyspa! Co za błogosławiona wyspa! — zawołał Pencroff. — Mówię wam, że nie brak tu niczego... z wyjątkiem...

— Będzie i to, Pencroffie, znajdzie się i to — odparł inżynier — ale teraz ruszajmy dalej i starajmy się dopłynąć tak daleko, jak tylko rzeka będzie mogła unieść nasze czółno.

²⁸*Eugenia cauliflora*, ob.: *Plinia cauliflora* (biol.) — drzewo z rodziny mirtowatych, rosnące w Brazylii, o białych kwiatach i czarnofoletowych, smacznych owocach (jaboticaba), z powodu nietrwałości często przetwarzanych na dżemy, galaretki, soki lub wina. [przypis edytorski]

²⁹*Myrtus ugni*, ob. *Ugni molinae* (biol.) — wiecznie zielony krzew z rodziny mirtowatych rosnący w Chile i pld. Argentynie, rodzący czerwone jagody o truskawkowym aromacie, wykorzystywane do wyrobu galaretek i likierów. [przypis edytorski]

³⁰mirt *caryophyllus*, którego kora daje tak ceniony cynamon — *Myrtus caryophyllus* to daw. nazwa botaniczna goździkowca, więc zapewne mowa raczej o *Cinnamomum caryophyllus*, jednym z licznych gatunków roślin z rodzaju cynamonowców. Jednak z drugiej strony głównym źródłem cynamonu są cynamonowiec cejloński (*C. zeylanicum*) i cynamonowiec wonny (*C. cassia*), toteż niewykluczone, że chodzi o *Dicypellium caryophyllatum*, rosnący w Brazylii krzew, którego używana w lecznictwie wysuszona kora, zwana cynamonem goździkowym, zapachem przypomina cynamon i goździki. [przypis edytorski]

³¹*Eugenia pimenta*, ob. *Pimenta dioica* (biol.) — korzennik lekarski, gatunek drzewa z rodziny mirtowatych występującego w tropikalnych rejonach Ameryki Środkowej oraz pln. rejonach Ameryki Pld; jego owoce to przyprawa znana pod nazwą ziela angielskiego. [przypis edytorski]

³²*Eucalyptus robusta* (biol.) — drzewo z rodziny mirtowatych pochodzące z wybrzeży wsch. Australii, uprawiane w wielu krajach na świecie jako drzewo przydrożne i opałowe. Rodzaj mанны, białą substancję o przyjemnym, słodkim smaku wydziela inny gatunek eukaliptusa, *Eucalyptus viminalis*. [przypis edytorski]

³³*Eucalyptus gunni* (biol.) — eukaliptus Gunna (a. górski), drzewo z rodziny mirtowatych pochodzące z Tasmanii; jego słodki sok po sfermentowaniu przypomina cydr (jabłecznik, napój alkoholowy z soku jabłkowego). [przypis edytorski]

³⁴rodziny mirtowatych, która liczy czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków — obecnie do mirtowatych zalicza się ok. 140 rodzajów skupiających ok. 4000-5000 gatunków. [przypis edytorski]

³⁵febra a. gorączka bagienne (daw.) — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

Popłynęli więc dalej, co najmniej dwie mile, przez okolicę porośniętą eukaliptusami górującymi nad wszystkimi drzewami rosnącymi w tej części wyspy. Eukaliptusy pokrywały nieprzejrzaną przestrzeń po obu brzegach Rzeki Dziękczynienia, której kręte koryto wiło się wśród wysokich, zazielenionych brzegów. Często bieg rzeki hamowały wysokie krzewy, a nawet ostre głazy, co znacznie utrudniało żeglugę. Przeszkadzały w posługiwaniu się wiosłami i Pencroff musiał odpychać czółno żerdzią. Wyczuwało się też, że dno rzeki stopniowo się podnosi, woda staje się coraz płytsza i wkrótce czółno będzie musiało się zatrzymać. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a na ziemię kładły się długie cienie drzew. Cyrus Smith, widząc, że nie zdołają tego dnia dotrzeć do zachodniego brzegu wyspy, postanowił rozbić obóz w miejscu, w którym płytka woda uniemożliwi dalszą żeglugę. Według jego szacunków od wybrzeża dzieliło ich jeszcze jakieś pięć do sześć mil, zatem odległość zbyt duża, żeby odważyć się na przebycie jej w nocy przez te nieznanne lasy.

Czółno, nieustannie popychane przez kolonistów, mknęło przez las, który z wolna gęstniał znowu i robił wrażenie bardziej zamieszkanego, gdyż marynarzowi wydawało się, że dostrzegł gromady małp skaczących wśród drzew. Od czasu do czasu dwie lub trzy małpy zatrzymywały się w pewnej odległości od czółna i przyglądały się kolonistom bez okazywania najmniejszego strachu, jak gdyby widziały ludzi po raz pierwszy i jeszcze nie nauczyły się ich obawiać. Można je było z łatwością ustrzelić, ale Cyrus Smith sprzeciwił się niepotrzebnej rzezi, która dla Pencroffa była niemałą pokusą. Odradzał ją zresztą sam rozsądek, gdyż silne i niezwykle zręczne małpy mogły być niebezpieczne i lepiej było nie prowokować ich zupełnie zbędną napacją.

Co prawda marynarz oceniał małpy z czysto kulinarnego punktu widzenia, gdyż rzeczywiście te roślinożerne zwierzęta stanowią doskonałą dziczyznę, ale ponieważ zapasów mieli pod dostatkiem, więc nie warto było bez potrzeby trwonić amunicji.

Około czwartej żeglowanie po Rzece Dziękczynienia stało się bardzo trudne, gdyż coraz częściej na przeszkodzie stawały rośliny wodne i głazy. Brzegi stawały się coraz wyższe, a rzeka torowała sobie teraz drogę wśród pierwszych pasm Góry Franklina. Jej źródła musiały być już niedaleko, gdyż zasilają je wody spływające z południowych stoków góry.

— Najdalej za kwadrans — powiedział marynarz — będziemy się musieli zatrzymać, panie Cyrusie.

— No to się zatrzymamy, Pencroffie, i rozbijemy obóz na noc.

— Jak daleko może być stąd do Granitowego Pałacu? — zapytał Harbert.

— Mniej więcej siedem mil — odparł inżynier — wliczając w to wszystkie zygzaki i zakręty rzeki, które zaprowadziły nas na północny zachód.

— Czy popłyniemy dalej? — zapytał reporter.

— Jak daleko się tylko da — odparł Cyrus Smith. — Jutro skoro świt porzucimy czółno i w ciągu dwóch godzin, jak sądzę, przebędziemy przestrzeń dzielącą nas od morza. W ten sposób zostanie nam prawie cały dzień na badanie wybrzeża.

— A więc naprzód! — odpowiedział Pencroff.

Niebawem łódź zaczęła ocierać się o kamieniste dno rzeki, której szerokość w tym miejscu nie przekraczała dwudziestu stóp. Nad wodą wznosiło się gęste zielone sklepienie i pogrążało rzekę w półmroku. Słychać było wyraźnie szmer wodospadu świadczący o tym, że kilkaset kroków dalej znajduje się naturalna przeszkoda.

Faktycznie, gdy minęli ostatni zakręt rzeki, ujrzeli między drzewami szumiący wodospad. Czółno dotknęło dna i w kilka minut później przywiązano je do pnia przy prawym brzegu rzeki.

Dochodziła godzina piąta. Ostatnie promienie słońca przedzierały się przez gąszcz i padały ukośnie na wodospad, którego rozpylone kropelki połyskiwały tęczowymi barwami. Dalej łożysko rzeki ginęło wśród zarośli, podsycane zapewne przez jakieś ukryte źródło. Wpadające do niej po drodze liczne strumyki czyniły z niej poniżej prawdziwą rzekę, lecz w tym miejscu była tylko przejrzystym, płytkim potoczkiem.

W tej pięknej okolicy rozbito obóz. Koloniści po wyjściu na brzeg rozpalili ogień pod kępą rozłożystych wiązowców, w których gałęziach w razie potrzeby Cyrus Smith i jego towarzysze znaleźliby schronienie na noc.

Wszyscy byli wygłodniali, więc kolację zjedli z wilczym apetytem i pozostało tylko udać się na spoczynek. Ponieważ z zapadnięciem zmierzchu dały się słyszeć jakieś podej-

rzane ryki, dołożono dREW do ognia na noc, aby jego migoczące płomienie ochraniały śpiących. Nab z Pencroffem czuwał przy nim kolejno, nie szcZędząc opału. Być może wzrok ich nie mylił, gdy wydawało im się, że dostrzegają cienie zwierząt krZących dookoła obozowiska, to wśród zarośli, to pomiędzy gałęziami drzew. Noc jednak minęła bez żadnego wydarzenia i nazajutrz, 31 października, o piątej rano wszyscy już byli na nogach, gotowi do dalszej podróży.

ROZDZIAŁ IV

W drodze na wybrzeże. — Znowu gromady małp. — Nowy potok. — Dlaczego nie wyczuwa się pływu morza? — Nadbrzeżny las. — Jaszczurczy Cypel. — Gedeon Spilett wzbudza zazdrość Herberta. — Bambusowe petardy.

O szóstej rano, po śniadaniu, koloniści ruszyli dalej z zamiarem dotarcia jak najkrótszą drogą do zachodniego wybrzeża wyspy. Ile czasu mogło im to zająć? Cyrus Smith uważał, że dwie godziny, ale to oczywiście będzie zależało od rodzaju przeszkód, jakie napotkają. Ta część Lasu Dalekiego Zachodu okazała się olbrzymim gąszczem najróżnorodniejszej roślinności. Wynikała więc z tego prawdopodobnie konieczność torowania sobie drogi przez wysokie trawy, krzaki i liany, przedzierania się z siekierą w rękę, a przy tym i ze strzelbą, zważywszy na ryki dzikich zwierząt słyszane w nocy.

Pozycję obozowiska można było dokładnie ustalić według położenia Góry Franklina, a ponieważ wulkan wznosił się w odległości niespełna trzech mil na północy, trzeba było iść prosto na południowy zachód, aby dotrzeć do zachodniego wybrzeża.

Po silniejszym przywiązaniu czoła do drzewa wyruszyli w drogę. Pencroff z Nabem zabrali zapasy mogące wyżywić drużynę przez co najmniej dwa dni. O polowaniu nie było już mowy, a inżynier zalecił nawet swoim towarzyszom unikanie wszelkich niepotrzebnych wystrzałów, żeby nie zdradzać swojej obecności w okolicy wybrzeża.

Pierwsze uderzenia siekiery rozległy się w zaroślach między drzewami mastyksowymi³⁶, nieco powyżej wodospadu, po czym Cyrus Smith z busołą w dłoni wskazał dalszy kierunek drogi.

Las składał się tutaj z drzew, których większość koloniści rozpoznali już w pobliżu jeziora i Płaskowyzu Pięknego Widoku. Były to cedry himalajskie, daglezie, kazuaryny, gumowce, eukaliptusy, smokowce, ketmie, cedry i inne drzewa, przeważnie średniej wielkości, gdyż gąszcz utrudniał ich rozwój. Koloniści posuwali się naprzód powoli, wyrąbując sobie drogę w kierunku, który zdaniem inżyniera powinien prowadzić w okolice Czerwonego Potoku.

Od chwili wyruszenia koloniści schodzili niskimi zboczami tworzącymi system orograficzny wyspy. Gleba pod ich stopami była bardzo sucha, ale bujna roślinność wskazywała na istnienie bądź to sieci wód podziemnych, bądź też jakiegoś pobliskiego potoku. Mimo to Cyrus Smith nie przypominał sobie, aby podczas swojej wyprawy do krateru zauważył na wyspie jakiś inną rzeczkę poza Czerwonym Potokiem i Rzeką Dziękczynienia.

W pierwszych godzinach drogi spotykano gromady małp okazujących wielkie zdumienie na widok ludzi, którzy byli dla nich zupełną nowością. Gedeon Spilett zapytał żartobliwie, czy aby te zwinne i silne czwororękie stworzenia nie uważają jego i jego towarzyszy za swoich zdegenerowanych braci. Prawdę mówiąc, nasi piechurzy, na każdym kroku powstrzymywani przez zarośla, zmagający się z przeszkodami i zaporami w postaci lian i pni drzew, nie wypadali zbyt dobrze przy tych zwinnych stworzeniach, skaczących swobodnie z gałęzi na gałąź. Małp było dużo, na szczęście jednak nie zdradzały żadnych nieprzyjaznych zamiarów.

Zauważyli także kilka dzików, aguti, kangurów i innych gryzoni, a także dwa lub trzy koale, które Pencroff z ochotą poczęstowałby ładunkiem ołowiu.

— Cóż, kiedy polowanie wzbrownione! — powtarzał. — Skaczcie więc, przyjaciele, biegnajcie i latajcie sobie w pokoju! W drodze powrotnej zamienimy z sobą słoweczko!

³⁶ *drzewo mastyksowe* a. *piścija kleista* (biol.) — drzewo występujące w basenie M. Śródziemnego, wydzielające pachnącą żywicę zwaną mastyksem, używaną gł. w malarstwie do sporządzania werniksów, wykorzystywaną również w farmacji, w dentyście oraz do zaprawiania likierów. [przypis edytorski]

O wpół do dziesiątej drogę, którą postępowali prosto na południowy zachód, nagle zagroził im jakiś nieznany strumień szerokości trzydziestu do czterdziestu stóp, który płynąc wartko spadzistym korytem i obijając się o niezliczone skały, pędził z głuchym łoskotem. Był głęboki i przejrzysty, ale zupełnie nie nadawał się do żeglugi.

— Mamy odciętą drogę! — zawołał Nab.

— Bynajmniej — odparł Harbert. — Przecież to niewielki strumień, możemy go przebyć wplaw.

— Nie trzeba — odpowiedział Cyrus Smith. — To oczywiste, że ten strumień płynie do morza. Idźmy więc, trzymając się jego brzegu, a będę bardzo zdziwiony, jeśli wkrótce nie zaprowadzi nas na wybrzeże. Dalej, w drogę!

— Chwileczkę — odezwał się reporter. — A jak nazwiemy ten potok, przyjaciele? Nie pozostawiamy w naszej geografii żadnych luk.

— Słusznie! — powiedział Pencroff.

— Nazwij ty go, mój chłopcze — powiedział inżynier, zwracając się do Harberta.

— Może lepiej byłoby wstrzymać się, dopóki go nie poznamy aż do samego ujścia? — zauważył Harbert.

— Niech i tak będzie — odparł Cyrus Smith. — Idźmy więc za nim, nie zatrzymując się.

— Jeszcze chwileczkę! — odezwał się Pencroff.

— Co takiego? — zapytał reporter.

— Chociaż polowanie jest zabronione, ale łowienie ryb, jak sądzę, jest dozwolone — powiedział marynarz.

— Nie mamy czasu do stracenia — odparł inżynier.

— O, tylko pięć minut! — powiedział Pencroff. — Proszę tylko o pięć minut dla dobra naszego posiłku.

Pencroff położył się na brzegu, zanurzył ręce w bystry prąd wody i wyciągnął wkrótce kilka tuzinów pięknych raków, od których mrowiło się pomiędzy głazami.

— Wspaniale! — zawołał Nab, przychodząc z pomocą marynarzowi.

— Przecież mówię, że oprócz tytoniu na tej wyspie jest wszystko — mruknął Pencroff z westchnieniem.

Cały ten obfity połów nie zajął nawet pięciu minut, gdyż raków było w potoku co niemiara. Napełniono worek skorupiakami o kobaltowoniebieskich panczykach, uzbrojonych w kolec czolowy, po czym koloniści ruszyli w dalszą drogę.

Droga wzdłuż brzegu nowego potoku była łatwiejsza, toteż koloniści posuwali się szybciej. Na brzegach nie było widać żadnych śladów człowieka. Od czasu do czasu napotykali tylko tropy jakichś dużych zwierząt, które przychodziły do strumienia ugasić pragnienie, ale nic poza tym. To na pewno nie w tej części Lasu Dalekiego Zachodu pekari został postrzelony ziarnkiem śrutu, które Pencroffa kosztowało żąb trzonowy.

Widok tego wartkiego strumienia pędzącego w stronę morza nasunął Cyrusowi Smithowi przypuszczenie, że znajdowali się znacznie dalej od zachodniego wybrzeża, niż sądzili. O tej porze morze przybierało i powinno cofnąć bieg potoku, gdyby do jego ujścia było najwyżej kilka mil. Otóż takie zjawisko nie występowało, a potok płynął naturalnym pochyleniem koryta. Inżynier był bardzo zdziwiony i często spoglądał na busołę, żeby się upewnić, czy przypadkiem jakiś zakręt rzeki nie zaprowadzi ich z powrotem w głąb Lasów Dalekiego Zachodu.

Tymczasem potok stopniowo rozszerzał się, a jego nurt stawał się coraz spokojniejszy. Zarówno na prawym, jak i na lewym brzegu ciągnął się gęsty las i nie dało się sięgnąć dalej wzrokiem. Gęstwiny te były zapewne niezamieszkałe, gdyż Top nie szczekał, a przecież mądre zwierzę bez wątplenia zasygnalizowałoby obecność obcych ludzi w pobliżu.

O wpół do jedenastej ku wielkiemu zdumieniu Cyrusa Smitha Harbert, który nieco wyprzedził swoich towarzyszy, zatrzymał się nagle i zawołał:

— Morze!

W kilka minut później koloniści dotarli na skraj lasu i ujrzeli rozpościerające się przed ich oczyma zachodnie wybrzeże wyspy.

Cóż za kontrast pomiędzy tym wybrzeżem a wschodnim, na które rzucił ich los! Żadnej granitowej ściany, żadnych raf na morzu, nigdzie nawet ławicy piasku. Całe wybrzeże

pokrywał las, a drzewa rosnące na samym skraju, uderzane przez fale morskie, pochylały się nad wodą. Nie było to wybrzeże morskie, jakie zazwyczaj tworzy natura, bądź to rozpościerając wielkie dywany z piasku, bądź też gromadząc skały, lecz wspaniałe pasmo najpiękniejszych na świecie drzew. Brzeg był wysoki, tak że nie dosięgały go fale nawet najwyższych przypliwów, a w żyznej glebie na granitowym podłożu okazałe drzewa zdawały się zakorzenione równie mocno, jak w lasach w głębi wyspy.

Koloniści znaleźli się nad małą zatoczką, niemającą znaczenia jako przystań, gdyż nie zmieściłyby się w niej nawet dwie czy trzy łodzie rybackie. Stanowiła ona jakby gardziel nowo odkrytego potoku, ale, co ciekawe, wody potoku zamiast wpływać do morza łagodnie pochylonym ujściem, spadały z wysokości przeszło czterdziestu stóp, co wyjaśniało, dlaczego przypliw morza zupełnie nie oddziaływał na bieg potoku. Fale Pacyfiku nawet podczas najwyższego przypliwu nie były w stanie osiągnąć poziomu rzeki, której dno tworzyło jakby naturalną, wysoką śluzę, i musiałyby upłynąć jeszcze miliony lat, zanim woda zdołałaby przegryźć te granitowe pokłady i wyżłobić sobie wygodniejsze ujście. Dlatego też jednomyślnie nazwano nowo odkryty potok Rzeką Wodospadu (*Falls-river*).

W kierunku północnym leśny pas wybrzeża ciągnął się na przestrzeni około dwóch mil, potem drzewa stawały się coraz radsze, a za nimi w oddali rysowały się malownicze wzgórza, biegnące prawie w linii prostej z północy na południe. Natomiast wzdłuż części wybrzeża pomiędzy Rzeką Wodospadu a Jaszczurczym Cyplem ciągnął się gęszcz wspaniałych drzew, jednych wznoszących się prosto, innych pochylonych, których korzenie podmywały fale morskie. Dalsze poszukiwania wypadło podjąć właśnie w tej okolicy, to znaczy na całym Półwyspie Wężowym, gdyż ta część wybrzeża oferowała naturalne schronienie, jakiego rozbitkowie na pewno nie znaleźliby po przeciwnej stronie, jałowej i dzikiej.

Pogoda była piękna, niebo czyste, a ze szczytu urwiska, gdzie Nab z Pencroffem przygotowali posiłek, rozpościerał się rozległy widok. Widnokrąg był całkiem pusty, na morzu nie było widać żadnego żagla. Na całym wybrzeżu, jak okiem sięgnąć, nie dostrzegli ani statku, ani nawet szczątków. Jednak inżynier uważał, że nie można mieć całkowitej pewności, dopóki nie zbadają całego wybrzeża aż do najdalszego krańca Półwyspu Wężowego.

W pośpiechu spożyli posiłek i o wpół do dwunastej Cyrus Smith dał znak do wyruszenia w drogę. Zamiast iść grzbietem jakiegoś pagórka czy też piaszczystą plażą koloniści postanowili podążać wśród szpalerów drzew, wzdłuż brzegu morza.

Odległość dzieląca ujście Rzeki Wodospadu od Jaszczurczego Cypla wynosiła mniej więcej dwanaście mil. Na otwartej przestrzeni, nie spiesząc się, koloniści mogliby przebyć ten dystans w ciągu czterech godzin, teraz jednak wymagało to dwa razy więcej czasu, gdyż co chwilę wstrzymywały ich drzewa, które trzeba było omijać, krzaki, które trzeba było wycinać, liany, przez które trzeba się było przedzierać.

Dotychczas nie zauważyli niczego, co by świadczyło o niedawnym rozbiciu się statku na tym wybrzeżu. Jednak, jak słusznie zauważył Gedeon Spilett, morze mogło unieść ze sobą wszystkie szczątki, więc brak śladów nie uprawniał jeszcze do wniosku, że w tej części Wyspy Lincoln żaden statek nie został wyrzucony na brzeg.

Rozumowanie reportera było poprawne, zresztą zdarzenie z ziarnkiem śrutu świadczyło niezbicie, że nie dalej jak trzy miesiące temu na wyspie padł strzał.

Była już piąta, a koloniści mieli jeszcze dwie mile do krańca Półwyspu Wężowego. Było pewne, że po dotarciu do Jaszczurczego Cypla Cyrus Smith i jego towarzysze nie zdążą już wrócić przed zachodem słońca do obozowiska rozłożonego w pobliżu źródeł Rzeki Dziękczynienia. Wynikła stąd konieczność nocowania na cyplu. Na szczęście mieli ze sobą dość żywności, gdyż na skraju lasu nie pokazywała się żadna czworonożna zwierzyna. Za to ptactwa było co niemiara: złotopióry, kuruku, tragopany, preriokury, turaki, papugi, kakadu, bażanty, gołębie i wiele innych. Nie było drzewa, na którym nie byłoby gniazda, nie było gniazda, z którego by się nie rozlegało trzopotanie skrzydeł.

Około siódmej wieczorem koloniści, znużeni trudną drogą, dotarli do Jaszczurczego Cypla, wyglądającego jak dziwaczna woluta³⁷ wykrojona na morzu. Tu kończył się nadbrzeżny las półwyspu, a cała południowa część wybrzeża miała już zwykły wygląd brzegu

³⁷woluta — ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

morskiego ze skałami, rafami i piaskami. Możliwe, że jakiś miotany burzą statek wylądował w tej części wyspy, ale noc już zapadała i trzeba było odłożyć dalsze poszukiwania do następnego dnia.

Pencroff z Harbertem natychmiast zaczęli szukać miejsca dogodnego na nocleg. Na cyplu rosły ostatnie drzewa Lasu Dalekiego Zachodu, a pomiędzy nimi Harbert rozpoznał gęste kępy bambusów.

— Brawo! — zawołał. — Co za cenne odkrycie!

— Cenne? — zapytał Pencroff.

— Oczywiście — odparł Harbert. — Nie muszę ci mówić, Pencroffie, że kora bambusa pocięta w giętkie pasy służy do wyplatania koszy i koszyków; że ta sama kora wyczołowana i roztarta na papkę służy do wyrobu papieru chińskiego; że z łądyg, zależnie od grubości, wyrabia się laski, cybuchy do fajek i rury do prowadzenia wody; że duże bambusy są świetnym materiałem budowlanym, lekkim i trwałym, którego nigdy nie atakują robaki. Nie będę także dodawał, że jeśli utnie się część łądygi pomiędzy dwoma kolankami i użyje tworzącej kolanko poprzecznej przegródki jako denka, można otrzymać trwałe i wygodne naczynia, często używane w Chinach. Nie, to wszystko by cię nie zadowoliło. Ale...

— Ale?...

— Ale powiem ci, jeśli jeszcze tego nie wiesz, że w Indiach jedzą bambusy zamiast szparagów.

— Szparagi o długości trzydziestu stóp! — zawołał marynarz. — I one są dobre?

— Wyśmienite! — odparł Harbert. — Z tym, że nie je się tych wysokich łądyg, lecz jedynie młode pędy bambusa.

— Doskonale, mój chłopcze, doskonale! — odparł Pencroff.

— Dodam jeszcze, że rdzeń tych młodych pędów, zamarynowany w occie, stanowi ceniony dodatek do potraw.

— Coraz lepiej, Harbercie.

— I wreszcie, że bambusy wydzielają pomiędzy kolankami słodki sok, z którego można przyrządzić bardzo smaczny napój.

— I to wszystko? — zapytał marynarz.

— Wszystko.

— A czy przypadkiem nie można ich palić jak tytoniu?

— Nie, nie można, mój biedny Pencroffie.

Harbert z marynarzem nie musieli długo szukać dogodnego miejsca na nocleg. W nadbrzeżnych skałach, poszarpanych od uderzeń fal morskich gnanych przez południowo-zachodnie wichry, pełno było wydrzeń mogących posłużyć za nocne schronienie przed niepogodą. Jednak w chwili gdy zamierzali wejść do jednej z tych jaskiń, powstrzymał ich straszliwy ryk wydobywający się z wnętrza.

— W tył zwrot! — zawołał Pencroff. — Mamy strzelby nabite tylko śrutem, a bestie, co tak pięknie ryczą, tyle by sobie z niego robiły, co z ziarenka soli!

I marynarz, chwyciwszy Harberta za ramię, pociągnął go za sobą za skałę; w tej samej chwili u wylotu jaskini ukazało się potężne zwierzę.

Był to jaguar, co najmniej tak wielki, jak jego współplemieńcy z Azji³⁸, to znaczy, że od końca głowy do nasady ogona mierzył przeszło pięć stóp. Płową sierść zdobiło kilka rzędów regularnie rozmieszczonych, czarnych plam, odcinających się wyraźnie od białego futra na brzuchu. Harbert natychmiast rozpoznał tego okrutnego rywala tygrysa, znacznie bardziej niebezpiecznego niż kuguar³⁹, który może się rywalizować tylko z wilkiem.

Jaguar postąpił naprzód i spoglądał dokoła z najeżoną sierścią, z płonącymi oczami, jak gdyby nie po raz pierwszy przyszło mu spotkać się z człowiekiem.

W tej chwili zza wysokich skał ukazał się reporter, a Harbert, sądząc, że nie zauważył jaguara, już miał biec do niego, gdy Gedeon Spilett dał mu znak ręką i szedł naprzód. Nie pierwszy raz miał do czynienia z tygrysem, toteż zbliżywszy się na dziesięć kroków do

³⁸jaguar (...) wielki, jak jego współplemieńcy z Azji — jaguar to duży amerykański ssak drapieżny o rudozłotym futrze w czarne cętki; trzeci co do wielkości, po żyjącym w Afryce lwie i zamieszkującym Azję tygrysie, przedstawiciel rodziny kotowatych. [przypis edytorski]

³⁹kuguar a. puma — drapieżny ssak z rodziny kotowatych zamieszkujący obie Ameryki; lew górski. [przypis edytorski]

drapieżnika, stanął nieruchomo z karabinem przyłożonym do ramienia i ani jeden mięsień mu nie drgnął.

Jaguar, sprężywszy się, rzucił się na myśliwego, ale w chwili skoku kula trafiła go między oczy i padł martwy.

Harbert z Pencroffem podskoczyli do jaguara. Z drugiej strony nadbiegli Nab z Cyrusem Smithem i przez kilka chwil stali pełni podziwu, przypatrując się rozciągniętemu na ziemi zwierzęciu, którego wspaniała skóra miała niebawem posłużyć za ozdobę wielkiej sali w Granitowym Pałacu.

— Ach, panie Spilett! Jak ja pana podziwiam, jak ja panu zazdrozczę! — zawołał Harbert w przyływie bardzo naturalnego entuzjazmu.

— Cóż, mój chłopcze — odparł reporter — i ty zrobił byś to samo.

— Ja? Ja bym się zdobył na tyle zimnej krwi?...

— Wyobraź sobie, Harbercie, że jaguar jest zającem, a zastrzelisz go najspokojniej w świecie.

— Ot, i wszystko! Całkiem proste! — odparł Pencroff.

— A teraz — powiedział Gedeon Spilett — ponieważ jaguar opuścił swoją kryjówkę, nie widzę powodu, przyjaciele, żebyśmy jej nie zajęli na tę noc.

— Mogą przyjść inne jaguary — powiedział Pencroff.

— Wystarczy rozpalić ogień przy wejściu do jaskini — powiedział reporter — a pewnie żaden nie odważy się przestąpić progu.

— A zatem, do mieszkania jaguara! — odparł marynarz, ciągnąc za sobą ciało zwierzęcia.

Koloniści udali się do opuszczonej jaskini i tam, podczas gdy Nab ściągał skórę z jaguara, reszta jego towarzyszy gromadziła przy wejściu stosy suchego drzewa, którego obficie dostarczał las.

Cyrus Smith zauważył niedaleko kępę bambusów, naciął ich trochę i dorzucił do reszty opału.

Potem rozgościli się w jaskini, która cała zasłana była kośćmi, i nabili broń na wypadek nagłej napaści. Zjedli kolację, a gdy przyszedł czas na spoczynek, podłożyli ogień pod stos drewna ułożony u wejścia jaskini.

Wkrótce rozległ się w powietrzu trzask i urywany huk. To bambusy, ogarnięte płomieniami, strzelały jak fajerwerki. Już sam ten hałas wystarczyłby, żeby odstraszyć najzuchwalsze bestie.

Ten sposób wywoływania głośnych wybuchów nie był wcale wynalazkiem inżyniera, gdyż jak twierdzi Marco Polo⁴⁰, Tatarzy już przed wiekami używali go z powodzeniem do odstraszenia od swych obozowisk groźnych drapieżników zamieszkujących Środkową Azję⁴¹.

ROZDZIAŁ V

Projekt powrotu południowym wybrzeżem. — Ukształtowanie wybrzeża. — Poszukiwania domniemanych rozbitków. — Szczątki w powietrzu. — Odkrycie małej naturalnej przystani. — O północy nad brzegami Rzeki Dziękczynienia. — Płynące czółno.

Cyrus Smith i jego towarzysze spali jak susły w jaskini, którą jaguar tak uprzejmie im ustąpił.

O wschodzie słońca wszyscy byli już nad brzegiem morza, na samym skraju cypla, a ich wzrok znów wybiegał na krańce horyzontu, widocznego w dwóch trzecich obwodu. Po raz ostatni inżynier stwierdził, że na morzu nie ma żadnego żagla ani wraku statku, i nawet przez lunetę nie mógł dostrzec niczego podejrzanego.

⁴⁰ *Polo, Marco* (1254–1324) — wenecki podróżnik i kupiec; podróżując Jedwabnym Szlakiem, przemierzył całą Środkową Azję i dotarł do Chin, po powrocie podyktował swoje spostrzeżenia w formie pamiętników; uważany za najwybitniejszego podróżnika europejskiego w średniowieczu. [przypis edytorski]

⁴¹ jak twierdzi *Marco Polo*, *Tatarzy (...)* używali go (...) do odstraszenia od swych obozowisk groźnych drapieżników zamieszkujących Środkową Azję — w swoim *Opisaniu świata* (II, 45) Marco Polo stwierdza, że w ten sposób odstraszały dzikie zwierzęta podróżnicy i kupcy w Tybecie. [przypis edytorski]

Na wybrzeżu także nic nie było widać, przynajmniej w tej części, która ciągnąc się w linii prostej, tworzyła południowy brzeg cypla na długości trzech mil; dalej bowiem liczne urwiska i załomy zasłaniały resztę wybrzeża, tak że nawet z samego końca Półwyspu Wężowego nie można było dostrzec Przylądka Szponu, zasłoniętego przez wysokie skały.

Pozostawało im zatem zbadać jeszcze południowe wybrzeże wyspy. Czy należało przystąpić do tego natychmiast i poświęcić badaniom cały ten dzień, 2 listopada?

To nie wchodziło w zakres ich pierwotnego planu. Zostawiając czołno u źródeł Rzeki Dziękczynienia, koloniści postanowili, że po zbadaniu zachodniego wybrzeża powrócą do czołna i rzeką popłyną z powrotem do Granitowego Pałacu. Cyrus Smith sądził wówczas, że na zachodnim wybrzeżu znajdzie się przystań zdolna posłużyć czy to za schronienie dla statku uszkodzonego burzą, czy też za miejsce postoju dla statku odbywającego regularny kurs. Od chwili jednak, kiedy przekonali się, że nie było tu nigdzie miejsca odpowiedniego do wylądowania, trzeba było na południu wyspy szukać tego, czego nie znaleźli na zachodzie.

Gedeon Spilett zaproponował dalsze poszukiwania, żeby ostatecznie rozstrzygnąć sprawę domniemanego rozbicia się statku, i zapytał, w jakiej odległości mógł się znajdować Przylądek Szponu od końca półwyspu.

— Około trzydziestu mil — odparł inżynier — biorąc pod uwagę wszystkie zakręty i załomy wybrzeża.

— Trzydzieści mil! — ciągnął dalej Gedeon Spilett. — To dobry dzień drogi. Mimo to sądzę, że idąc cały czas wzdłuż południowego wybrzeża, powinniśmy wrócić do Granitowego Pałacu.

— Ależ od Przylądka Szponu do Granitowego Pałacu trzeba liczyć jeszcze co najmniej dziesięć mil — zauważył Harbert.

— Przypuśćmy zatem, że ogółem czterdzieści mil — odparł reporter — i nie cofajmy się przed nimi. Przynajmniej obejrzymy nieznanne wybrzeże i nie trzeba będzie powtarzać tego po raz drugi.

— Bardzo słusznie — powiedział na to Pencroff. — Ale co będzie z czołnem?

— Skoro czołno zostało samo u źródeł Rzeki Dziękczynienia na jeden dzień, to może pozostać i przez dwa dni. Jak dotąd nie możemy się uskarżać, żeby wyspę niepokoił złodzieje.

— A jednak — powiedział marynarz — kiedy przypomnę sobie historię z żółwiem, to nie mam już takiej pewności.

— Żółw! Żółw! — odparł reporter. — Czy pan nie wie, że to morze postawiło go na nogi?

— Kto wie? — mruknął inżynier.

— Ale... — odezwał się Nab.

Nab miał widocznie coś do powiedzenia, bo otworzył usta, ale zamilkł.

— Co chciałeś powiedzieć, Nabie? — zapytał go inżynier.

— Jeśli wrócimy brzegiem aż do Przylądka Szponu — odparł Nab — to po obejściu tego przylądka przetnie nam drogę...

— Rzeką Dziękczynienia! Rzeczywiście — odparł Harbert. — I nie będziemy mieli ani mostu, ani łodzi, żeby przedostać się na drugą stronę.

— Cóż, panie Cyrusie — odparł Pencroff. — Kilka pływających pni i damy jakoś radę przepłynąć rzekę!

— Mimo to — powiedział Gedeon Spilett — jeśli chcemy mieć łatwy dostęp do Lasu Dalekiego Zachodu, warto byłoby zbudować most.

— Most! — zawołał Pencroff. — No cóż, przecież pan Smith jest inżynierem z zawodu. Kiedy zechcemy mostu, to nam zbuduje most! A jeśli chodzi o to, żeby przeprowadzić was na drugi brzeg Rzeki Dziękczynienia, i to bez zamoczenia choćby jednej nitki, to biorę to na siebie. Mamy jeszcze żywności na jeden dzień, więc nam niczego nie trzeba, a zresztą, może dziś nie zabraknie nam zwierzyny tak jak wczoraj. W drogę!

Wniosek reportera, tak żywo poparty przez marynarza, uzyskał ogólną aprobatę, każdemu bowiem zależało na tym, aby rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości, a powrót przez Przylądek Szponu zakończyłby poszukiwania na wyspie. Nie było czasu do stracenia, bo czterdzieści mil to spory kawałek drogi i nie było co liczyć na dotarcie do Granitowego Pałacu przed zmrokiem.

O szóstej rano drużyna ruszyła w drogę. Na wypadek jakiegoś spotkania z dwu- lub czworonożnymi zwierzętami ponabijano strzelby kulami, a Top, który miał biec na czele pochodu, otrzymał rozkaz przeszukiwania zarośli na skraju lasu.

Począwszy od najdalszego krańca cypla, tworzącego jakby ogon półwyspu, brzeg na długości pięciu mil zaokrąglął się. Odległość tę przebyto szybko, jednak pomimo najskrupulatniejszych poszukiwań nigdzie nie odkryto najmniejszych śladów ani dawniejszego, ani nowszego lądowania, żadnych szczątków ani pozostałości obozowiska, ani popiołu z wygasłego ogniska, ani odcisku ludzkiej stopy.

Doszedłszy do miejsca, gdzie kończyło się zaokrąglenie i brzeg ciągnął się dalej w kierunku północno-wschodnim, tworząc Zatokę Waszyngtona, koloniści mogli ogarnąć wzrokiem południowe wybrzeże wyspy w całej okazałości. W odległości dwudziestu pięciu mil brzeg kończył się Przylądkiem Szponu, który ledwie majaczył w porannej mgłę. Wskutek zjawiska mirażu wydawał się jakby zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Od miejsca, w którym znajdowali się koloniści, aż do środka łuku wielkiej zatoki ciągnęła się szeroka, płaska i równa plaża, obwiedziona w dalszym planie drzewami. Dalej brzeg stawał się coraz bardziej nieregularny i wybiegał w morze tysiącem spiczastych języków, a za nimi piętrzyły się w malowniczym nieładzie czarniawe skały na samym końcu Przylądka Szponu.

Tak wyglądała ta część wyspy, którą koloniści widzieli po raz pierwszy. Zatrzymali się na chwilę i obrzucili ją wzrokiem wzdłuż i wszerz.

— Statek, który by tu wpłynął — odezwał się Pencroff — byłby niechybnie zgubiony. Ławice piasku ciągnące się daleko w morze, a dalej rafy podwodne! Niebezpieczna okolica!

— Ale w każdym razie coś by z takiego statku pozostało — zauważył reporter.

— Na rafach zostałyby z niego drzazgi, a na piaskach nic — odparł marynarz.

— A to czemu?

— Ponieważ piaski są bardziej niebezpieczne od skał, pochłaniają wszystko, co w nie wpadnie. Wystarczy kilka dni, aby statek mający kilkaset ton wyporności zapadł się w nich bez śladu.

— A zatem, Pencroffie — zapytał inżynier — gdyby jakiś statek zapędził się w te piaski, nie byłoby dziwne, jeśliby nic po nim nie pozostało?

— Ani trochę, panie Smith, zwłaszcza przy niepokodzie i burzach. Jednak i wówczas byłoby dziwne, gdyby szczątki masztów i lin nie zostały wyrzucone na brzeg, poza zasięg fal.

— Szukajmy więc dalej — odparł Cyrus Smith.

O pierwszej po południu koloniści dotarli do środkowego punktu Zatoki Waszyngtona, mając za sobą dwadzieścia mil przebytej drogi.

Zatrzymali się na posilek.

Od tego miejsca zaczynał się nieregularny, dziwnie poszarpany brzeg, gdzie zamiast ławic piasku ciągnęła się długa linia raf, których wierzchołki zaczynał odsłaniać odpływ. Fale morskie łamały się na tych skałach i rozpryskiwały się w długie frędzle śnieżystej piany. Dalej, aż do samego Przylądka Szponu, piaszczysty brzeg był wąski, ściśnięty pomiędzy szeregiem raf a krawędzią lasu.

Posuwanie się naprzód stało się odtąd uciążliwsze, gdyż wybrzeże tarasowały liczne rumowiska głazów. Granitowa ściana rosła coraz wyżej, tak że z drzew, które rosły w tyle na jej szczytach, widać było zaledwie zieleniejące wierzchołki, nieporuszane najmniejszym powiewem wiatru.

Po półgodzinnym spoczynku koloniści ruszyli w dalszą drogę, nie omijając wzrokiem żadnego punktu, ani wśród skał, ani na plaży. Pencroff z Nabem zapędzali się nawet pomiędzy rafy za każdym razem, gdy coś zwróciło ich uwagę. Nie znajdowali jednak nic oprócz dziwnie ukształtowanych głazów, które zwodziły wzrok. Przy okazji mogli przekonać się, że plaża obfitowała w jadalne małże, ale będzie można z tego bardziej skorzystać dopiero wtedy, kiedy się ustanowi jakieś połączenie pomiędzy obydwoma brzegami Rzeki Dziękczynienia i udoskonali środki transportu.

Tak więc na wybrzeżu nie było żadnego śladu domniemanej katastrofy, choć każdy przedmiot, który by o niej świadczył, na przykład kadłub statku, byłby doskonale widoczny albo morze wyrzuciłoby jego szczątki na brzeg, podobnie jak się to stało ze skrzynią znalezioną o prawie dwadzieścia mil stąd. Tymczasem nie było tu nic.

Około trzeciej po południu Cyrus Smith i jego towarzysze przybyli do wąskiej, dobrze osłoniętej zatoczki, do której nie wpadał żaden potok. Tworzyła ona rodzaj małej naturalnej przystani, niewidocznej od strony otwartego morza, z którym łączyło ją ciasne przejście pomiędzy rafami.

W głębi zatoczki jakiś gwałtowny wstrząs rozdarł krawędź skalną i łagodnie nachylona szczyba prowadziła w górę na płaskowyż, który znajdował się o niecałe dziesięć mil od Przylądka Szponu, czyli o cztery mile w linii prostej od Płaskowyżu Pięknego Widoku.

Gedeon Spilett zaproponował towarzyszom, by zatrzymali się w tym miejscu. Zgodzili się na to, gdyż wędrówka zaostrzyła wszystkim apetyt i chociaż nie była to jeszcze godzina obiadowa, każdy chętnie posilił się kawałkiem dziczyzny. Ta przekąska miała im wystarczyć aż do kolacji w Granitowym Pałacu.

W kilka minut później koloniści, siedząc pod pięknym sklepieniem morskich sosen, spożywali zapasy, które Nab wydobyl ze swego tłumoczką.

Miejsce to wznosiło się pięćdziesiąt do sześćdziesiąt stóp ponad poziomem morza. Widok zatem był dość rozległy, a wzrok prześlizgując się nad ostatnimi skałami przylądka, gubił się w Zatoce Stanów Zjednoczonych. Nie była natomiast widoczna ani wysepka, ani Płaskowyż Pięknego Widoku, gdyż ukształtowanie terenu i zasłona olbrzymich drzew zakrywały zupełnie północny horyzont.

Nie trzeba dodawać, że chociaż koloniści ogarniali wzrokiem tak szeroką przestrzeń morza, a inżynier zbadał lunetą punkt po punkcie cały łuk linii horyzontu, gdzie niebo zlewało się z morzem, nigdzie nie dostrzeżono żadnego statku.

Całą niezbadaną jeszcze część wybrzeża tak samo sprawdzono przez lunetę wzdłuż i wszerz, poczynawszy od plaży aż do raf, lecz w polu widzenia nie pojawiły się żadne szczątki.

— No cóż — powiedział Gedeon Spilett — trzeba się pogodzić z rzeczywistością i pocieszyć tym, że przynajmniej nikt nie będzie kwestionował naszych praw do Wyspy Lincoln.

— A ziarno śrutu?! — zawołał Harbert. — Przecież nie było urojeniem!

— Do kroćset, pewnie że nie! — zawołał Pencroff, pamiętając o straconym zębie.

— Jaki stąd wniosek? — zapytał reporter.

— Taki — odparł inżynier — że nie dalej jak trzy miesiące temu jakiś statek dobrowlnie czy przymusowo wylądował na wyspie.

— Jak to? Sądzi pan, panie Cyrusie, że został pochłonięty bez śladu? — zapytał reporter.

— Nie, drogi Spilett. Niech pan jednak zauważy, że jeśli jest pewne, że jakiś człowiek postawił stopę na wyspie, to wydaje się równie pewne, że ją już opuścił.

— Więc, jeśli pana dobrze rozumiem, panie Cyrusie — powiedział Harbert — statek, który tu przybił, już odpłynął?...

— Oczywiście.

— A my straciliśmy bezpowrotnie okazję zobaczenia kiedykolwiek naszej ojczyzny? — zapytał Nab.

— Obawiam się, że bezpowrotnie.

— A zatem, skoro straciliśmy okazję, ruszajmy dalej — powiedział Pencroff, który zaczął już tęsknić za Granitowym Pałacem.

Ledwie jednak zdążyli się podnieść, gdy nagle rozległo się głośnie szczekanie Topa, a po chwili pies wybiegł z lasu, trzymając w pysku kawałek jakiegoś materiału zabrudzonego błotem.

Nab wydarł mu z pyska szmatę. Był to kawałek mocnego płótna.

Top szczekał nieustannie i biegając wciąż tam i z powrotem, zdawał się zachęcać swego pana, aby szedł za nim do lasu.

— Tam jest coś, co może wyjaśni sprawę ziarnka śrutu! — zawołał Pencroff.

— Rozbitek! — odparł Harbert.

— Może ranny! — powiedział Nab.

— Lub martwy! — odparł reporter.

I wszyscy razem pobiegli za psem pomiędzy olbrzymie sosny tworzące pierwszą linię lasu. Na wszelki wypadek Cyrus Smith i jego towarzysze mieli broń w pogotowiu.

Musieli zapuścić się dość daleko w las, lecz ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu nie spostrzegli ani śladu ludzkiej stopy. Zarośla i liany były nietknięte, a nawet trzeba

było wycinać sobie przez nie drogę siekierą, tak jak to robili w gąszczu w samej głębi lasu. Trudno było przypuszczać, żeby przechodził tędy jakiś człowiek, a jednak Top biegł tam i z powrotem, nie jak pies, który węszy w przypadkowych miejscach, ale jak gdyby świadomie dążył do jakiegoś określonego celu.

Po siedmiu czy ośmiu minutach Top się zatrzymał. Koloniści wyszli na polankę otoczoną wysokimi drzewami, rozejrzeli się dookoła, ale nie dostrzegli nic ani pomiędzy krzakami, ani pomiędzy drzewami.

— O co chodzi, Topie? — zapytał Cyrus Smith.

Top zaczął szczekać jeszcze głośniejsze, skacząc dokoła pnia olbrzymiej sosny.

Nagle Pencroff zawołał:

— A to dobre! A to świetne!

— Co takiego? — zapytał Gedeon Spilet.

— Szukamy szczątków statku na morzu i ziemi!

— No i co?

— No i to, że one znajdują się w powietrzu!

I marynarz wskazał ręką wielką białawą płachtę zawieszoną na szczycie sosny. Jej kawałek spadł na ziemię i ten właśnie kawałek znalazł Top i im przyniósł.

— Ależ to nie są szczątki statku! — zawołał Gedeon Spillet.

— O, za pozwoleniem! — odparł Pencroff.

— Jak to? Więc to?...

— To są szczątki naszego statku powietrznego, naszego balonu, który spadł tam wysoko, na wierzchołek tego drzewa!

Pencroff nie mylił się, wzniósł wspaniałe „hurra!” i dodał:

— Teraz mamy wspaniałe płótno! Będziemy z niego mieli bieliznę na długie lata! Jest z czego szyć chustki i koszule! Ha, panie Spilett, co pan powie na taką wyspę, gdzie koszule rosną na drzewach?

Był to istotnie bardzo szczęśliwy traf dla kolonistów Wyspy Lincoln, że balon, wzbiwszy się po raz ostatni w powietrze, spadł na wyspę i że przypadkiem udało się go odnaleźć. Mogli więc albo zachować powłokę balonu w takim stanie, w jakim była, gdyby zechcieli spróbować powrotu ponownie drogą powietrzną, albo też zużytkować z korzyścią dla siebie tych kilkaset łokci doskonałej tkaniny bawełnianej, oczyściwszy ją uprzednio z lakieru. Łatwo sobie wyobrazić, że radość Pencroffa udzieliła się wszystkim.

Najpierw trzeba było zdjąć powłokę balonu z drzewa, na którym wisiała, aby przechować ją w bezpiecznym miejscu, a to wymagało niemałej pracy. Nab, Harbert i marynarz wdrapali się na wierzchołek drzewa i musieli dokonywać cudów zręczności, aby ściągnąć na dół olbrzymi obwisły balon.

Praca trwała prawie dwie godziny. Wreszcie udało się sprowadzić na ziemię nie tylko powłokę z wentylem, sprężynami i mosiężnymi okuciami, ale i całą siatkę, czyli wielką ilość lin i sznurów razem z obręczą oraz kotwicą. Powłoka balonu zachowała się w dobrym stanie oprócz pęknięcia w jednym miejscu i podartego rękawa u dołu.

Było to bogactwo, które dosłownie spadło im z nieba.

— Mimo wszystko, panie Cyrusie — odezwał się marynarz — gdybyśmy kiedyś zdecydowali się opuścić wyspę, to nie balonem, prawda? Taki statek powietrzny nigdy nie leci tam, gdzie się chce, już my coś o tym wiemy! Widzi pan, jeśli mi pan zaufa, zbudujemy porządny statek o wyporności dwudziestu ton, a pan pozwoli mi wyciąć z tego płótna grot⁴² i fok⁴³. Reszta pójdzie na bieliznę!

— Zobaczmy Pencroffie, zobaczmy — odparł Cyrus Smith.

— Tymczasem trzeba to wszystko bezpiecznie ukryć — powiedział Nab.

Rzeczywiście, nie można było nawet myśleć o przeniesieniu do Granitowego Pałacu takiej ilości płótna, lin i sznurów, gdyż ich ciężar był znaczny, a do czasu sprowadzenia odpowiedniego pojazdu nie można było zostawić tych bogactw na łasce pierwszego lepszego huraganu. Koloniści wspólnymi siłami zaciągnęli więc wszystko na brzeg morza, gdzie odkryli dość obszerną jaskinię, do której dzięki jej położeniu nie miały dostępu wichry, deszcze ani woda morska.

⁴²grot — główny, największy żagiel, zawieszany na głównym maszcie jednostki pływającej. [przypis edytorski]

⁴³fok — główny żagiel na przednim maszcie; na jednostkach jednomasztowych: trójkatny żagiel przedni. [przypis edytorski]

— Potrzebowaliśmy szafy, mamy szafę — powiedział Pencroff. — A skoro nie zamyka się na klucz, to trzeba będzie zamaskować jej otwór. Nie mam na myśli złodziei dwunożnych, ale czworonożnych.

O szóstej wieczorem wszystko było już schowane i po nadaniu zatoczce słusznej nazwy Przystani Balonowej koloniści ruszyli w dalszą drogę w stronę Przyładka Szponu. Pencroff z inżynierem dyskutowali o rozmaitych planach, które należało zrealizować w jak najkrótszym czasie. Przede wszystkim trzeba będzie wybudować most na Rzece Dziękczynienia, aby ułatwić komunikację z południową częścią wyspy, potem wrócić wózkami po balon, gdyż czółno by go nie uniosło, następnie wybudować szalupę z pokładem, którą potem Pencroff wyposaży w takielunek⁴⁴ jak kuter, tak że będzie można wyruszać na wyprawę... dookoła wyspy, potem... i tak dalej.

Tymczasem zapadł zmrok i było już ciemno, gdy przybyli do Cypla Znaleźiska, do miejsca, gdzie znaleźli cenną skrzynię. Ale i tutaj, tak samo, jak gdzie indziej, nic nie wskazywało na to, że rozbił się jakiś statek, i trzeba było wrócić do wniosków sformułowanych poprzednio przez Cyrusa Smitha.

Od Cypla Znaleźiska do Granitowego Pałacu pozostawały jeszcze cztery mile, które można było szybko przebyć. Ale było już po północy, gdy koloniści, idąc ciągle brzegiem morza w kierunku ujścia Rzeki Dziękczynienia, dotarli do jej pierwszego zakrętu.

W tym miejscu koryto miało osiemdziesiąt stóp szerokości i trudno się było przeprawić na drugi brzeg, ale Pencroff podjął się pokonać tę przeszkodę, więc wezwano go, żeby dotrzymał słowa.

Trzeba przyznać, że podróżni byli wyczerpani. Podróż była daleka, a znalezienie balonu spowodowało, że nie mieli czasu na odpoczynek. Pilno im więc było do Granitowego Pałacu, żeby zjeść kolację i przespać się, i gdyby most już stał, w ciągu kwadransa byłiby w domu.

Noc była bardzo ciemna. Pencroff, chcąc dotrzymać obietnicy, rozpoczął przygotowania do budowy tratwy, na której można by było przepłynąć na drugi brzeg Rzeki Dziękczynienia. Obaj z Nabem, uzbrojeni w siekiery, wybrali dwa drzewa rosnące blisko brzegu i zabrali się za ich ścinanie.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, siedząc na brzegu, czekali na chwilę, w której będzie potrzebna ich pomoc, podczas gdy Harbert przechadzał się tam i z powrotem, nie oddalając się zbyt daleko.

Nagle Harbert, który poszedł w górę rzeki, powrócił pędem i wskazując na wodę, zawołał:

— Co tam płynie?

Pencroff przerwał pracę i zauważył jakiś poruszający się przedmiot, wynurzający się z nocnego mroku.

— Czółno! — powiedział.

Wszyscy podbiegli do brzegu i ku swemu największemu zdziwieniu ujrzeli jakąś łódź płynącą z prądem rzeki.

— Ahoj, tam na łodzi! — zawołał marynarz z zawodowego przyzwyczajenia, nie zważając na to, że może lepiej by było zachować milczenie.

Nikt nie odpowiadał. Łódź płynęła dalej i gdy się zbliżyła na dziesięć kroków, marynarz zawołał:

— Przecież to nasze czółno! Urwało się z cumy i popłynęło z prądem! Trzeba przyznać, że zjawia się w odpowiedniej chwili.

— Nasze czółno?... — mruknął inżynier.

Pencroff miał słuszną rację. Było to rzeczywiście czółno, które zapewne zerwało się z uwięzi i samo wracało od źródeł Rzeki Dziękczynienia. Trzeba było teraz koniecznie schwytać je w biegu, zanim wartki prąd wody uniesie je poza ujście rzeki. Nab z Pencroffem poradzili sobie z tym bardzo zrećznie za pomocą długiej żerdzi.

Czółno przybiło do brzegu. Inżynier wskoczył w nie pierwszy, wziął linę do ręki i upewnił się dotykiem, że rzeczywiście przetarła się o skały.

— O, to się nazywa — powiedział do niego reporter — to się nazywa traf...

— Dziwny! — odparł Cyrus Smith.

⁴⁴takielunek — omasztowanie i olinowanie statku. [przypis edytorski]

Dziwny czy nie, w każdym razie był to traf szczęśliwy. Harbert, reporter, Nab i Pencroff kolejno zajęli miejsca w czółnie. Nie wątpili, że lina się przetarła, ale najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że czółno nadpłynęło właśnie w chwili, gdy koloniści byli na brzegu i mogli je schwytać, gdyż w kwadrans później zaginęłoby na morzu.

Gdyby to były czasy, w których na ziemi żyły duchy opiekuńcze, po tym zdarzeniu można by było sądzić, że wyspę zamieszkiwała jakaś istota nadprzyrodzona, która oddała swoją moc na usługi rozbitków.

Po kilku uderzeniach wiosłem dopłynęli do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Wyciągnęli czółno na brzeg niedaleko Kominów i wszyscy ruszyli w stronę drabinki zwisającej z Granitowego Pałacu.

Ale w tej chwili Top zaszczekał gniewnie, a Nab, który szukał pierwszego stopnia drabinki, krzyknął...

Drabinka zniknęła.

ROZDZIAŁ VI

Wołanie Pencroffa. — Noc w Kominach. — Strzala Harberta. — Projekt Cyrusa Smitha. — Niespodziewane rozwiązanie. — Co się działo w Granitowym Pałacu. — Nowy służący kolonistów.

Cyrus Smith zatrzymał się, nie mówiąc ani słowa. Jego towarzysze szukali po omacku wzdłuż ściany i na ziemi, przypuszczając, że może wiatr przesunął drabinkę albo ją strącił... Ale zniknęła bez śladu. W ciemności nie dało się stwierdzić, czy przypadkiem wicher nie rzucił jej na podest w połowie granitowej ściany.

— Jeśli to ma być żart — zawołał Pencroff — to kiepski! Przyjść do domu i nie znaleźć schodów do własnego mieszkania, to doprawdy nie jest powód do śmiechu dla zmęczonych ludzi!

Nab wydawał z siebie okrzyki zaskoczenia.

— Przecież nie było wiatru! — zauważył Harbert.

— Zaczynam być zdania, że na Wyspie Lincolna dzieją się dziwne rzeczy! — powiedział Pencroff.

— Dziwne? — odparł Gedeon Spilet — Wcale nie, Pencroffie, całkiem naturalne. Podczas naszej nieobecności ktoś przyszedł, zajął nasz dom i ściągnął drabinkę!

— Ktoś! — zawołał marynarz. — Ale kto taki?...

— Nikt inny, tylko myśliwy z ziarnkiem śrutu — odparł reporter. — Do czego byłby potrzebny, gdyby nie wyjaśniał dzisiejszego wypadku?

— No cóż — odparł Pencroff, klnąc, gdyż zniecierpliwienie zaczęło brać nad nim górę — jeśli tam ktoś jest na górze, wywołam go i radzę mu odpowiedzieć.

I grzmiącym głosem marynarz zawołał: „Ahoj!”, a echo głośno powtarzało okrzyk.

Koloniści wyczęli słuch i zdawało im się, że z wysokości Granitowego Pałacu dobiegł jakiś szyderczy śmiech, ale nie mogli rozpoznać, kto go wydał. Żaden głos nie odpowiedział na wołanie Pencroffa, który bezskutecznie powtarzał swoje wezwanie.

Doprawdy mogło to wprawić w zdumienie nawet najbardziej obojętnych ludzi, a koloniści bynajmniej nie byli obojętni. W ich sytuacji każde zdarzenie było znaczące, a z pewnością od siedmiu miesięcy, przez które zamieszkiwali wyspę, żadne nie było tak niespodziewane i niezwykle.

Pochłonięci dziwacznością tego zdarzenia, zapomniawszy o zmęczeniu, stali u podnóża Granitowego Pałacu, nie wiedząc, ani co myśleć, ani co począć, zadając sobie wzajemnie pytania, na które żaden nie był w stanie odpowiedzieć, i mnożąc w nieskończoność przypuszczenia, jedne bardziej nieprawdopodobne od drugich. Nab nie przestawał lamentować, zrozpaczony tym, że nie może dostać się do kuchni, tym bardziej że zapasy podrózne już się wyczerpały, a w tej chwili nie było jak zdobyć jedzenia.

— Przyjaciele — odezwał się wówczas Cyrus Smith — jedyne, co możemy zrobić, to poczekać aż się rozwidni, a potem działać stosownie do okoliczności. Chodźmy teraz do Kominów. Tam będziemy bezpieczni, a chociaż nie mamy nic do jedzenia, przynajmniej będziemy mogli się przespać.

— Ale co to zuchwalec spletał tego figła? — zapytał raz jeszcze Pencroff, który w żaden sposób nie mógł się uspokoić.

Kimkolwiek był ten „zuchwalec”, jedyne, co mogli zrobić, to pójść za radą inżyniera, udać się do Kominów i tam oczekiwać dnia. Na wszelki wypadek Topowi wydano rozkaz, żeby warował pod oknami Granitowego Pałacu, a kiedy Top otrzymywał jakiś rozkaz, spełniał go zawsze bez wahania. Dzielnny pies pozostał zatem u stóp ściany, podczas gdy jego pan wraz z towarzyszami schronili się wśród skał.

Powiedzieć, że koloniści pomimo zmęczenia dobrze spali na piasku w Kominach, oznaczałoby minąć się z prawdą. Posłania były bardzo niewygodne, ale przede wszystkim niepokoił ich nowy wydarzenie. Próbowali zrozumieć, czy spowodował je jakiś ślepy przypadek, którego przyczynę odkryją z nadejściem dnia, czy też było dziełem istoty ludzkiej. W każdym razie, z tej czy innej przyczyny, ich mieszkanie było w tej chwili zajęte przez kogoś innego i nie mogli się do niego dostać.

Granitowy Pałac był dla nich więcej niż schronieniem, był ich składem, ich magazynem. W jego murach znajdował się cały dobytek kolonii: broń, instrumenty, narzędzia, amunicja, zapasy żywności i tak dalej. Gdyby to wszystko zostało zrabowane, musieliby się urządzać od nowa, od nowa robić broń i narzędzia. Sprawa była bardzo poważna. Dlatego, dręczeni niepokojem, jeden po drugim wychodzili co chwilę, aby przekonać się, czy Top pilnie czuwa. Jedyne Cyrus Smith czekał ze swoją zwykłą cierpliwością, pomimo że jego ścisły umysł irytowała świadomość, że znalazł się w obliczu zupełnie niewytłumaczalnego faktu, pomimo że wzdygał się na myśl, że tuż koło niego, a może tuż nad nim dzieje się coś, czego nie umie wytłumaczyć. Gedeon Spilett całkowicie podzielał jego odczucia i obaj od czasu do czasu rozmawiali półgłosem o tych zagadkowych wypadkach, wobec których cała ich przenikliwość i doświadczenie okazały się bezsilne. Nie ulegało wątpliwości, że wyspa skrywa jakąś tajemnicę, ale jak ją przeniknąć? Harbert gubił się w domysłach i chętnie zapytałby Cyrusa Smitha. Z kolei Nab powiedział sobie, że to go nie obchodzi, że to jest rzeczą jego pana, i gdyby się nie obawiał urazić tym swoich towarzyszy, poczciwy Murzyn przespałby tę noc tak samo spokojnie jak w swoim łóżku w Granitowym Pałacu.

Najbardziej ze wszystkich złościł się Pencroff, który po prostu nie mógł opanować wściekłości.

— To figiel — mówił — ktoś nam spletał figła! Ale ja, ja nie lubię figli i biada figlarzowi, jeśli wpadnie w moje ręce!

Gdy tylko na wschodzie zaświtał pierwszy brzask, koloniści, odpowiednio uzbrojeni, udali się na brzeg morza w pobliżu raf. Promienie wschodzącego słońca miały wkrótce oświetlić Granitowy Pałac. Rzeczywiście, przed piątą przez zasłony zieleni można było dojrzeć zamknięte okiennicami okna.

Z tej strony wszystko było w porządku, ale wkrótce z piersi kolonistów wydarł się okrzyk, gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli przed udaniem się w drogę, były teraz szeroko otwarte.

Ktoś wprowadził się do Granitowego Pałacu. To już nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

Górna drabinka, zwykle rozciągnięta od drzwi do podestu, wisiała na swoim miejscu, ale dolna została podciągnięta w górę aż do samego progu. Było oczywiste, że nieproszeni goście chcieli się zabezpieczyć przed wszelkimi niespodziankami.

Na razie nie można było rozpoznać, kim są ani ilu ich jest, gdyż żaden z nich jeszcze się nie pokazał.

Pencroff znowu zaczął nawoływać.

Żadnej odpowiedzi.

— A to draby! — zawołał marynarz. — Śpią sobie spokojnie, jakby byli u siebie! Ahoj!... Piraci, bandyci, korsarze, synowie Johna Bulla⁴⁵!

Gdy Pencroff, który był Amerykaninem, nazywał kogoś „synem Johna Bulla”, oznaczało to, że wyczerpują mu się obelgi.

⁴⁵*John Bull* — narodowa personifikacja Wielkiej Brytanii, powstała z literackiej postaci stereotypowego porwyczego i grubiańskiego Anglika, występującej w serii pamfletów z 1712 r. szkockiego pisarza Johna Arbuthnota. [przypis edytorski]

W tej chwili rozjaśniło się zupełnie i fasada Granitowego Pałacu rozbłysła od promieni słonecznych. Ale tak na zewnątrz, jak wewnątrz panowała zupełna cisza.

Koloniści zastanawiali się, czy Granitowy Pałac rzeczywiście jest przez kogoś zajęty, lecz położenie drabinki świadczyło o tym niezbicie. Nie ulegało też wątpliwości, że nieproszeni goście, kimkolwiek byli, nie stamtąd mogli uciec. Ale jak się do nich dostać?

Wtedy Harbert wpadł na pomysł, aby przywiązać sznurek do strzały i wystrzelić ją tak, żeby przeleciała pomiędzy pierwszymi szczeblami drabinki wiszącej u progu drzwi. Wówczas można by było za pomocą sznurka ściągnąć drabinkę na ziemię i przywrócić komunikację między dołem a górą.

Innego sposobu nie było, a przy odrobinie zręczności musiało się udać. Na szczęście łuki i strzały były złożone w jednym z korytarzy w Kominach, gdzie znajdowało się także ze dwadzieścia sążni lekkiego sznura uplecionego z ketmii. Pencroff rozwinął sznur i przywiązał jego koniec do strzały porządnie obsadzonej piórami. Harbert umieścił strzałę na cięciwie, napiął łuk i z uwagą celował w zwisający koniec drabinki.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff i Nab cofnęli się nieco, żeby obserwować, co będzie się działo w oknach Granitowego Pałacu. Reporter, przyłożywszy karabin do oka, mierzył prosto w drzwi.

Po chwili strzała świsnęła, pociągając za sobą sznur, i przeleciała pomiędzy dwoma ostatnimi szczeblami drabinki.

Plan powiódł się całkowicie.

Harbert natychmiast chwycił koniec sznura, lecz w chwili gdy szarpnął nim, żeby ściągnąć drabinkę, z otworu drzwi w mgnieniu oka wychyliła się jakaś ręka, chwyciła drabinkę i wciągnęła ją do środka Pałacu.

— A to łotr nad łotrami! — zawołał marynarz. — Jak masz ochotę na kulkę, to niedługo na nią poczekaś.

— Ale kto to taki? — zapytał Nab.

— Kto? Nie poznalesz?...

— Nie.

— Ależ to małpa, makak, gibbon, koczokodan, orangutan, pawian, goryl czy inna pokraka! Nasz dom zajęły małpy, które weszły tam po drabince podczas naszej nieobecności!

W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów marynarza, odsunęły się okiennice i w oknach pokazały się trzy czy cztery małpy, które powitały prawowitych właścicieli domu tysiącem wykrzywień i grymasów.

— Wiedziałem, to figle! — zawołał Pencroff. — Ale zaraz tu jeden z figlarzy zapłaci za resztę!

Marynarz szybko uniósł strzelbę, wycelował i wystrzelił. Zniknęły wszystkie prócz jednej, która śmiertelnie ugodzona spadła na plażę.

Małpa była duża i niewątpliwie należała do pierwszego rzędu czwororękich⁴⁶. Czy to był szympans, czy orangutan, goryl czy gibbon, w każdym razie należał w każdym razie do człękoksztalnych⁴⁷, nazwanych tak z powodu podobieństwa do istot ludzkich. Zresztą Harbert oświadczył, że to orangutan, a jak wiadomo, chłopak znał się na zoologii.

— Wspaniałe zwierzę! — zawołał Nab.

— Niech ci będzie wspaniałe, jeżeli chcesz — odparł Pencroff — ale ja nadal nie wiem, jak się dostaniemy do domu!

— Harbert ma celne oko — powiedział reporter. — A to jego łuk. Niech spróbuje jeszcze raz.

— Dobrze, ale te małpy są sprytnie! — zawołał Pencroff. — Nie pokażą się drugi raz w oknach i nie będziemy ich mogli wystrzelać. A kiedy sobie pomyślę, jakiego spustoszenia mogą narobić w pokojach i w magazynie, to...

⁴⁶*czwororękie* (hist. biol.) — wyróżniany dawniej pierwszy rząd ssaków, grupujący gatunki mające cztery chwytne kończyny. Termin propagowany od pocz. XIX w. m.in. przez znanego fr. przyrodnika G. Cuviera, utworzony w celu oddzielenia gatunku ludzkiego od innych naczelnych. Czwororękie zwykle dzielono na duże małpy człękoksztalne, mniejsze od nich i posiadające ogon małpy zwierzokształtne oraz małpiatki. To ideologiczne rozróżnienie we współczesnych klasyfikacjach zostało porzucone. Obecnie człowieka, małpy i małpiatki zalicza się do jednego rzędu: naczelnych. [przypis edytorski]

⁴⁷*człękoksztalne* (biol.) — nadrodzina naczelnych, w skład której wchodzi człowiekowate, czyli hominidy (goryle, orangutany, szympansy i ludzie), oraz gibony. [przypis edytorski]

— Cierpliwości — odparł Cyrus Smith. — Te zwierzęta nie mogą nas długo trzymać w szachu!

— Nie będę tego pewien, dopóki nie zobaczę ich na ziemi — odparł marynarz. — A zresztą czy pan wie, panie Smith, ile tuzinów tych psotników znajduje się na górze?

Trudno było na to odpowiedzieć. A jeśli chodzi o ponowną próbę Harberta, to miała niewielkie szanse, gdyż małpy wciągnęły do środka dolny koniec drabinki, a kiedy po wtórnie zaczęły ciągnąć za sznur, sznur pękł, a drabinka nie spadła na dół.

Sprawa stała się naprawdę kłopotliwa. Pencroff był zły. Cała ta sytuacja miała w sobie coś komicznego, ale wcale nie uważał jej za śmieszną. Było oczywiste, że koloniści ostatecznie odzyskają mieszkanie i wypędzą intruzów, ale kiedy i jak? Tego nie wiedzieli.

Minęły dwie godziny, a małpy już więcej się nie pokazały. Były na pewno w środku, bo trzy czy cztery razy przez drzwi lub okno wysunął się pysk lub łapa, na co koloniści odpowiadali strzałami.

— Ukryjmy się — powiedział inżynier. — Może małpy pomyślą, że odeszliśmy i porzucą się znowu. Spilett z Harbertem niech się zaczają za skałami i strzelają do wszystkiego, co się tylko pojawi.

Zastosowano się do rady inżyniera. Podczas gdy reporter z Harbertem, dwaj najlepsi strzelcy kolonii, zajęli pozycje na odległość strzału, ukryci przed okiem małp, Nab, Pencroff i Cyrus Smith weszli na płaskowyż, po czym udali się do lasu, żeby upolować jakąś zwierzynę, gdyż nadszedł czas posiłku, a jedzenia już nie było.

Pół godziny później myśliwi powrócili, niosąc kilka gołębi skalnych, które naprędce upieczono. Przez ten czas nie pokazała się ani jedna małpa.

Gedeon Spilett i Herbert udali się na posiłek, zostawiając Topa na czatach pod oknami. Zjedli, po czym wrócili na swoje stanowiska.

Upłynęły tak dwie godziny, a sytuacja się nie zmieniła. Małpy nie dawały znaku życia i można było sądzić, że zniknęły, ale znacznie bardziej prawdopodobne było to, że przestraszone śmiercią jednej ze swych towarzyszek i spłoszone hukami strzałów siedziały cicho w pokojach, a może i w magazynie. Kiedy kolonistom przyszły na myśl skarby zgromadzone w magazynie, cierpliwość, tak gorąco zalecana przez inżyniera, zmieniła się w gwałtowne rozdrażnienie i szczerze mówiąc, mieli do tego powód.

— To doprawdy głupia sprawa — powiedział wreszcie reporter. — W dodatku nie wiadomo, kiedy by się miało skończyć.

— Trzeba jakoś stamtąd wykurzyć tych nicponiów! — zawołał Pencroff. — Damy sobie z nimi radę, choćby ich było dwudziestu, ale do tego trzeba się zmierzyć z nimi oko w oko! Tam do kata! Czy nie ma żadnego sposobu, żeby się do nich dostać?

— Jest jeden — odparł nagle inżynier, któremu nagle zaświtała w głowie pewna myśl.

— Jeden? — zapytał Pencroff. — Zatem dobry, skoro nie ma innych! A co to za sposób?

— Spróbujmy dostać się do Granitowego Pałacu przez dawny kanał odpływowy jeziora — odparł inżynier.

— Do krośset tysięcy diabłów! — zawołał marynarz. — Że też mnie to nie przyszło do głowy!

Była to rzeczywiście jedyna możliwość dostania się do Granitowego Pałacu, żeby podjąć walkę z gromadą małp i wypędzić ją stamtąd. Co prawda wlot kanału odpływowego był zamurowany ścianą ze scementowanych kamieni, którą trzeba będzie poświęcić, ale można to później naprawić. Na szczęście Cyrus Smith nie wykonał jeszcze swojego projektu zatopienia otworu pod wodami jeziora, gdyż wtedy przedostanie się tamtędy wymagałoby więcej czasu.

Minęło już było południe, gdy koloniści, dobrze uzbrojeni i zaopatrzeni w kilofy i motyki, opuścili Kominy i przeszli pod okna Granitowego Pałacu. Rozkazali Topowi pozostać na straży i wyruszyli dalej, żeby lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia dostać się na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Lecz nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków w tym kierunku, gdy nagle usłyszeli wściekle ujadanie psa. Był to jakby rozpaczliwy alarm.

Stanęli.

— Biegnijmy! — zawołał Pencroff.

I wszyscy popędzili co tchu z góry na dół w stronę wybrzeża.

Gdy dobiegli do zakrętu, przekonali się, że sytuacja zupełnie się zmieniła.

Małpy, z nieznaną przyczyną ogarnięte nagłym strachem, usiłowały ocalić się ucieczką. Dwie czy trzy biegały i skakały z okna do okna ze zwinnością klaunów cyrkowych. Nie próbowały nawet spuścić drabinki, po której łatwiej by im było zleźć na dół, a może w popłochu zapomniały o tym sposobie ucieczki. Wkrótce pięć czy sześć małp wystawiło się na strzały, toteż koloniści wzięli je spokojnie na cel i dali ognia. Jedne z nich, ranione lub zabite, powpadały z powrotem do środka, wydając przeraźliwe krzyki. Pozostałe powyskakiwały na zewnątrz i spadły na dół, połamały karki. W kilka minut później można było przypuszczać, że w Granitowym Pałacu nie było ani jednej żywej małpy.

— Hurra! — zawołał Pencroff — Hurra! Hurra!

— Trochę za wcześnie na te „hurra” — powiedział Gedeon Spilett.

— Dlaczego? Przecież wybite wszystkie co do nogi — odparł marynarz.

— Owszem, ale wskutek tego nie dostaniemy się jeszcze do domu.

— Więc chodźmy przez kanał odpływowy! — odparł Pencroff.

— Tak, chodźmy — powiedział inżynier — ale byłoby lepiej...

W tej chwili, jak gdyby w odpowiedzi na uwagę Cyrusa Smitha, drabinka ześliznęła się z progu, rozwinęła się i spadła do samej ziemi.

— Do krośset fajek! A to dobre! — zawołał marynarz, patrząc na Cyrusa Smitha.

— Aż nadto dobre! — mruknął inżynier i wskoczył pierwszy na drabinę.

— Niech pan uważa, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff. — Jeśli tam jest jeszcze któryś z tych nicponi...

— Zaraz zobaczymy — odparł inżynier, nie zatrzymując się.

Towarzysze pospieszyli za nim i w minutę później stanęli wszyscy na progu.

Szukali wszędzie. Nie było nikogo ani w pokojach, ani w magazynie, z którym małpy obeszły się całkiem przyzwyczajenie.

— Tam do kata! A drabinka? — zawołał marynarz. — Gdzież jest ten dżentelmen, który nam ją spuścił?

W tym momencie rozległ się krzyk i duża małpa, która ukrywała się w korytarzu, wpadła do sali, ścigana przez Naba.

— Ach, mamy zbója! — zawołał Pencroff.

I zamierzył się siekierą, by roztrzaskać łeb zwierzęciu, lecz Cyrus Smith chwycił go za rękę, mówiąc:

— Daruj jej życie, Pencroffie.

— Co, ulaskawić tego łotra?

— Tak! To on nam rzucił drabinę!

Inżynier powiedział to tak dziwnym tonem, że trudno było się zorientować, czy to mówił poważnie, czy żartował.

Wszyscy rzucili się na małpę, która choć broniła się dzielnie, została powalona na ziemię i związana.

— Uff!... — zawołał Pencroff. — I co z nią teraz zrobimy?

— Przyjmiemy ją na służbę! — odparł Harbert.

Mówiąc to, chłopiec wcale nie żartował, wiedział bowiem, jaką korzyść można odnieść z tego inteligentnego czworonożnego stworzenia.

Wówczas koloniści zbliżyli się do małpy i zaczęli się jej uważnie przypatrywać. Należała ona do tych człekokształtnych, u których kąt twarzy jest niewiele mniejszy niż u Australijczyków⁴⁸ lub Hotentotów⁴⁹. Był to orangutan, więc nie był ani tak dziki jak babuin⁵⁰, ani głupi jak makak⁵¹, ani niechlujny jak tamaryna⁵², ani niecierpliw jak ma-

⁴⁸Australijczycy — tu: Aborygeni, rdzenni mieszkańcy Australii. [przypis edytorski]

⁴⁹Hotentoci — lud zamieszkujący pld.-zach. Afrykę, spokrewniony z Buszmenami. [przypis edytorski]

⁵⁰babuin (biol.) — pawian zielony, gatunek małpy z rodzaju pawianów, zamieszkujący tereny środkowej i południowej Afryki. [przypis edytorski]

⁵¹makaki (biol.) — rodzaj niedużych małp o wydłużonym pysku i zredukowanym ogonie, występujących od Afryki Płn. po Japonię. [przypis edytorski]

⁵²tamaryny (biol.) — rodzaj niewielkich małp szerokonosych z rodziny pazurkowcowatych, zamieszkujących lasy tropikalne płn. części Ameryki Płd. [przypis edytorski]

got⁵³, ani nie miał także zdradzieckich instynktów jak pawian⁵⁴. Małpy człekokształtne posiadają liczne cechy świadczące o prawie ludzkiej inteligencji. Używane do pomocy w domu potrafią podawać do stołu, zamiatać pokoje, czyścić ubrania, szcztokować buty, obchodzić się zręcznie z nożem, łyżką i widelcem, a nawet pić wino... równie dobrze jak najlepszy sługa o dwóch nogach i bez piór⁵⁵. Buffon⁵⁶, jak wiemy, miał taką małpę, która długie lata służyła mu wiernie i gorliwie.

Małpa, która leżała skrzepowana w sali Granitowego Pałacu, był to duży samiec, mający sześć stóp wysokości, proporcjonalnej budowy, o szerokiej klatce piersiowej, średniej wielkości głowie, w której kąt twarzy wynosił mniej więcej sześćdziesiąt pięć stopni, o czaszce zaokrąglonej, wystającym nosie, skórze pokrytej gładkim, miękkim, lśniącym włosem — słowem był to doskonały okaz człekokształtnych. Oczy, nieco mniejsze od ludzkich, błyszczą żywą inteligencją. Wargi odsłaniały lśniące, białe zęby, prócz tego miał małpą, kędzierzawą bródkę orzechowego koloru.

— Przystojny z niego chłop! — powiedział Pencroff. — Gdybyśmy znali jego język, moglibyśmy z nim porozmawiać!

— Więc to nie jest żart? — zapytał Nab inżyniera. — Naprawdę przyjmujemy go na służbę?

— Tak jest, Nabie — odparł inżynier z uśmiechem. — Tylko nie bądź zazdrosny!

— I spodziewam się, że będzie doskonałym sługą — dodał Harbert. — Wydaje się jeszcze młody, jego edukacja pójdzie łatwo i nie będziemy musieli zmuszać go siłą do posłuszeństwa ani wyrywać mu klów, jak to bywa w podobnych przypadkach. Na pewno przywiąże się do dobrych i łaskawych panów.

— Będzie miał dobrych panów — odparł Pencroff, który zapomniał już o swej urazie do „figlarzy”.

Po czym podszedł do orangutana i zapytał:

— Jak się masz, mój chłopcze?

Orangutan odpowiedział lekkim mručeniem, w którym nie czuło się gniewu.

— Chcemy należeć do kolonii? — zapytał marynarz. — Wstąpimy na służbę do pana Cyrusa Smitha?

Po raz drugi odezwało się potakujące mruczenie.

— I zadowolimy się wyżywieniem za całą zapłatę?

Trzecie potakujące mruczenie.

— Rozmowa z nim jest trochę monotonna — zauważył Gedeon Spilett.

— To dobrze! — odparł Pencroff. — Najlepsi są tacy służący, którzy najmniej gadają. A poza tym bez pensji! Słyszysz, mój chłopcze? Na początek nie damy ci pensji, ale jeśli będziemy z ciebie zadowoleni, to ją podwoimy!

W ten sposób kolonia zyskała nowego członka, który później miał jej oddać niejedną przysługę. Co do imienia, to Pencroff poprosił, aby go nazwano na pamiątkę innej małpy, którą znał dawniej, Jupiterem⁵⁷, w skróceniu Jupem.

Tak oto, bez dalszych ceregieli, pan Jup zamieszkał w Granitowym Pałacu.

ROZDZIAŁ VII

⁵³magot (biol.) — makak berberyjski, gatunek małp wąskonosych z rodziny koczokodanowatych, żyjących w Maroku i Algierii w Afryce Płn., a także na Gibraltarze. [przypis edytorski]

⁵⁴pawiany (biol.) — rodzaj małp z rodziny koczokodanowatych o wydłużonym pysku, krótkim ogonie i nagich pośladkach; zamieszkują otwarte tereny leśne i trawiaste Afryki na pld. od Sahary. [przypis edytorski]

⁵⁵o dwóch nogach i bez piór — człowiek; żartobliwe odniesienie do definicji podanej przez starożytnego filozofa Platona: człowiek jest to istota żywa dwunożna, nieopierzona. Diogenes z Synopy miał wykpić tę definicję, przynosząc na wykład w szkole Platona oskubanego koguta, wskutek czego do definicji dodano: „o płaskich paznokciach”. [przypis edytorski]

⁵⁶Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — przyrodnik i matematyk francuski, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

⁵⁷Jupiter (mit. rzym.) — bóg nieba i burzy, władający piorunami, najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

Nowe projekty. — Most na Rzece Dziękczynienia. — Przemiana Płaskowyżu Pięknego Wiodoku w wyspę. — Most zwodzony. — Żniwo. — Potok. — Mostki. — Podwórko. — Gołębnik. — Dwa onagry. — Zaprzęg. — Wycieczka do Przystani Balonowej.

Koloniści Wyspy Lincolna odzyskali swoje mieszkanie, chociaż nie musieli przedstawiać się do niego przez dawny kanał odpływowy jeziora, co im zaoszczędziło pracy mularskiej. Mieli doprawdy szczęście, że właśnie w chwili, gdy się do tego zabierali, gromada małp, zdjętych jakimś równie nagłym, jak niewytłumaczalnym strachem, sama rozpoczęła odwrót z Granitowego Pałacu. Czy zwierzęta przeczuły, że zostaną zaatakowane z innej strony? Chyba tylko w ten sposób można było wytłumaczyć ich nagłą ucieczkę.

Resztę dnia zużyto na przeniesienie ciał zabitych małp do lasu i pogrzebanie ich. Następnie koloniści zabrali się za sprzątanie bałaganu narobionego przez małpy — bałaganu, a nie spustoszenia, gdyż małpy co prawda poprzewracały wszystko, co było w pokojach, ale niczego nie połamaly ani nie popsuly. Nab rozpalil ogień pod kuchnią, a spiżarnia dostarczyła sutego posiłku, który wszyscy zjedli z apetytem.

Nie zapomniano także o Jupie i uruczono go hojnie orzeszkami pinii i korzonkami, które zjadł z wielkim apetytem. Pencroff rozwiązał mu ręce, ale uznał za stosowne pozostawić jeszcze pęta na nogach do czasu, gdy będzie można liczyć na to, że się pogodził ze swym losem.

Następnie Cyrus Smith z towarzyszami, zanim udali się na spoczynek, zasiedli dokoła stołu i omawiali najpilniejsze projekty.

Najważniejszym i najpilniejszym zadaniem było postawienie mostu na Rzece Dziękczynienia w celu połączenia południowej części wyspy z Granitowym Pałacem, a następnie należało zbudować zagrodę dla muflonów i innych zwierząt o wełnistej sierści, które zamierzali schwycić.

Oba te przedsięwzięcia, jak widzimy, zmierzały do rozwiązania najistotniejszego w tym czasie problemu odzieży. Most miał ułatwić transport powłoki balonowej przeznaczonej na bieliznę, zaś zagroda miała dostarczyć wełny na sporządzenie zimowych ubrań.

Zagrodę Cyrus Smith zamierzał założyć tuż przy źródłach Czerwonego Potoku, gdzie zwierzęta mogły znaleźć świeżą i bujną paszę. Droga pomiędzy płaskowyżem a źródłami potoku była już częściowo utorowana, a lepszy od dotychczasowego wózek zapewniłby łatwiejszy transport, zwłaszcza gdyby udało się schwycić jakieś zwierzę pociągowe.

O ile nic nie stało na przeszkodzie, żeby zagroda znajdowała się z dala od Granitowego Pałacu, to inaczej wyglądała sprawa ptaszarni, o którą dopominał się Nab. Istotnie, ptactwo domowe powinno znajdować się pod ręką kuchmistrza, a żadne miejsce nie wydawało się odpowiedniejsze na założenie ptaszarni od brzegu jeziora w pobliżu dawnego kanału odpływowego. Tu ptaki wodne powinny czuć się tak samo dobrze, jak wszelkie inne. Próby oswojania dzikiego ptactwa koloniści zamierzali zacząć od parki kusaczy schwytanych podczas ostatniej wyprawy.

Nazajutrz, 3 listopada, nowe prace rozpoczęto od budowy mostu. Do tego ważnego zadania potrzebne były wszystkie ręce. Koloniści wzięli na plecy piły, siekiery, dłuta oraz młoty i jako cieśle zeszli na piaszczyste wybrzeże.

Wówczas Pencroff zrobił uwagę:

— A co, jeśli podczas naszej nieobecności przyjdzie panu Jupowi do głowy, żeby wciągnąć do góry drabinkę, którą wczoraj tak uprzejmie nam spuścił?

— Przymocujmy ją za dolny koniec — odparł Cyrus Smith.

Zrobiono to za pomocą dwóch kołków mocno wbitych w piasek. Potem koloniści ruszyli lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia i wkrótce dotarli do jej zakrętu.

Tu zatrzymali się, żeby sprawdzić, czy będzie to dobre miejsce na przerzucenie mostu. Okazało się odpowiednie.

Rzeczywiście, odległość od tego punktu do Przystani Balonowej, odkrytej dzień wcześniej na południowym wybrzeżu, wynosiła tylko trzy i pół mili. Od mostu do przystani łatwo będzie utorować przejezdną drogę, co ułatwi komunikację między Granitowym Pałacem a południową częścią wyspy.

Zanim zaczęli pracę, Cyrus Smith podzielił się ze swoimi towarzyszami pewnym planem, zarówno łatwym do wykonania, jak i korzystnym, nad którym zastanawiał się od dłuższego czasu. Plan ten polegał na tym, żeby całkowicie odizolować Płaskowyż Pięknego

nego Widoku od reszty wyspy i dzięki temu uchronić go przed wszelką napaścią czworonożnych czy czwororękich stworzeń. W ten sposób Granitowy Pałac, Kominy, ptaszarnia i cała górna część płaskowyżu, przeznaczona na zasiewy, byłyby zabezpieczone przed spustoszeniem przez zwierzęta.

Projekt był bardzo łatwy do wykonania, a oto w jaki sposób inżynier zamierzał działać.

Płaskowyż był już z trzech stron broniony wodą, bądź płynącą w sposób naturalny, bądź też doprowadzoną sztucznie.

Od strony północno-zachodniej — przez brzegi Jeziora Granta, od zakrętu przy dawnym kanale odpływowym aż do wyrwy zrobionej na wschodnim brzegu dla nowego odpływu wód.

Od strony północnej, to znaczy od tej wyrwy aż do morza — przez nowy potok, który utorował sobie drogę przez płaskowyż i wybrzeże, powyżej i poniżej wodospadu; wystarczyło pogłębić koryto potoku, żeby zwierzęta nie mogły go przejść.

Od wschodu — przez morze, od ujścia nowego potoku aż do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Wreszcie od południa, od ujścia aż do zakrętu — przez samą Rzekę Dziękczynienia, na której miał być zbudowany most.

Pozostawała więc tylko zachodnia część płaskowyżu, między zakrętem rzeki a południowym krańcem jeziora, która na przestrzeni niecałej mili stała otworem dla wszelkich przybyszy. Nic jednak łatwiejszego niż wykopać szeroką i głęboką fosę, po czym napełnić ją wodą z jeziora, której nadmiar drugim wodospadem spływałby do Rzeki Dziękczynienia. Poziom jeziora niewątpliwie nieco by się obniżył wskutek tego nowego przelewu, ale Cyrus Smith przekonał się, że Czerwony Potok dostarczał wystarczająco dużo wody, by można było wykonać ten projekt.

— W ten sposób — dodał inżynier — Płaskowyż Pięknego Widoku stanie się prawdziwą wyspą, ze wszystkich stron otoczoną wodą, a z resztą naszych posiadłości łączyć ją będzie tylko most, który wybudujemy na Rzece Dziękczynienia, dwa mostki przerzucone tuż powyżej i poniżej wodospadu i wreszcie dwa inne mostki, które trzeba jeszcze będzie postawić: jeden przez fosę, którą proponuję wykopać, a drugi na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Otóż jeśli te mosty i mostki będzie można podnosić w razie potrzeby, wówczas Płaskowyż Pięknego Widoku będzie zabezpieczony przed wszelką napaścią.

Cyrus Smith, chcąc to lepiej wytłumaczyć swoim towarzyszom, naszkicował mapę Płaskowyżu Pięknego Widoku, a wtedy wszyscy od razu zrozumieli jego pomysł i przyjęli go jednomyślnie. Pencroff, potrząsając siekierą ciesielską, zawołał:

— Więc najpierw bierzmy się do mostu!

Była to najpilniejsza praca. Wybierano przydatne do tego drzewa, ścinano, ogołacano z gałęzi, po czym cięto na belki, krawędziaki⁵⁸ i deski. Most miał stać na stałe na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia, podczas gdy jego część od strony lewego brzegu miała być ruchoma, tak aby można ją było podnosić za pomocą przeciwwagi, jak niektóre mosty przy śluzach.

Łatwo zrozumieć, że była to praca niemała i nawet najrzęczniejszemu prowadzoną wymagała sporo czasu, gdyż szerokość rzeki wynosiła w tym miejscu około osiemdziesięciu stóp. Trzeba było wbić pale w koryto rzeki, żeby utrzymały pomost, a w tym celu należało zrobić kafar do wbijania tych pali. Miały one tworzyć dwie arkady⁵⁹, żeby most wytrzymał duże ciężary.

Na szczęście nie brakowało ani narzędzi do obrabiania drzewa, ani żelaznych części do spajania. Nie brakowało też pomysowości człowieka, który świetnie się znał na tego rodzaju pracach, ani jemu nie brakowało gorliwych pomocników, którzy przez te siedem miesięcy nabyli niepospolitej wprawy. Trzeba przyznać, że Gedeon Spilett nie był bynajmniej najbardziej niezgrabny i w zręczności współzawodniczył z samym marynarzem, który „nie spodziewał się nigdy tyle po zwykłym dziennikarzu”.

⁵⁸*krawędziak* — drewniany element budowlany, rodzaj tarcicy o przekroju zbliżonym do kwadratu i grubości mniejszej niż belka. [przypis edytorski]

⁵⁹*arkada* — element architektoniczny składający się z dwóch podpór (filarów, kolumn) połączonych od góry łukiem. [przypis edytorski]

Budowa mostu na Rzece Dziękczynienia trwała trzy tygodnie, które upłynęły wśród wyętej pracy. Obiad jedli zawsze na miejscu, a ponieważ pogoda była wspaniała, do Granitowego Pałacu powracali dopiero na kolację.

Przez ten czas Jup przyzwyczajał się coraz bardziej do nowego miejsca i spoufalal się ze swymi panami, na których spoglądał zawsze z wielkim zaciekawieniem. Przez ostrożność Pencroff nie pozostawiał mu jeszcze całkowitej swobody, słusznie odkładając to do czasu, gdy granice płaskowyżu wskutek planowanych prac staną się nie do przebycia. Top i Jup żyli ze sobą w najlepszej zgodzie i chętnie bawili się razem, ale Jup postępował zawsze bardzo poważnie.

20 listopada ukończono budowę mostu. Jego ruchoma część, równoważona przeciwwagą, poruszała się z łatwością i wystarczał niewielki wysiłek, żeby ją podnieść. Odległość pomiędzy osią, wokół której obracała się ruchoma część, a poprzeczką, na której się opierała, gdy opuszczano most, wynosiła dwadzieścia stóp, co wystarczało, by zwierzętom uniemożliwić przejście na drugi bok rzeki.

Pozostała teraz do rozważenia kwestia sprowadzenia powłoki balonu, gdyż koloniści chcieli ją jak najszybciej schować w bezpiecznym miejscu. Ale żeby ją przetransportować, trzeba było dociągnąć wózek do samej Przystani Balonowej, a zatem należało najpierw utorować drogę przez gęstwiny Lasu Dalekiego Zachodu. To wymagało dłuższego czasu. Dlatego Pencroff z Nabem poszli na zwiady do przystani, a gdy się przekonali, że złożony w jaskini „skład płótna” wcale nie ucierpiał, koloniści postanowili nie przerywać dalszych robót nad oddzieleniem Płaskowyżu Pięknego Widoku od reszty wyspy.

— To nam pozwoli urządzić ptaszarnię w lepszych warunkach — zauważył Pencroff. — Nie będziemy się obawiali ani odwiedzin lisów, ani napadów innych drapieżników.

— Nie mówiąc już o tym — dodał Nab — że będziemy mogli wykarczować płaskowyż i przesadzić tam rozmaite dziko rosnące rośliny...

— I przygotować drugie pole pod zasiew! — zawołał tryumfalnie marynarz.

Rzeczywiście, pierwsze pole, zasiane jednym ziarnem, wydało dzięki staraniom Pencroffa wspaniały plon. Ziarenko zrodziło bowiem zapowiedziane przez inżyniera dziesięć kłosów, a ponieważ każdy kłos zawierał osiemdziesiąt ziaren, kolonia znalazła się w posiadaniu ośmiuset ziaren, i to po sześciu miesiącach, a w ciągu roku można się było spodziewać dwukrotnie większych plonów. Z tych ośmiuset ziaren pięćdziesiąt koloniści postanowili przezornie zachować na wszelki wypadek, a resztę mieli teraz zasiać na nowym polu, z nie mniejszą troskliwością niż tamto jedyne ziarenko.

Przygotowano zatem pole pod zasiew i otoczono je dokoła wysokim, szpiczastym częstokołem, prawie nie do przebycia przez czworonożne zwierzęta. Do odstraszenia ptactwa miały służyć skrzypiące wiatraczki i różne straszdyła, wymyślone przez pełnego pomysłów Pencroffa. Po tych przygotowaniach siedemset pięćdziesiąt ziaren złożono w równych brzdach, a reszty miała dokonać natura.

21 listopada Cyrus Smith zaczął wytyczać fosę mającą zamykać płaskowyż od zachodu, od południowego krańca Jeziora Granta aż do zakrętu Rzeki Dziękczynienia. Było tu z wierzchu dwie do trzech stóp urodzajnej gleby, a pod spodem granit. Trzeba więc było znowu przyrządzić nitroglicerynę, która przyniosła swój zwykły skutek. W ciągu piętnastu dni wydrążono w twardej skale płaskowyżu fosę szeroką na dwanaście stóp i głęboką na sześć. W ten sam sposób co poprzednio utworzono jeszcze jeden wyłom w skalistym brzegu jeziora, przez który woda przelała się do nowego łożyska i utworzyła strumyk nazwany Glicerynowym Potokiem. Potok ten stał się dopływem Rzeki Dziękczynienia. Tak jak przewidział inżynier, poziom jeziora obniżył się, ale bardzo nieznacznie. Wreszcie, aby całkiem zamknąć płaskowyż, koryto potoku na plaży znacznie poszerzono, a dla powstrzymania piasku po obu stronach postawiono częstokół.

W pierwszej połowie grudnia wszystkie te prace były ostatecznie zakończone, a Płaskowyż Pięknego Widoku, czyli nieregularny pięciokąt o obwodzie blisko czterech mil, został opasany dokoła wodą i w ten sposób zabezpieczony od wszelkich nieproszonych gości.

Przez cały grudzień panowały nieznośne upały. Ponieważ jednak koloniści nie chcieli przerywać pracy nad wykonaniem swoich planów, a najpilniejsze było teraz założenie ptaszarni, przystąpiono więc do tego nowego przedsięwzięcia.

Nie trzeba dodawać, że z chwilą gdy płaskowyż został otoczony wodą, pan Jup odzyskał swobodę. Odtąd nie opuszczał na krok swych panów i nie zdradzał żadnej skłonności do ucieczki. Było to zwierzę łagodne, a przy tym niepospolitej siły i zdumiewającej zręczności. W łażeniu po drabince Granitowego Pałacu nikt się nie zdołał z nim mierzyć. Zatrudniano go już przy niektórych pracach: ciągnął ładunki z drzewem i nosił kamienie, które wydobywano z koryta Glicerynowego Potoku.

— Nie jest to jeszcze murarz, ale już niezła małpa! — żartował Harbert, który używając słowa „małpa” miał na myśli przewisko, jakim murarze zwykli obdarzać swych przyuczających się do zawodu pomocników. I jeśli kiedykolwiek to przewisko było trafne, to właśnie wówczas.

Ptaszarnia zajmowała teren o powierzchni dwustu jardów kwadratowych wybrany przy południowo-wschodnim brzegu jeziora. Otoczono ją palisadą i zbudowano rozmaite schronienia dla ptaków, które miały tam zamieszkać. Były to chatki z chrustu, poprzdzielane odpowiednimi przegródkami, które wkrótce czekały tylko na przyjęcie gości.

Pierwsza trafiła tam para kusaczy, która niedługo potem doczekała się liczego potomstwa. Towarzystwa dotrzymywało jej pół tuzina kaczek zamieszkujących wcześniej brzegi jeziora. Niektóre z nich należały do gatunku kaczek chińskich, które rozkładają skrzydła na kształt wachlarza, a połyskiem i żywą barwą piór mogą rywalizować ze złocistymi bażantami. W kilka dni później Harbert schwycił parę kuraków o zaokrąglonym ogonie z długich piór. Były to wspaniałe czubacze⁶⁰, które niebawem całkiem się oswoiły. Pelikany, zimorodki i kurki wodne same przybywały do ptaszarni i całe to towarzystwo po paru kłótniach, gruchaniu, pianiu i gdakaniu pogodziło się wreszcie. Ptaki zaczęły rozmnażać się w tempie rokującym kolonii najpiękniejsze widoki na pieczyste.

Cyrus Smith, chcąc dopełnić swego dzieła, zbudował w rogu ptaszarni gołębnik. Umieszczono w nim tuzin gołębi gnieźdzących się dotąd na wierzchołkach skał Płaskowyżu Pięknego Widoku. Ptaki wkrótce przyzwyczały się powracać na noc do nowego mieszkania i wykazywały większe skłonności do oswojenia się niż ich współplemieńcy, grzywacze, które zresztą rozmnażają się tylko w stanie dzikim.

Wreszcie nadszedł czas na to, aby spożytkować powłokę balonu i uszyć z niej bieliznę. Przechowywanie jej bowiem w dotychczasowej postaci po to, żeby ryzykować wyprawę przez niezmierzone pustkowia morskie w balonie napełnionym ogrzanym powietrzem, byłoby do przyjęcia chyba tylko dla ludzi pozbawionych wszystkiego. Cyrus Smith był człowiekiem zbyt rozsądnym, by o tym myśleć.

Chodziło więc o przetransportowanie powłoki balonu do Granitowego Pałacu, a koloniści zajęli się tym, by swój ciężki, niezgrabny wózek przerobić na zwrotniejszy i lżejszy. Chociaż nie brakowało pojazdu, trzeba było jeszcze znaleźć siłę pociągową! Czy na wyspie nie było jakichś rodzimych przeżuwaczy, które mogłyby zastąpić konia, osła, wołu czy krowę? Oto było pytanie.

— Doprawdy — powiedział Pencroff — przydałoby nam się jakieś zwierzę pociągowe, zanim pan Cyrus zechce nam zbudować wózek parowy albo i lokomotywę, bo z pewnością będziemy mieli kiedyś kolej żelazną z Granitowego Pałacu do Przystani Balonowej, z linią boczną prowadzącą do Góry Franklina!

Pocciwy marynarz wierzył święcie w to, co mówił. Oto co może wyobraźnia, gdy przyłączy się do niej wiara!

Ale nie przesadzajmy. Pencroffa zadowoliliby jakiegokolwiek zwierzę do zaprzęgu, a ponieważ widocznie Opatrzność miała do niego pewną słabość, więc nie dała mu długo czekać.

Pewnego dnia, było to 23 grudnia, usłyszano nagle jednoczesne krzyki Naba i szczenie Topa. Koloniści zajęci pracą w Kominach przybiegli co tchu, obawiając się jakiegoś nieszczęścia.

I cóż ujrzeli? Parę pięknych, dużych zwierząt, które nierozważnie zapędziły się aż na płaskowyż, przeszedłszy po opuszczonym mostku. Wyglądały prawie jak konie, a raczej jak osły, samiec i samica, o smukłych kształtach, izabelowatej⁶¹ maści, o białych nogach

⁶⁰czubacze (biol.) — rodzina ptaków z rzędu grzebiących, zamieszkujących Amerykę Południową i Środkową. Tu: jeden z gatunków czubaczy, *Crax alector*, duży ptak żyjący w poszyciu lasów i w zaroślach nadrzecznych w płn. części Ameryki Płd. [przypis edytorski]

⁶¹izabelowaty — o maści konia (barwie jego sierści): jasnożółtawy, płowy. [przypis edytorski]

i ogonach, z czarnymi pręgami na łbach, szyjach i tułowiach. Sły spokojnie, nie zdradzając najmniejszego niepokoju, i bystrymi oczami spoglądały na ludzi, w których nie domyślały się jeszcze swoich przyszłych panów.

— To onagry⁶²! — zawołał Harbert. — Czworonogi stanowiące coś pośredniego pomiędzy zebłą a kwaggą⁶³!

— Dlaczego nie nazywać ich osłami? — zapytał Nab.

— Ponieważ nie mają długich uszu, a ich kształty są zgrabniejsze.

— Osły czy konie, mniejsza z tym — odparł Pencroff. — W każdym razie jest to siła pociągowa, jakby powiedział pan Smith, a zatem należy je schwytać!

Marynarz, nie płosząc zwierząt, przekradł się w trawie aż do mostka na Glicerynowym Potoku, podniósł go i odciął onagrom możliwość ucieczki.

Czy teraz powinni je pojmać przemocą i oswajać siłą? Bynajmniej. Postanowiono, że pozwoli im się przez kilka dni przechadzać się swobodnie po płaskowyżu porośniętym bujną trawą. Tymczasem inżynier zaczął obok ptaszarni budować stajnię, żeby onagry miały dobrą podściółkę i schronienie na noc.

Tak więc ta para wspaniałych zwierząt miała zupełną swobodę, a koloniści nie zbliżali się do nich, by ich nie płoszyć. Kilkakrotnie jednak wydawało się, że onagry, przyzwyczajone do rozległych przestrzeni i głębokich lasów, odczuwają potrzebę opuszczenia płaskowyżu, który był dla nich zbyt ciasny. W takich chwilach biegały wzdłuż wody, stanowiącej dla nich zaporę nie do przebycia, ryczały przeraźliwie, potem pędziły cwałem przez trawę, a gdy się znów uspokoiły, stały nieruchomo całymi godzinami, wpatrując się w gęste lasy, dokąd nie mogły już powrócić.

Tymczasem sporządzano uprzęż i lejce z włókien roślinnych i w kilka dni po pojmaniu onagrów nie tylko wózek z uprzężą był gotowy do użytku, ale także poprowadzono, a raczej przerąbano drogę przez Las Dalekiego Zachodu, od zakrętu Rzeki Dziękczynienia do samej Przystani Balonowej. Można więc było przejechać tamtędy wózkiem i pod koniec grudnia koloniści podjęli pierwszą próbę zaprzęgnięcia onagrów.

Pencroff już obłąkawił zwierzęta do tego stopnia, że jadły mu z ręki i pozwalały zbliżać się do siebie, mimo to gdy je zaprzężono po raz pierwszy, stanęły dęba i zaledwie je można było utrzymać. Wkrótce jednak dały się nagiąć do nowej służby. Onagry bowiem są mniej narowiste niż zebry, często używa się ich w zaprzęgach w górzystych częściach południowej Afryki i zdołano je nawet zaaklimatyzować w stosunkowo zimnych strefach Europy.

Tego dnia wszyscy z wyjątkiem Pencroffa, który prowadził swoje zwierzęta za uzdę, wsiedli na wózek i ruszyli w drogę do Przystani Balonowej. Rzecz jasna, wózek na wyboistej, ledwie utorowanej drodze trząsł niemilosiernie, dotarł jednak bez przeszkód do celu. Jeszcze tego samego dnia załadowali na niego powłokę i pozostałe części balonu.

O ósmej wieczorem wózek przejechał przez most na Rzece Dziękczynienia, potoczył się wzdłuż lewego brzegu rzeki i zatrzymał się na wybrzeżu. Wyprężono onagry i odprowadzono je do stajni. Pencroff, kładąc się spać, westchnął z satysfakcją, a westchnienie powtórzyły wszystkie echa Granitowego Pałacu.

ROZDZIAŁ VIII

Bielizna. — Obuwie z foczej skóry. — Wyrób piroksyliny. — Rozmaite nasiona. — Rybołówstwo. — Jaja żółwie. — Postępy Jupa. — Zagroda. — Polowanie na muflony. — Nowe bogactwa roślinne i zwierzęce. — Wspomnienia z dalekiej ojczyzny.

⁶²*onager, osioł azjatycki, Equus hemionus* (biol.) — dziki ssak z grupy osłów, zamieszkujący pustynie Mongolii, Iranu, Pakistanu i Indii. [przypis edytorski]

⁶³*kwagga, Equus quagga quagga* (biol.) — podgatunek zebry stepowej, żyjący w Afryce Płd. do XIX w.; od innych zebr kwagga odróżniała się występowaniem wzoru brązowych i białych pasów wyłącznie na przedniej części ciała. Powieść powstała w latach 1874–1875, w 1878 wymarły ostatnie kwaggi żyjące w stanie dzikim, zaś w 1883 ostatni osobnik żyjący w niewoli. *Onagry (...)* stanowiące coś pośredniego zebłą a kwaggą — onagry to dzikie osły i razem z zebry i końmi należą do rodzaju *Equus* (koń), ale biologicznie nie są zwierzętami pośrednimi między kwaggą a innymi zebry. [przypis edytorski]

Pierwszy tydzień stycznia poświęcono na szycie białizny, tak potrzebnej dla kolonii. Znalezione w skrzyni igły pracowały w palcach nie tyle delikatnych, co mocnych, toteż można śmiało twierdzić, że to, co uszyto, uszyto solidnie i trwale.

Nici także nie brakowało, dzięki szczęśliwemu pomysłowi Cyrusa Smitha, by ponownie wykorzystać dratwy, którymi zszyte były pasy powłoki balonu. Gedeon Spilett i Harbert pruli pasy z godną podziwu z cierpliwością, natomiast Pencroff musiał zrezygnować z tej pracy, gdyż okropnie go drażniła, ale za to gdy przyszło do szycia, nikt nie potrafił mu dorównać. Wiadomo przecież powszechnie, że marynarze są nadzwyczaj uzdolnieni do krawiectwa.

Następnie płótno z powłoki balonu odtłuszczono za pomocą sody i potażu⁶⁴ otrzymanych ze spopielenych roślin, a oczyszczona z lakieru tkanina bawełniana odzyskała swoją naturalną miękkość i elastyczność, a poddana następnie odbarwiającemu działaniu powietrza i słońca, nabrała śnieżnej białości.

Tym sposobem uszyto kilka tuzinów koszul i skarpetek — te ostatnie nie były oczywiście robione na drutach, lecz szyte z płótna. Co to była za przyjemność dla kolonistów włożyć wreszcie świeżą białiznę — wprawdzie dość grubą i szorstką, lecz nie dbali o taką drobnostkę — i położyć się na prześcieradłach, dzięki którym ich legowiska w Granitowym Pałacu stały się prawdziwymi łóżkami.

W tym samym czasie sporządzono z foczych skór obuwie, które miało zastąpić trzewiki i buty przywiezione z Ameryki. Nowe obuwie było obszerne i można śmiało stwierdzić, że nie uwierało w stopy.

Mimo że od początku roku 1866 trwały nieustanne upały, koloniści nie zaniechali polowań. Lasy roily się od aguti, pekari, kapibar, kangurów i innej zwierzyny i ptactwa, a Gedeon Spilett i Harbert byli tak celnymi strzelcami, że żaden ich strzał nie poszedł nigdy na marne.

Cyrus Smith stale zalecał im oszczędzanie amunicji, sam zaś myślał nad tym, by zastąpić innymi substancjami proch i ołów znalezione w skrzyni, które pragnął zachować na przyszłość. Bo czy można było przewidzieć, gdzie los może ich kiedyś rzucić, gdyby opuścili swą obecną ojczyznę? Należało więc być przygotowanym na wszelkie nieprzewidziane potrzeby i oszczędzać amunicję, używając zamiast niej innych substancji dających się łatwo produkować na miejscu.

Zamiast ołowiu, którego śladów nie odkryto na wyspie, Cyrus Smith postanowił używać z niewiele gorszym skutkiem łatwych do zrobienia siekańców. Ponieważ żelazo jest lżejsze od ołowiu, trzeba ich było zrobić większe siekańce, wskutek czego każdy nabój zawierał mniejszą ich ilość. Jednak zręczność strzelców wyrównywała tę wadę. Jeśli chodzi o proch, to Cyrus Smith, mając do dyspozycji saletrę, siarkę i węgiel, mógłby próbować go wyprodukować; przedsięwzięcie to jednak wymaga szczególnej staranności i bez specjalnych narzędzi nie da się uzyskać dobrego gatunku.

Cyrus Smith wolał zatem uzyskać piroksylinę⁶⁵, czyli bawełnę strzelniczą, substancję, do której bawełna nie jest wcale konieczna, gdyż wchodzi w jej skład jedynie jako celuloza. Otóż celuloza to nic innego jak tylko podstawowy składnik tkanek roślinnych. W stanie czystym znajduje się nie tylko w bawelnie, lecz także we włóknach konopi i lnu, w papierze, w płótnie, w rdzeniu czarnego bzu itp. Otóż właśnie bzu było na wyspie pod dostatkiem, zwłaszcza przy ujściu Czerwonego Potoku, a koloniści używali już wcześniej zamiast kawy jagód tego krzewu, należącego do rodziny wiciokrzewowatych⁶⁶.

Tak więc wystarczyło nazbierać rdzenia bzu, żeby mieć pierwszą potrzebną substancję. Drugim niezbędnym składnikiem piroksyliny jest kwas azotowy dymiący⁶⁷. Otóż Cyrus

⁶⁴potaż — popiół drzewny, złożony głównie z węgla potasu, używany od starożytności do produkcji mydła, szkła, ceramiki i nawozów. [przypis edytorski]

⁶⁵piroksylina (chem.) — nitroceluloza, mieszanina estrów celulozy i kwasu azotowego, stanowiąca silny materiał wybuchowy; nitroceluloza o wysokiej zawartości azotu, tzw. bawełna strzelnicza, służy do produkcji prochów bezdymnych. [przypis edytorski]

⁶⁶wiciokrzewowate, *Caprifoliaceae* (daw. biol.) — ob. przewiertniowate, rodzina roślin dwuliściennych; dawniej zaliczano do niej bez, współcześnie klasyfikowany jako rodzaj należący do rodziny bzuwatek albo do piżmaczkowatych. [przypis edytorski]

⁶⁷kwas azotowy dymiący (chem.) — zwyczajowa nazwa silnie stężonego kwasu azotowego (HNO₃), który po wystawieniu na działanie powietrza wydziela białe opary. [przypis edytorski]

Smith, mając już do dyspozycji kwas siarkowy, mógł z łatwością uzyskać kwas azotowy, działając na saletrę, której mu dostarczała przyroda.

Inżynier postanowił zatem produkować piroksylinę i z niej korzystać, pomimo że zdawał sobie sprawę z jej poważnych niedogodności, polegających na bardzo nierównomiernym działaniu, nadmiernej łatwości zaplonu — piroksylina zapala się bowiem już przy stu siedemdziesięciu stopniach, a nie przy dwustu czterdziestu⁶⁸ — i wreszcie na zbyt gwałtownym spalaniu, co może spowodować uszkodzenie broni. Z drugiej strony piroksylina ma także zalety: nie psuje się pod wpływem wilgoci, nie zanieczyszcza lufy, a jej siła wybuchowa jest czterokrotnie większa niż zwykłego prochu.

Ażeby otrzymać piroksylinę, wystarczy na kwadrans zanurzyć celulozę w kwasie azotowym dymiącym, następnie porządnie wypłukać w wodzie i wysuszyć. Jak widać, rzecz najprostsza w świecie.

Cyrus Smith miał do swojej dyspozycji tylko zwykły kwas azotowy, nie zaś kwas azotowy dymiący, czyli jednowodny, to znaczy taki, który po zetknięciu z wilgotnym powietrzem wydziela białawą parę. Zastępując go jednak zwykłym kwasem azotowym zmieszonym w stosunku trzy do pięciu ze stężonym kwasem siarkowym, inżynier mógł uzyskać ten sam wynik i właśnie tak zrobił. W ten sposób niebawem myśliwi mieli doskonałe sporządzoną piroksylinę, która przy ostrożnym użyciu dawała znakomite rezultaty.

Mniej więcej w tym samym czasie koloniści wykarczowali na Płaskowyżu Pięknego Widoku trzy akry ziemi, pozostawiając resztę na pastwisko dla onagrów. Podjęli kilka wypraw do Lasów Złotopióra i Dalekiego Zachodu i zebrali znaczną ilość dziko rosnących warzyw: szpinaku, rzeżuchy, rzodkwi, rzepy, które za pomocą umiejętnej hodowli zamierzali uszlachetnić i złagodzić dzięki nim nadmiar białka w swoim dotychczasowym pożywieniu. Dowożono także regularnie drewno i węgiel. Każda taka wyprawa przyczyniała się zarazem do polepszenia dróg, które powoli ubijały się pod kołami wózka.

Królikarnia wciąż zasilala spiżarnię Granitowego Pałacu odpowiednim zapasem mięsa. Ponieważ znajdowała się po drugiej stronie Glicerynowego Potoku, jej mieszkańcy nie mogli odwiedzać płaskowyżu ani niszczyć świeżo założonych plantacji. Także i ławica ostrzyg, znajdująca się między głazami na plaży, dostarczała codziennie wyśmienitych mięczaków. Niebawem na jeziorze i na Rzece Dziękczynienia zaczęło kwitnąć rybołówstwo, gdyż Pencroff sporządził wędkę zaopatrzoną w żelazne haczki, na które często łapały się piękne pstrągi i inne bardzo smaczne ryby o srebrzystych łuskach nakrapianych w żółtawe plamy. Nab, odpowiedzialny za sprawy kulinarne, mógł zatem przyjemnie urozmaicać jadłospis każdego posiłku. Na stole kolonistów nie brakowało niczego prócz chleba, a jak powiedzieliśmy, brak ten dawał im się odczuć.

W tym czasie urządzono także polowanie na żółwie morskie, odwiedzające plażę na Przylądku Szczęki. Wybrzeże było tam najeżone małymi wypukłościami, kryjącymi idealnie kuliste jaja o białej, twardej skorupie, których białko ma tę właściwość, że nie ścina się tak jak białko jaj ptasich. Zadanie „wysiadywania” żółwich jaj bierze na siebie słońce, a było ich oczywiście bardzo wiele, ponieważ jeden żółw może znieść do dwustu pięćdziesięciu rocznie.

— To istne pole jaj — zauważył Gedeon Spilett. — Wystarczy tylko je zbierać!

Nie zadowolając się samym produktem, koloniści urządzili polowanie na producentów, a skutek był taki, że przyniesiono do Granitowego Pałacu cały tuzin żółwi, bardzo cennych pod względem kulinarnym. Zupa żółwiowa, zaprawiona aromatycznymi ziołami i urozmaicona przyjemnym smakiem paru roślin kapustowatych, zjednywała często Nabowi zasłużone pochwały.

Należy tu jeszcze przytoczyć inną szczęśliwą okoliczność, która pozwoliła nagromadzić nowe zapasy żywności na zimę. W Rzece Dziękczynienia zjawily się gromady łososi i popłynęły kilka mil w górę rzeki. Był to właśnie okres, w którym samice, szukając dogodnych miejsc do tarła, wyprzedzają samców, wywołując wielki hałas. Tysiąc ryb, mierzających dwie i pół stopy, wtoczyło się do rzeki i wystarczyło ustawić kilka przegród,

⁶⁸piroksylina zapala się(...) przy stu siedemdziesięciu stopniach, a nie przy dwustu czterdziestu — autor używa tutaj dawnej skali termometrycznej wprowadzonej przez fr. fizyka Réaumura: temperatura zaplonu piroksyliny to 170° Réaumura, czyli ok. 200° Celsjusza, zaś zapłon czarnego prochu strzelniczego następuje przy 240° Réaumura, czyli ok. 300° Celsjusza. [przypis edytorski]

żeby je schwytać. W ten sposób złowiono kilkaset sztuk, które po nasoleniu schowano jako zapasy na zimę, kiedy mrozy zetną powierzchnię rzeki lodem i uniemożliwią połowy.

W tym czasie inteligentny Jup wdrażał się do obowiązków służącego. Wystrojono go w kurtkę, w krótkie spodnie z białego płótna i fartuch z kieszeniami, którymi był zachwycony, gdyż ciągle wsadzał w nie ręce i nie pozwalał, żeby ktoś inny mu w nich szperał. Zręczny orangutan został znakomicie wyszkolony przez Naba i patrząc na nich, wydawało się, że Murzyn i małpa doskonale się nawzajem rozumieli. Jup żywił zresztą do Naba szczerą sympatię, którą ten odwzajemniał. Gdy nie potrzebowano jego usług, czy to do wożenia drzewa, czy też do wspięcia się na wierzchołek jakiegoś drzewa, Jup spędzał większość czasu w kuchni i usiłował naśladować Naba we wszystkich jego czynnościach. Mistrz wykazywał zresztą nie tylko cierpliwość, ale i wielką gorliwość w kształceniu swojego ucznia, a uczeń z niezwykłą inteligencją korzystał z nauk mistrza.

Łatwo więc wyobrazić sobie zadowolenie mieszkańców Granitowego Pałacu, gdy pewnego dnia pan Jup z serwetą przewieszoną przez rękę przyszedł im usługiwać do stołu. Zręczny, uważny, doskonale pełnił swoje obowiązki, zmieniając talerze, przynosząc półmiski, nalewając napoje, i to wszystko z powagą i godnością, która ogromnie bawiła wszystkich, zaś Pencroffa wprawiała w zachwyt.

— Jup, rosół!

— Jup, odrobiny aguti!

— Jup, talerz!

— Jup! Dobry Jup! Poczciwy Jup!

Nic innego nie było słychać, a Jup, nie dając się niczym zbić z tropu, spełniał wszystkie życzenia, czuwał nad wszystkim i tylko potakująco pokiwał mądrą głową, gdy Pencroff, powtarzając żart, na który pozwolił sobie pierwszego dnia, powiedział do niego:

— Stanowczo, Jup, trzeba ci będzie podwoić pensję!

Nie trzeba dodawać, że przez ten czas Jup całkiem zadomowił się w Granitowym Pałacu i że nieraz towarzyszył swym panom do lasu, nie zdradzając nigdy chęci ucieczki. Trzeba go było widzieć, jak zabawnie kroczył z laską, którą mu wystrugał Pencroff, niosąc ją na ramieniu jak karabin! Gdy trzeba było zerwać jakiś owoc na samym wierzchołku drzewa, Jup jednym susem był już na górze. Gdy koło wózka ugrzęzło w błocie, Jup jednym pchnięciem sprowadzał je z powrotem na dobrą drogę.

— Co za zuch! — wykrzykiwał często Pencroff. — Gdyby był tak złośliwy, jak jest dobry, nie byłoby jak sobie z nim poradzić!

Z końcem stycznia koloniści rozpoczęli wielkie roboty w środkowej części wyspy. Postanowiono założyć niedaleko źródeł Czerwonego Potoku, u stóp Góry Franklina, zagrodę dla zwierząt przeżuwających, których obecność w pobliżu Granitowego Pałacu byłaby niedogodna, a przede wszystkim dla muflonów, mających dostarczyć wełny potrzebnej na odzież zimową.

Każdego ranka kolonia, czasem w komplecie, ale najczęściej reprezentowana tylko przez Cyrusa Smitha, Harberta i Pencroffa, udawała się do źródeł Czerwonego Potoku. Dzięki onagrom była to zaledwie pięćmilowa przechadzka pod sklepieniem z zieleni, po świeżo wytyczonej drodze, nazwanej Drogą do Zagrody.

Tam wybrano rozległy teren na południowym stoku góry. Była to łąka usiana kępami drzew, położona u podnóża jednego z poprzecznych pasm, zamykającego ją z jednej strony. Ze zbocza spływał maleńki strumyczek, przecinał teren na ukos i wpadał do Czerwonego Potoku. Łączka była porośnięta świeżą trawą, a rosnące tu i ówdzie drzewa pozostawiały swobodny przewiew powietrza. Wystarczyło zatem otoczyć łąkę półkolistą palisadą, przylegającą z obu stron do góry i tak wysoką, żeby nawet najzwinniejsze ze zwierząt nie było w stanie jej przeskoczyć. Tak ogrodzony teren pomieściłby nie tylko setkę rogacizny, muflonów czy kozic, ale także młode, które później przyjdą tutaj na świat.

Inżynier wytyczył obwód zagrody, po czym można było przystąpić do ścinania drzew potrzebnych na palisadę. Ponieważ jednak przy prowadzeniu drogi przez las wycięto wiele drzew, więc teraz zwieziono je tylko i wyciosano z nich setkę pali, które wkopano głęboko w ziemię.

W przedniej części palisady pozostawiono szerokie przejście zamykane dwuskrzydłową bramą, zbitą z mocnych dyli⁶⁹, które z zewnątrz wzmocniono poprzecznymi drągami.

Budowa zagrody zajęła ponad trzy tygodnie, ponieważ oprócz palisady Cyrus Smith postanowił zbudować obszerne szopy z desek na schronienie dla zwierząt. Zresztą cała zagroda musiała być bardzo solidna, gdyż muflony obdarzone są niezmierną siłą i należało się obawiać pierwszego impetu ich gwałtowności. Zaostrzone u góry i opalone w ogniu pale połączono ze sobą, przykręcając do nich poprzeczki, a całość wzmocniały rozmieszczone w regularnych odstępach podpory.

Po ukończeniu zagrody należało zorganizować wielką obławę u podnóża Góry Franklin, na pastwiskach często odwiedzanych przez zwierzęta przeżuwające. Plan ten wykonano 7 lutego, w piękny letni dzień, i cała kolonia wzięła w nim udział. Oba onagry, dość dobrze już ułożone, posłużyły Gedeonowi Spilettowi i Harbertowi za wierzchowce i okazały się bardzo użyteczne.

Cały manewr polegał na okrążeniu muflonów i kozic i stopniowym zacieśnianiu koła obławy. Cyrus Smith, Pencroff, Nab i Jup ustawili się w różnych częściach punktach lasu, podczas gdy obaj jeźdźcy z Topem galopowali w promieniu pół mili wokół zagrody.

W tej części wyspy muflony były bardzo liczne. Te wspaniałe zwierzęta wielkości daniela⁷⁰, o rogach silniejszych od rogów barana, z szarawą, długą wełną, przypominały dzikie owce argali⁷¹.

Ciężki był ten dzień łowów! Ileż to się wszyscy musieli nachodzić, nabiegać tam i z powrotem, najeździć i nakrzyczeć! Z setki otoczonych muflonów ponad dwie trzecie wymknęły się obławie. Ale w końcu udało się stopniowo zagnać w stronę zagrody jakieś trzydzieści muflonów i ze dwanaście kozic. Otwarta na oścież brama wydawała im się wyjściem na swobodę, wpadły do zagrody i zostały pojmane w niewolę.

Ogólnie biorąc, rezultat był zadowalający i koloniści nie mogli się uskarżać. Większość schwytanych muflonów stanowiły samice, z których kilka niebawem miało mieć młode. Było zatem pewne, że stado będzie się dobrze chować i że z czasem nie zabraknie nie tylko wełny, ale i skór.

Tego wieczoru myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu ogromnie zmęczeni. Mimo to nazajutrz pospieszyli zobaczyć, co się dzieje w zagrodzie. Wprawdzie uwięzione zwierzęta próbowały rozwalić częstokół, lecz to się im nie udało i teraz sprawowały się o wiele spokojniej.

Przez cały luty nie wydarzyło się nic ważniejszego. Codzienne zajęcia szły zwykłym trybem, ulepszano dotychczasowe drogi, do Przystani Balonowej i do zagrody, a równocześnie zaczęto torować nową, prowadzącą od zagrody w stronę zachodniego wybrzeża. Niezbadaną częścią wyspy pozostawały nieprzebyte lasy pokrywające cały Półwysep Węzłowy, gdzie skrywały się drapieżniki, z których Gedeon Spilett zamierzał oczyścić wyspę.

Zanim nastała pora chłodów, gorliwie zajęto się hodowlą dzikich roślin, przesadzonych z lasu na Płaskowyż Pięknego Widoku. Z każdej wycieczki Harbert przynosił jakieś pożyteczne rośliny. Raz były to okazy z plemienia cykoriowatych, z których ziaren można wytłoczyć doskonały olej, innym razem zwykły szczaw, który ma tę cenną właściwość, że chroni przed szkorbutem⁷²; to znów kilka tych cennych bulw, hodowanych od dawna w Ameryce Południowej, zwanych ziemniakami, których dziś mamy już ponad dwieście rozmaitych odmian. Dobrze utrzymywany ogród warzywny, podlewany i chroniony przed ptactwem, podzielony był na małe kwadratowe grządki, na których rosły sałata, ziemniaki, szczaw, rzepa, rzodkiew i inne rośliny kapustowate. Ziemia na płaskowyżu była bardzo żyzna i można się było spodziewać obfitych zbiorów.

Nie brakowało również przeróżnych napojów i nawet najwybredniejszy smakosz, gdyby zrezygnował z wina, nie miałby się na co uskarżać. Prócz herbaty Oswego gotowanej

⁶⁹dyl — belka. [przypis edytorski]

⁷⁰daniel (biol.) — rodzaj ssaka z rodziny jeleniowatych, o rudobrazowej sierści z charakterystycznymi białymi plamami i łopatowatych rogach. [przypis edytorski]

⁷¹argali a. *owca altajska* (biol.) — największa z dzikich owiec, zamieszkująca góry Altaj w Azji Środkowej; długość ich ciała wynosi 120–200 cm, wysokość w kłębie 90–120 cm, zaś waga dochodzi do 120 kg; samce mają duże zakręcone rogi, osiągające do 125 cm długości i 25 kg wagi. [przypis edytorski]

⁷²szkorbut — choroba spowodowana długotrwałym niedoborem witaminy C w pożywieniu, objawiająca się m.in. krwawieniem dziąseł, wypadaniem zębów i ogólnym osłabieniem, niegdyś często dotykająca marynarzy wskutek złej diety. [przypis edytorski]

z monardy dwoistej oraz trunku ze sfermentowanych korzeni smokowca Cyrus Smith przyrządzał prawdziwe piwo z młodych pędów świerku *Abies nigra*⁷³, które przegotowaniu i fermentacji dawały napitek nie tylko smaczny, ale też i zdrowy, przez Amerykanów zwany *spruce beer*, czyli piwo świerkowe.

Pod koniec lata w ptaszarni pojawiła się para pięknych dropi, należących do gatunku zwanego hubara⁷⁴, którego charakterystyczną cechą stanowi rodzaj płaszczyka z piór. Przybył także tuzin płaskonosów⁷⁵, u których górna część dzioba po obu stronach poszerza się przez błoniaste wyrostki, oraz kilka wspaniałych kogutów o czarnych grzebieniach, czarnych koralach i czarnej skórze, podobnych do kogutów z Mozambiku, które dumnie przechadzały się nad brzegiem jeziora.

Tak więc dzięki niezmordowanej pracy tych pełnych odwagi i inteligencji ludzi wszystko im się udawało. Opatrzność niewątpliwie była dla nich łaskawa, ale wierni starej zasadzie najpierw starali się pomóc sami sobie, zanim Niebo przyjdzie im z pomocą.

Po gorącym letnim dniu, wieczorem po skończonej pracy, gdy wietrzyk zawiał od morza, lubili siadywać na skraju Płaskowyżu Pięknego Widoku, w altanie oplecionej pnącymi się roślinami, postawionej własnoręcznie przez Naba. Siedząc tak, rozmawiali, pouczali się nawzajem, snuli rozmaite plany, a prosty humor marynarza rozweselał nieustannie całe towarzystwo, w którym zawsze panowała niezmacona harmonia.

Rozmawiano także o ojczyźnie, o ukochanej, wielkiej Ameryce. Jakie były losy wojny secesyjnej? Przecież dłużej trwać już nie mogła. Richmond bez wątpienia wpadło w ręce generała Granta. Zdobycie stolicy konfederatów musiało być ostatnim aktem tych krwawych zmagania. A teraz tryumfuje słuszna sprawa Północy. Ach, jak ucieszyliby się mieszkańcy Wyspy Lincolna z jakiejś gazety! Minęło jedenaście miesięcy, odkąd zostali odcięci od świata, i niebawem, 24 marca, miała nadejść rocznica tego dnia, w którym balon wyrzucił ich na nieznaną brzeg. Wówczas byli tylko rozbitkami i nie wiedzieli nawet, czy zdołają w walce z żywiołami ocalić swoje życie. A teraz, dzięki wszechstronnej wiedzy swojego przywódcy, dzięki własnej inteligencji, byli prawdziwymi kolonistami, zaopatrzonymi w broń, narzędzia i przyrządy, potrafiącymi wykorzystać do własnych potrzeb zwierzęta, rośliny i bogactwa mineralne wyspy, czyli wszystkie trzy królestwa przyrody.

Tak, często rozmawiali o tym wszystkim i rozwijali wiele planów na przyszłość.

Cyrus Smith, najczęściej milczący, chętniej przysłuchiwał się rozmowom towarzyszy, niż brał w nich udział. Czasem uśmiechał się, słysząc jakąś uwagę Harberta lub dziwaczny pomysł Pencroffa, ale zawsze i wszędzie myślał o nad tych niewytłumaczalnych wydarzeniach, o tej dziwnej zagadce, której tajemnicy wciąż nie umiał rozwikłać.

ROZDZIAŁ IX

Nawałnice. — Winda hydrauliczna. — Produkcja szyb i naczyń szklanych. — Drzewo chlebowe. — Częste wizyty w zagrodzie. — Powiększenie się stada. — Pytanie reportera. — Dokładne współrzędne Wyspy Lincolna. — Propozycja Pencroffa.

W pierwszym tygodniu marca zmieniła się pogoda. Na początku miesiąca była pełnia i ciągle trwały nieznosne upały. Wyczuwało się, że atmosfera przesycona jest elektrycznością i należało się obawiać, że zbliża się dłuższy lub krótszy okres burz.

Rzeczywiście, z marca zahuczały potężne grzmoty. Wicher dął od wschodu, a grad bił prosto we front Granitowego Pałacu z trzaskiem podobnym do strzałów karabinowych. Trzeba było szczelnie pozamykać drzwi i okiennice, ażeby uniknąć powodzi w pokojach.

Na widok ziaren gradu, niektórych tak wielkich jak gołębie jaja, Pencroff pomyślał tylko o jednym: jego zasiewy są w poważnym niebezpieczeństwie. Pobiegł natychmiast na pole, na którym kłoski zaczęły już podnosić zielone główki, i grubym płótnem nakrył przyszły plon. Sam został przy tym solidnie obity gradem, ale nie narzekał.

⁷³*Abies nigra* (łac., biol.) — dosł.: czarna jodła, popr. *Picea mariana*, świerk czarny, drzewo iglaste występujące w Ameryce Płn.; piwo świerkowe przyrządzano już podczas wojny o panowanie w Ameryce Północnej (połowa XVIII w.). [przypis edytorski]

⁷⁴*hubara* (biol.) — gatunek dużego ptaka z rodziny dropi, zamieszkującego pustynne i stepowe tereny płn. Afryki (hubara saharyjska) oraz Azji, od Bliskiego Wschodu po Kazachstan i Mongolię (hubara arabska). [przypis edytorski]

⁷⁵*płaskonosy* (biol.) — rodzaj wędrownych ptaków wodnych z rodziny kaczkowatych. [przypis edytorski]

Zła pogoda trwała tydzień, a przez cały ten czas bez ustanku dobiegał z góry łoskot grzmotów. W przerwach pomiędzy burzami słychać było głucho pomruki na krańcach widnokregu, po czym burza powracała z nową wściekłością. Niebo co chwilę rozjaśniało się wstęgami błyskawic, a pioruny powaliły kilka drzew na wyspie, między innymi olbrzymią sosnę, rosnącą w pobliżu jeziora, na skraju lasu. Dwa czy trzy razy piorun uderzył w piasek nadbrzeżny, stopił go i przemienił w szklistą masę. Widok tych fulgurytów⁷⁶ nasunął inżynierowi pomysł, że może dałoby się zaopatrzyć okna pałacu w grube i trwałe szyby, zdolne wytrzymać uderzenia wichru, deszczu i gradu.

Koloniści, nie mając żadnych pilnych prac poza domem, korzystali z niepogody, pracując w Granitowym Pałacu, którego wyposażenie codziennie udoskonalali i uzupełniali. Inżynier postawił prostą tokarkę, za pomocą której wytoczono kilka przyborów toaletowych i kuchennych, zwłaszcza guziki, których brak dawał się szczególnie odczuć. Sporządzono stojak na broń, utrzymywaną zawsze z wielką starannością. Półki i szafy również nie pozostawiały nic do życzenia. Piłowano, heblowano, wygładzano, toczono i przez cały czas niepogody słychać było tylko zgrzyt narzędzi i warkot tokarki odpowiadający na pomruki burzy.

Nie zapomniano także o panu Jupie, który zajmował osobny pokój koło głównego magazynu, rodzaj małej izdebki z legowiskiem zaopatrzonym zawsze w świeżą podściółkę, z którego był bardzo zadowolony.

— Ten poczciwy Jup nigdy się z nikim nie sprzecza — powtarzał nieraz Pencroff. — Nigdy mu się nie wymknie niegrzeczna odpowiedź. Co za sługa z niego, Nabie, co za sługa!

— Mój uczeń — odpowiedział Nab — wkrótce mi dorówna!

— Przewyższy cię! — odpowiadał, śmiejąc się marynarz — bo jednak ty, mój Nabie, gadasz, a on nie!

Jup, rozumie się, znał już doskonale swoje obowiązki. Trzepał ubrania, obracał rożen, zamiatał pokoje, usługiwał do stołu, układał drewno i — co najbardziej zachwycało Pencroffa — co dzień, zanim sam położył się spać, przychodził do zacnego marynarza i otulał go do snu.

Stan zdrowia członków kolonii, tak dwunożnych, jak dwuręcznych, czwororęcznych i czworonożnych, nie pozostawiał nic do życzenia. Przebywając wciąż na świeżym powietrzu, w zdrowym kraju, w klimacie strefy umiarkowanej, pracując umysłowo i fizycznie, mogli nie obawiać się żadnej choroby.

Rzeczywiście wszyscy cieszyli się najlepszym zdrowiem, Harbert przez ten rok urósł o dwa cale. Twarz jego nabrała wyrazu bardziej męskiego. Wszystko zapowiadało, że wyrośnie na dzielnego człowieka, tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. Prócz tego, korzystając z chwil wolnych od pracy, uczył się, czytał książki znalezione w skrzyni, a po przypadających na niego zajęciach praktycznych znajdował w osobach w inżyniera, jeśli chodzi o nauki ścisłe, oraz w reportera, jeśli chodzi o języki obce, nauczycieli, którzy z przyjemnością uzupełniali jego wykształcenie.

Inżynier pragnął przekazać chłopcu całą swoją wiedzę, nauczać go zarówno słowem, jak przykładem, a Harbert w pełnej mierze korzystał z nauk mistrza.

„Gdy umrę — myślał nieraz Cyrus Smith — on mnie zastąpi”.

Burze zakończyły się około 9 marca, ale niebo przez cały ten ostatni miesiąc lata pokryte było chmurami. Atmosfera gwałtownie zakłócona wyładowaniami elektrycznymi, nie mogła odzyskać poprzedniej czystości, prawie bez przerwy trwały deszcze i utrzymywały się mgły, z wyjątkiem trzech czy czterech pogodnych dni, które sprzyjały wszelkiego rodzaju wyprawom.

W tym czasie samica onagra urodziła źrebię tej samej płci co matka, które dobrze się chowało. Podobnie stado muflonów pomnożyło się o kilka jagniąt. Beczały pod szopą ku wielkiej radości Naba i Harberta, z których każdy miał wśród nowo narodzonych swojego ulubieńca.

Próbowano także oswoić pekari, a próba udała się całkowicie. Koło ptaszarni postawiono chlewik, które niebawem zapełnił się małymi, wzrastającymi, a raczej tuczącymi

⁷⁶fulguryt (z łac. *fulguritus*: ugodzony piorunem) a. strzałka piorunowa — nieregularna rurka lub przypominający korzeń pręt ze szklawa krzemionkowego powstały wskutek stopienia piasku kwarcowego po uderzeniu pioruna. [przypis edytorski]

się pod troskliwą pieczę Naba. Jup, na którym spoczął obowiązek dostarczania im codziennie pożywienia, czyli pomysł i resztek z kuchni, wywiązywał się sumiennie z tego zadania. Co prawda czasem zabawiał się kosztem swych małych stołowników i ciągnął je za ogony, nie robił tego jednak ze złośliwości, ale dla psoty, bo zakręcone ogonki cieszyły go jak zabawka, a z usposobienia był jak dziecko.

Pewnego dnia Pencroff, rozmawiając z inżynierem, przypomniał mu obietnicę, której Cyrus Smith dotychczas nie miał czasu spełnić.

— Wspomniał pan raz, panie Cyrusie — powiedział marynarz — o urządzeniu, którym można by zastąpić te długie drabinki wiodące do Granitowego Pałacu. Czy nie zbuduje go pan kiedyś?

— Ma pan zapewne na myśli coś w rodzaju windy? — odparł Cyrus Smith

— Jeśli pan chce, nazwijmy je windą — odparł marynarz. — Mniejsza o nazwę, byle nas tylko wygodnie podnosiło aż do drzwi mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Pencroffie, ale czy to koniecznie potrzebne?

— Oczywiście, panie Cyrusie. Skoro zaspokoiłiśmy nasze niezbędne potrzeby, pomysłmy trochę o wygodzie. Dla nas samych, jeśli pan tak uważa, będzie to zbytek, ale dla towarów to konieczne. Nie jest zbyt wygodnie wspinać się po długiej drabinie, gdy się jest obciążonym ciężarami.

— No cóż, spróbuję pana zadowolić, Pencroffie — odparł Cyrus Smith.

— Ale przecież nie ma pan maszyny do poruszania takiego urządzenia.

— Zrobimy ją.

— Maszynę parową?

— Nie, maszynę wodną.

Rzeczywiście, inżynier miał do dyspozycji naturalną siłę zdolną do poruszania takiego urządzenia, którą można było wykorzystać bez większych trudności. W tym celu należało tylko zwiększyć przepływ strumienia dostarczającego wodę do wnętrza Granitowego Pałacu. Poszerzono zatem górny otwór wlotowy, wykonany wśród kamieni i traw, dzięki czemu w głębi korytarza powstał dość silny spadek wody, której nadmiar spływał przez podziemną studnię. Pod tym wodospadem inżynier ustawił walec z łopatkami, połączony na zewnątrz z kołem owiniętym mocną liną, do której końca przywiązany był kosz. Za pomocą długiego sznura, opadającego aż do ziemi, można było zatrzymywać i uruchamiać motor hydrauliczny i podnosić się w koszu aż do drzwi Granitowego Pałacu.

17 marca ku powszechnemu zadowoleniu winda została uruchomiona. Odtąd przewożono nią wszystkie ciężary, jak drzewo, węgiel, żywność, a i sami koloniści wjeżdżali na górę, korzystając z tego prostego urządzenia, całkowicie zastępującego drabinę, której nikt nie żałował. Szczególnie zachwycony ulepszeniem był Top, gdyż nie miał ani nie mógł mieć tej zwinności we wspinaniu się po drabinie co Jup i często odbywał drogę do Granitowego Pałacu na plecach Naba, a nawet orangutana.

W tym samym okresie Cyrus Smith zaczął próby wyrobu szkła. Przede wszystkim trzeba było przerobić dawny piec garncarski do nowego celu. Było to bardzo trudne, jednak po kilku nieudanych próbach inżynierowi udało się wreszcie zorganizować warsztat szklarski, którego Gedeon Spilett i Harbert, stali pomocnicy inżyniera, nie opuszczali przez kilka dni.

Surowcami wchodzącymi w skład szkła są piasek, kreda i soda (węgieln lub siarczan sodu). Piasku było dosyć na plaży, kredy dostarczało wapno, rośliny morskie dawały sodę, piryty dostarczały kwasu siarkowego, a ziemia węgla do ogrzania pieca do wymaganej temperatury. Tak więc Cyrus Smith miał wszystkie materiały potrzebne do produkcji.

Najwięcej trudności nastęcało wykonanie narzędzia zwanego ,piszczelą szklarską. Jest to żelazna rurka długości pięciu do sześciu stóp, której końcem nabiera się płynną masę szklaną. Pencroffowi w końcu udało się zrobić zdatną do użytku piszczel z długiego i cienkiego kawałka żelaza zwinętego na kształt lufy strzelby.

28 marca rozgrzano silnie piec. Masę, składającą się ze stu części piasku, trzydziestu pięciu części kredy, czterdziestu siarczanu sodu, z dodatkiem dwóch czy trzech części sproszkowanego węgla, umieszczono w tyglach z ogniotrwalej gliny. Gdy pod wpływem wysokiej temperatury pieca mieszanka przeszła w stan płynny, a raczej gdy zmieniła się w ciągnącą się masę, Cyrus Smith nabrał dolnym końcem piszczeli trochę tej masy i zaczął ją obracać na uprzednio przygotowanej metalowej płytce, aby nadać jej odpowiedni kształt

do wydymania, po czym oddał puszczel Harbertowi, polecając mu dmuchać przez drugi koniec.

— Jak przy puszczeniu baniek mydlanych? — zapytał chłopak.

— Zupełnie tak samo — odparł inżynier

Harbert wyduł policzki i gorliwie dmuchał w puszczel, jednocześnie cały czas ją obracając, aż wskutek dmuchania masa szklana się rozszerzyła. Wówczas dodano jeszcze trochę stopionej masy, tak że wkrótce powstała się bańka o średnicy jednej stopy. Wtedy Cyrus Smith wziął z powrotem puszczel z rąk Harberta i wprawivszy ją w ruch wahadłowy, wydłużył elastyczną bańkę aż przybrała kształt walcowaty.

W rezultacie otrzymano szklany cylinder zakończony z obydwu stron końcach półkulistymi czepkami, które z łatwością odcięto za pomocą żelaznego noża zmoczonego w zimnej wodzie. W taki sam sposób rozcięto walec wzdłuż, następnie rozmiękczone go przez powtórne podgrzanie, rozciągnięto na płycie i rozprostowano za pomocą drewnianego wałka.

Tak wyprodukowano pierwszą szybę i wystarczyło powtórzyć tę samą operację pięćdziesiąt razy, aby otrzymać pięćdziesiąt szyb. Wkrótce w oknach Granitowego Pałacu osadzone zostały tafle szkła, może niezbyt przezroczystego, ale przepuszczającego wystarczającą ilość światła.

Wydmuchiwanie naczyń, szklanek i butelek było już drobnostką. Zachowywano je w takim kształcie, jakiego nabierały na końcu puszczeli. Pencroff prosił, aby jemu także pozwolono dmuchać i robił to z wielką przyjemnością, ale dał tak silnie, że jego wyroby przybierały najzabawniejsze kształty i jego samego wprawiały w podziw.

Podczas jednej z podjętych w tym okresie wypraw odkryto nowe drzewo, którego owoce wzbogaciły zasoby żywności kolonii.

Cyrus Smith z Harbertem wybrali się pewnego dnia na polowanie i zapuścili się w głąb Lasu Dalekiego Zachodu, na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia. Chłopak jak zwykle zadawał tysiące pytań inżynierowi, na które ten z największą gotowością odpowiadał. Ale z polowaniem jest tak samo, jak z każdym innym zajęciem na świecie, gdy się nie zabierze do niego z zapalem: nie udaje się, oczywiście. A ponieważ Cyrus Smith nie był zapalonym myśliwym, zaś Harbert mówił tylko o chemii i fizyce, więc tego dnia wiele kangurów, kapibar i aguti umknęło przed strzelbą młodzieńca. Wskutek tego było już późno, a myśliwi nic jeszcze nie upolowali i zapowiadało się na to, że wyprawa będzie bezowocna, gdy nagle Harbert zatrzymał się i zawołał z radością:

— Panie Cyrusie, widzi pan to drzewo?

I mówiąc to, wskazał na drzewko podobne raczej do krzewu, składające się z pojedynczego pnia pokrytego łuskowatą korą, z liśćmi poprzecinanymi małymi równoległymi żyłkami.

— Cóż to za drzewo tak podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus Smith.

— Jest to sagowiec *Cycas revoluta*⁷⁷, którego rysunek znajduje się w naszym słowniku przyrodniczym.

— Ale nie widzę na nim żadnych owoców?

— Nie ma ich, panie Cyrusie — odparł Harbert. — Za to w jego pień zawiera wewnątrz mąkę, którą natura daje nam od razu zmieloną.

— Więc to drzewo chlebowe⁷⁸?

— Tak, drzewo chlebowe.

— A zatem, mój chłopcze — odparł inżynier — to cenne odkrycie, zwłaszcza zanim doczekamy się chleba z naszej pszenicy. Do dzieła i dałby Bóg, żebyś się nie mylił.

Harbert się nie omylił. Rozłupany pień drzewka zawierał mączysty miąższ poprzerastany zdrewniałymi włóknami i poprzedzielany koncentrycznymi pierścieniami z takich samych włókien. Mączka zmieszana była z kleistym sokiem roślinnym o nieprzyjemnym

⁷⁷*Cycas revoluta* (biol.) — sagowiec odwinięty, gatunek podobnej do palmy rośliny z rodziny sagowcowatych, występującej w pd. Japonii, będącej jednym ze źródeł mączki sago; w Polsce uprawiany jako ozdobna roślina doniczkowa; rośnie bardzo powoli, osiągając wysokość 5–6 m po 50–100 latach. [przypis edytorski]

⁷⁸*drzewo chlebowe* a. *chlebowiec* (biol.) — rodzaj roślin z rodziny morwowatych, pochodzących z tropikalnej Azji i dostarczających jadalnych, pożywnych owoców, zawierających dużo skrobi i witamin. Bohaterowie używają tutaj mylnego określenia nazywając drzewem chlebowym (*l'arbre à pain*) sagowiec, co nie jest przyjęte w jęz. francuskim ani polskim. [przypis edytorski]

smaku, który jednak łatwo można było usunąć przez wyciskanie. Uzyskiwana substancja stanowi prawdziwą mąkę, najlepszego gatunku i tak niezwykle pożywną, że niegdyś prawa japońskie zabraniały jej eksportu.

Cyrus Smith i Harbert zbadali dokładnie tę część lasu, gdzie rosły sagowce, i oznakowawszy drogę do nich, powrócili do Granitowego Pałacu, żeby obwieścić towarzyszom nowe odkrycie.

Nazajutrz koloniści udali się na zbiór sagowców, a Pencroff, który coraz bardziej entuzjastował się wyspą, powiedział do inżyniera:

— Jak pan sądzi, panie Cyrusie, czy istnieją wyspy dla rozbitków?

— Co przez to pan rozumie, Pencroffie?

— Mam na myśli wyspy stworzone specjalnie po to, żeby w ich pobliżu mogły się wygodnie rozbijać statki, wyspy takie, na których biedni rozbitkowie zawsze dadzą sobie radę.

— Możliwe — odparł z uśmiechem inżynier.

— To zupełnie pewne, proszę pana — odparł Pencroff — jak niemniej pewne jest i to, że jedną z takich wysp jest właśnie Wyspa Lincoln.

Wrócono do Granitowego Pałacu z obfitym zbiorem pni sagowców. Inżynier sporządził prasę do wyciskania kleistego soku z miąższu, po czym otrzymał sporą ilość mąki, która w rękach Naba przekształciła się w ciastka i puddingi⁷⁹. Wprawdzie nie był to chleb pszenny, ale przynajmniej coś do zblizzonego.

W tym czasie onagry, kozice i owce z zagrody dostarczały codziennie mleko dla kolonii. Podejmowano częste wycieczki do zagrody wózkami, a raczej rodzajem lekkiej bryczki, którą go zastąpiono. Gdy wypadła kolej na Pencroffa, brał ze sobą Jupa i kazał mu powozić, z czego Jup, gęsto trzaskając z biczem, wywiązywał się z właściwą sobie zręcznością.

Tak więc wszystko szło pomyślnie i w Granitowym Pałacu, i w zagrodzie. I doprawdy, gdyby nie oddalenie od ojczyzny, koloniści nie mieliby się na co uskarżać. Byli jakby stworzeni do podobnego życia, zresztą tak się już przyzwyczaili do tej wyspy, że z żalem opuszczaliby jej gościnną ziemię.

A jednak miłość ojczyzny jest tak silnie zakorzeniona w sercu człowieka, że gdyby niespodziewanie zjawił się w pobliżu wyspy jakiś statek, koloniści natychmiast przywołałoby go sygnałami i odpłynęli... Na razie wiedli szczęśliwe życie i raczej obawiali się, niż życzyli sobie, żeby jakieś zdarzenie to przerwało.

Ale któż na świecie może pochlebiać sobie, że przykuł do siebie szczęście, i czuć się bezpieczny od jego kaprysów!

Tak czy inaczej, wyspa, którą koloniści zamieszkiwali już od ponad roku, stanowiła częsty temat ich rozmów i pewnego dnia padły słowa, które później pociągnęły za sobą poważne następstwa.

Było to 1 kwietnia, w Niedzielę Wielkanocną, która Cyrus Smith i jego towarzysze święcili odpoczynkiem i modlitwą. Dzień był tak pogodny, jak bywają czasem dni październikowe na półkuli północnej.

Wieczorem po posiłku siedzieli wszyscy w altanie na skraju Płaskowyżu Pięknego Widoku i przypatrywali się, jak powoli zapada zmrok. Nab podał kilka filiżanek wywaru z ziaren bzu, zastępującego czarną kawę. Rozmawiano o wyspie i o jej odosobnionym położeniu na Pacyfiku, gdy nagle Gedeon Spilett powiedział:

— Drogi Cyrusie, czy od czasu, kiedy mamy znalezione w skrzyni sekstant, próbował pan ponownie wyznaczyć położenie naszej wyspy?

— Nie, nie robiłem tego — odparł inżynier.

— A może dobrze byłoby zrobić to teraz za pomocą instrumentu doskonalszego niż ten, którym posługiwał się pan wówczas.

— A to po co? — zapytał Pencroff. — Przecież wyspa leży tam, gdzie leżała.

— Niewątpliwie — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale możliwe, że niedoskonałość przyrządów spowodowała niedokładności w wynikach, a ponieważ teraz łatwo możemy to sprawdzić...

⁷⁹pudding — angielski deser o konsystencji gęstego budyniu lub miękkiego ciasta. [przypis edytorski]

— Ma pan rację, drogi Spilett — odparł inżynier. — Powiniennem już dawno sprawdzić pomiary, chociaż nawet jeżeli popełniłem jakiś błąd, to nie powinien przekraczać pięciu stopni na szerokości lub długości.

— Ba, kto to wie? — ciągnął dalej reporter. — Kto wie, czyli nie znajdujemy się bliżej jakiegoś zamieszkałego lądu, niż sądzimy?

— Dowieśmy się o tym jutro — odparł Cyrus Smith. — Gdyby nie nawał zajęć, które nie pozostawiały mi wolnej chwili, już byśmy to wiedzieli.

— Dobrze! — powiedział Pencroff. — Pan Cyrus jest zbyt dobrym obserwatorem, żeby się mógł pomylić, i jeżeli tylko wyspa nie ruszyła się z miejsca, to z pewnością leży tam, gdzie ją ulokował!

— Zobaczymy.

Nazajutrz inżynier za pomocą sekstantu przeprowadził odpowiednie obserwacje, żeby sprawdzić otrzymane wcześniej współrzędne, a wyniki były następujące:

Pierwsza obserwacja wskazała, że Wyspa Lincoln leży pomiędzy 150° a 155° długości zachodniej oraz pomiędzy 30° a 35° szerokości południowej.

Druża obserwacja wskazała dokładnie $150^{\circ}30'$ długości zachodniej i $34^{\circ}57'$ szerokości południowej.

Tak więc pomimo niedokładności przyrządów Cyrus Smith przeprowadził poprzednie badania z taką zręcznością, że błąd nie przekroczył pięciu stopni.

— A teraz — powiedział Gedeon Spilett — ponieważ oprócz sekstantu mamy także atlas geograficzny, zobaczymy, drogi Cyrusie, w którym dokładnie miejscu Pacyfiku znajduje się Wyspa Lincoln.

Harbert pobiegł po atlas, który — jak wiemy — wydany został we Francji i w którym wszystkie nazwy były po francusku.

Rozłożono mapę Pacyfiku, a inżynier z cyrklem w ręku przygotowywał się do oznaczenia położenia wyspy.

Nagle zatrzymał rękę z cyrklem i zawołał:

— Ależ w tej części Pacyfiku już jest wyspa!

— Wyspa? — zawołał Pencroff.

— Zapewne nasza — odparł Gedeon Spilett.

— Wcale nie — ciągnął dalej Cyrus Smith. — Ta wyspa leży na 153° długości i $37^{\circ}11'$ szerokości geograficznej, zatem o dwa i pół stopnia dalej na zachód i o dwa stopnie dalej na południe niż Wyspa Lincoln.

— A co to za wyspa? — zapytał Harbert.

— Wyspa Tabor.

— Czy duża?

— Nie, to mała wysepka, położona samotnie na Pacyfiku, której może nikt jeszcze dotąd nie odwiedził.

— No to my ją odwiedzimy — powiedział Pencroff.

— My?

— Tak, panie Cyrusie. Zbudujemy dużą łódź żaglową, a ja podejmuję się nią sterować. Jak daleko stąd do tej wyspy Tabor?

— Około stu pięćdziesięciu mil na północny wschód — odparł Cyrus Smith.

— Sto pięćdziesiąt mil! To fraszka! — odparł Pencroff. — Przy pomyślnym wietrze przepłyniemy je w czterdzieści osiem godzin!

— Ale po co? — zapytał reporter.

— Nie wiadomo, zobaczymy!

Po odpowiedzi Pencroffa postanowiono zbudować statek, aby w październiku, kiedy powróci pogodna pora roku, można było wyruszyć na morze.

ROZDZIAŁ X

Budowa statku. — Drugi zbiór zboża. — Polowanie na koale. — Nowa roślina bardziej przyjemna niż pożyteczna. — Wieloryb. — Harpun z Vineyard. — Ćwiartowanie wieloryba. — Zastosowanie fiszbinów. — Koniec maja. — Spełnione pragnienie Pencroffa.

Gdy Pencroff raz wbił sobie coś do głowy, nie spoczął i nie dał innym spokoju, do-
póki tego nie wykonał. Zaprzagnął odwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ do takiej podróży
niezbędny był określonej wielkości statek, to trzeba było zbudować taki statek.

Po naradzie z marynarzem inżynier ustalił następujący plan.

Stateczek miał mieć trzydzieści pięć stóp długości a dziewięć szerokości, co było do-
stateczne do nadania mu znacznej szybkości przy odpowiednim dnie i linii wodnej⁸⁰. Za-
nurzenie zaplanowano na maksymalnie sześć stóp, co wystarczało, aby uchronić go przed
dryfowaniem⁸¹. Na całej długości miał być ułożony pokład z dwoma lukami prowadzą-
cymi do dwóch kabin, przedzielonych przepierzeniem. Ożaglowanie miało być takie jak
na słupie⁸², z grotem⁸³, topslem⁸⁴, laticzem⁸⁵, fokiem, kliwrem i spinakerem⁸⁶, słowem
łatwe do zwijania i rozwijania, tak aby można je było bez trudu ściągnąć w razie burzy,
a gdy potrzeba, rozwinąć podczas żeglugi przybrzeżnej. Wreszcie poszycie kadłuba miało
być zrobione na styk, to znaczy, żeby krawędzie desek się ze sobą stykały, a nie zachodziły
na siebie, natomiast jeśli chodzi o szkielet statku, to wręgi⁸⁷ miały zostać dopasowane na
gorąco, po uprzednim umocowaniu pokładników⁸⁸ na wzdłużnikach⁸⁹.

Jakiego drzewa należało użyć do budowy? Wiązów czy świerków, których wiele rośnie
na wyspie? Zdecydowano się na świerk, drzewo trochę luźne, jak się wyrażają cieśle, ale
łatwe do obróbki i znoszące zanurzenie w wodzie równie dobrze jak wiąz.

Po uzgodnieniu tych szczegółów postanowiono, że ponieważ ciepła pora roku nadej-
dzie nie wcześniej niż za sześć miesięcy, to Cyrus Smith i Pencroff będą sami pracować
nad budową statku. Gedeon Spilett i Harbert mieli nadal zajmować się łowami, nato-
miast Nab i pan Jup nie powinni porzucać prac domowych, które do nich należały.

Zaraz po wybraniu drzew ścięto je, okorowano i wprawnie pocięto na deski, że lepiej
by tego nie zrobili zawodowi trzeci. Osiem dni potem w zagłębieniu znajdującym się
pomiędzy Kominami i ścianą skalną został przygotowany rodzaj warsztatu okrętowego
i na piasku spoczął kil⁹⁰ o długości trzydziestu pięciu stóp, zaopatrzony z tyłu w stewę
rufową⁹¹, a z przodu w dziobnicę⁹².

Cyrus Smith nie wziął się bynajmniej do tego zadania na ślepo. Znał się na budowie
statków, tak samo jak prawie na wszystkich innych rzeczach, i najpierw na papierze na-
rysował plan statku. Zresztą miał pomoc w osobie Pencroffa, który pracował przez kilka
lat w stoczni w Brooklinie i znał praktyczną stronę tego zawodu. Dlatego wręgi zostały
zamocowane na kilu dopiero po dokładnym namyśle i ścisłych obliczeniach.

Pencroff, jak łatwo się domyślić, zapalił się do tej pracy i nie chciał opuszczać jej ani
na chwilę.

Tylko jedna sprawa zdolna była go oderwać od warsztatu i to tylko na jeden dzień.
Był nią drugi zbiór zboża, który miał miejsce 15 kwietnia. Udał się tak dobrze jak pierwszy
i przyniósł przewidzianą proporcję ziaren.

⁸⁰linia wodna a. wodnica — teoretyczna linia przecięcia zewnętrznej powierzchni kadłuba statku pozioma
płaszczyzną spokojnej wody przy typowym zanurzeniu jednostki. [przypis edytorski]

⁸¹dryfowanie — znoszenie statku z obranego kursu przez fale, prąd morski lub wiatr. [przypis edytorski]

⁸²słup — żaglowiec mający jeden maszt i dwa żagle: grot (główny) oraz trójkątny fok, rozpinany przed
masztem; jednomasztowe jachty mające dwa lub trzy przednie żagle nazywa się obecnie kutrami; *slup wojenny*
— niewielki okręt pomocniczy używany we flotach od końca XVII do poł. XIX w., dwu- lub trójmasztowy.
[przypis edytorski]

⁸³grot — główny, podstawowy żagiel na żaglowcu. [przypis edytorski]

⁸⁴topselsel — dodatkowy, górny, trójkątny żagiel przymasztowy, podnoszony przy niezbyt silnym wietrze.
[przypis edytorski]

⁸⁵laticz — trójkątny żagiel przedni podnoszony przy słabych wiatrach powyżej foka i kliwra. [przypis edy-
torski]

⁸⁶fok, kliwer i spinaker — trójkątne żagle rozpinane przed przednim masztem. [przypis edytorski]

⁸⁷wręga a. wręg — poprzeczne elementy szkieletu statku, stanowiące rodzaj żeber nadających kształt kadłu-
bowi i usztywniających konstrukcję. [przypis edytorski]

⁸⁸pokładniki — poprzeczne elementy szkieletu statku zamykające wręgi od góry i służące do mocowania na
nich pokładu; pokładniki spoczywają na wzdłużnikach pokładnikowych. [przypis edytorski]

⁸⁹wzdłużniki — belki konstrukcyjne biegnące wzdłuż statku, łączące ze sobą poprzeczne elementy szkieletu
i wzmacniające sztywność kadłuba. [przypis edytorski]

⁹⁰kil — stępka, najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

⁹¹stewa rufowa — przedłużenie stępki (kila) statku w kierunku rufy (tylnej części), łączące poszycie burt.
[przypis edytorski]

⁹²dziobnica — stewa dziobowa, przedłużenie stępki (kila) statku w kierunku dzioba. [przypis edytorski]

— Pięć buszli, panie Cyrusie! — powiedział Pencroff po skrupulatnym odmierzeniu swoich skarbów.

— Pięć buszli — odpowiedział inżynier — licząc więc po sto trzydzieści tysięcy ziaren na buszel, daje to sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziaren.

— No to tym razem zasiejemy wszystko — powiedział marynarz — zachowując tylko mały zapas.

— Słusznie, Pencroffie. A jeżeli następny zbiór przyniesie podobną proporcję co dzisiejszy, będziemy mieli cztery tysiące buszli.

— I będziemy jeść chleb?

— Będziemy jeść chleb.

— Ale trzeba będzie zbudować młyn?

— Wybudujemy młyn.

Trzeci zagon pod zboże był znacznie obszerniejszy niż dwa poprzednie. Ziemia, przygotowana jak najstaranniej, przyjęła drogocenne ziarno. Zrobiwszy to, Pencroff powrócił do swojej pracy przy statku.

Przez ten czas Gedeon Spilett i Harbert polowali w okolicy i zapędzali się dosyć daleko w nieznanne części Lasu Dalekiego Zachodu, z bronią naładowaną kulami na wypadek jakiegoś nieprzyjemnego spotkania. Był tu nieprzebyty gąszcz wspaniałych drzew, rosnących tak gęsto, jak gdyby brakło im wolnej przestrzeni. Zbadanie tej zbitej masy drzew było niezwykle trudne i reporter nie odważył się nigdy zapuszczać tam bez busoli w kieszeni, gdyż słońce ledwie przebijało się przez gęstwinę gałęzi i kierując się nim, trudno byłoby znaleźć drogę. Rzecz jasna, zwierzyna była rzadsza w miejscach, gdzie brakowało jej dostatecznej swobody ruchu. Mimo to w drugiej połowie kwietnia myśliwym udało się upolować trzy duże okazy zwierząt roślinożernych. Były to koale, z których jednego kolonisci spotkali już wcześniej na północ od jeziora. Nierozważnie dały się zabić pomiędzy grubymi konarami drzew, gdzie szukały schronienia. Skóry przyniesiono do Granitowego Pałacu i za pomocą kwasu siarkowego poddano swego rodzaju garbowaniu, dzięki czemu stały się zdatne do użytku.

Podczas jednej z takich wycieczek łowieckich Gedeon Spilett zasłużył się dokonaniem pewnego cennego odkrycia.

Było to 30 kwietnia. Dwaj myśliwi zapuścili się w południowo-zachodnią część Lasu Dalekiego Zachodu, gdy nagle reporter, poprzedzający Harberta o pięćdziesiąt kroków, doszedł do polanki, na której rzadziej rosnące drzewa pozwalały przedrzeć się promieniom słońca.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła uwagę reportera, był dziwny zapach wydzielany przez pewne rośliny o prostych, okrągłych, rozgałęzionych łodygach, na których rosły kwiaty ułożone w grona i drobne nasionka. Zerwał kilka łodyżek i powróciwszy do swego towarzysza, powiedział:

— Zobacz no, Harbercie, co to takiego?

— A gdzie pan znalazł tę roślinę, panie Spilett?

— Tam, na polance, gdzie rośnie ich dużo.

— No, panie Spilett — powiedział Harbert — oto odkrycie zapewniające panu dogonną wdzięczność Pencroffa!...

— Czyżby to był tytoń?

— Tak jest. Chociaż nie pierwszego gatunku, ale w każdym razie tytoń!

— Ach, pocziwy Pencroff! To się ucieszy! No, ale chyba nie wypali wszystkiego, dla nas też coś zostawi.

— Mam pomysł, panie Spilett — zawołał Harbert. — Nie mówmy nic Pencroffowi, zostawmy sobie czas na przyrządzenie tych liści, a pewnego pięknego poranka podajmy mu fajkę nabitą po sam wierzch.

— Zgoda, Harbercie. Od tego dnia nasz zacny towarzysz niczego już więcej nie będzie pragnął do szczęścia!

Reporter i Harbert zrobili porządny zapas cennej rośliny i powrócili do Granitowego Pałacu, kryjąc swoją zdobycz tak starannie, jak gdyby to była kontrabanda⁹³, a Pencroff był najsurowszym z celników.

⁹³kontrabanda — przemyt. [przypis edytorski]

Cyrusa Smitha i Naba dopuszczono do tajemnicy, a marynarz niczego nie podejrzewał przez cały długi czas potrzebny na wysuszenie cienkich listków, pokrojenie i przyprażenie na gorących kamieniach. Wszystko to trwało dwa miesiące, ale Pencroff niczego nie zauważył, gdyż tak był zajęty pracą przy budowie statku, że powracał do Granitowego Pałacu tylko na nocny odpoczynek.

1 maja po raz kolejny został oderwany od swojej ulubionej pracy, tym razem przez przygodę rybacką, w której wzięli udział wszyscy koloniści.

Od kilku dni zauważali na morzu jakies olbrzymie zwierzę pływające w pobliżu Wyspy Lincolna, w odległości dwóch czy trzech mil od brzegu. Był to wieloryb największego rozmiaru, prawdopodobnie należący do gatunku żyjącego w morzach południowych, zwanego wielorybem przyładkowym⁹⁴.

— Cóż by to była za gratka dostać go w swoje ręce! — zawołał marynarz. — Ach, gdybyśmy mieli odpowiedni statek i dobry harpun, pierwszy zawołałbym: „Ruszajmy na wieloryba, bo wart zachodu!”

— Ach, Pencroffie — powiedział Gedeon Spilett — chciałbym zobaczyć, jak pan używa harpuna. To musi być ciekawe.

— Bardzo ciekawe i dość niebezpieczne — powiedział inżynier — ale skoro nie mamy możliwości, żeby zaatakować to zwierzę, nie ma powodu się nim dalej zajmować.

— Dziwię się bardzo — odezwał się reporter — że napotykamy wieloryba na tej stosunkowo dużej szerokości geograficznej.

— A cóż w tym dziwnego, panie Spilett? — odpowiedział Harbert. — Znajdujemy się w tej części Pacyfiku, którą rybacy angielscy i amerykańscy nazywają *Whale Field*, czyli Wielorybie Pole, i właśnie tu, pomiędzy Nową Zelandią a Ameryką Południową, spotyka się najwięcej wielorybów półkuli południowej.

— Najprawdziwsza prawda — powiedział Pencroff. — Mnie tylko dziwi, że do tej pory nie widzieliśmy ich więcej. Zresztą, ponieważ nie możemy się do niego zbliżyć, nie mówmy już o nim!

I marynarz powrócił do swojej pracy, choć nie bez głębokiego westchnienia żalu, bo w każdym marynarzu siedzi rybak, a jeżeli przyjemność z połowu jest proporcjonalna do wielkości zdobyczy, to można sobie wyobrazić, co czuje wielorybnik wobec wieloryba!

Gdyby to chodziło tylko o przyjemność! Ale nie da się ukryć, że podobna zdobycz przyniosłaby ogromną korzyść kolonii, gdyż olej, tłuszcz i fiszbin przydałyby się do wielu celów.

Tymczasem dostrzeżony wieloryb nie miał zamiaru opuszczać wód wokół wyspy. Czy to więc z okien Granitowego Pałacu, czy z Płaskowyżu Pięknego Widoku, Harbert i Gedeon Spilett w czasie wolnym od polowań oraz Nab w przerwach od zajęć kuchennych nie wypuszczali z rąk lunety i obserwowali wszystkie ruchy zwierzęcia. Wieloryb, głęboko zapędziwszy się w obszerną Zatokę Stanów Zjednoczonych, przemierzał ją szybko od Przyładka Szczęki aż do Przyładka Szponu, odpychając się potężną płetwą ogonową, na której opierał się i poruszał zrywami z szybkością dochodzącą niekiedy do dwunastu mil na godzinę. Czasami podpływał tak blisko wyspy, że można mu się było dokładnie przyrzec. Był to rzeczywiście wieloryb południowy, cały czarny, z głową bardziej spłaszczoną niż u wielorybów północnych.

Widzieli go, jak wyrzuca przez nozdrza na znaczną wysokość obłok pary... czy wody, ponieważ — jakkolwiek może się to wydawać dziwne — przyrodnicy i wielorybnicy nie zgodzili się jeszcze ze sobą co to tego. Czy zwierzę wyrzuca w ten sposób wodę czy powietrze? Na ogół przyjmuje się, że jest to para, która szybko skraplając się w zetknięciu z chłodnym powietrzem, opada w postaci deszczu.

Ciągła obecność tego ssaka morskiego niepokoiła kolonistów. Szczególnie drażniło to Pencroffa i rozpraszało go podczas pracy. W końcu nabrał takiej ochoty na wieloryba, jak dziecko na przedmiot, którego mu odmawiają. W nocy mówił o nim przez sen i z pew-

⁹⁴wieloryb przyładkowy, *Eubalaena capensis* (daw. biol.) — wieloryb biskajski południowy (*Eubalaena australis*), gatunek wieloryba występujący na półkuli południowej, pomiędzy 30° a 50° szer. geogr. pld., osiągający do 18 m długości; dawna nazwa gatunku pochodzi od Przyładka Dobrej Nadziei w Afryce Płd., gdyż zwierzęta te w okresie godowym przypływają na wody wokół przyładka i można je dogodnie obserwować z ładu. [przypis edytorski]

nością, gdyby tylko miał możliwość go zaatakować, gdyby czółno było zdolne utrzymać się na morzu, nie wahałby się ani chwili i popłynął w pościg.

Czego nie mogli dokonać koloniści, dokonał za nich przypadek. 3 maja Nab stojący przy oknie w kuchni głośnymi okrzykami oznajmił, że morze wyrzuciło wieloryba na brzeg.

Na tę wieść Harbert i Gedeon Spilett, którzy mieli właśnie wyruszyć na polowanie, odłożyli strzelby. Pencroff wypuścił z rąk siekiere, Cyrus Smith i Nab dołączyli do nich i wszyscy razem pobiegli na brzeg.

Wieloryb osiadł na plaży Cypla Znaleźziska, o trzy mile od Granitowego Pałacu, i to podczas przyływu. Prawdopodobnie zatem niełatwo mu będzie się wydostać z kłopotów i wrócić do morza. W każdym razie należało się spieszyć i w razie potrzeby odciąć mu drogę odwrotu.

Pobiegli więc co tchu z kilofami i okutymi oszczepami, przez most na Rzece Dziękczynienia, prawym brzegiem rzeki, potem wzdłuż plaży i po niespełna dwudziestu minutach znaleźli się przy olbrzymim zwierzęciu, nad którym roily się już całe chmary ptactwa.

— Co za potwór! — zawołał Nab.

Określenie było całkiem usprawiedliwione, był to bowiem wieloryb południowy długości osiemdziesięciu stóp, prawdziwy olbrzym, ważący co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Co dziwne, wieloryb nie poruszał się i nie próbował, szamocząc się, wrócić do morza, korzystając z trwającego przyływu. Zagadka ta wyjaśniła się wkrótce, gdy podczas odpływu koloniści obeszliz zwierzę dookoła.

Wieloryb już nie żył. Z lewego boku wystawał mu harpun.

— Czyżby w tych stronach pływali wielorybnicy?... — odezwał się Gedeon Spilett, ujrzawszy harpun.

— A to dlaczego? — spytał marynarz.

— Bo ten harpun nadal tkwi w jego boku...

— Ech, panie Spilett, to niczego nie dowodzi — odparł Pencroff. — Widziano wieloryby, które przepłynęły tysiące mil z wbitym w ciało harpunem, i choćby ten został ugodzony na północnym Atlantyku, a przyplął zginąć tutaj na południu Pacyfiku, nie byłoby w tym nic dziwnego.

— Jednak... — zaczął Gedeon Spilett, którego wyjaśnienie Pencroffa niezbyt zadowalało.

— To najzupełniej możliwe — odpowiedział Cyrus Smith. — Obejrzyjmy jednak ten harpun. Możliwe, że zgodnie z rozpowszechnionym zwyczajem wryto na nim nazwę statku.

Istotnie, gdy Pencroff wyciągnął harpun z boku wieloryba, odczytał na nim następujący napis:

Maria Stella
*Vineyard*⁹⁵.

— Statek z Vineyard! Statek z moich stron! — zawołał marynarz. — „Maria Stella”! Wspaniały wielorybnik, na honor, znam go dobrze. Ach, przyjaciele, statek z Vineyard, wielorybnik z Vineyard!

Marynarz, potrząsając harpunem, powtarzał ze wzruszeniem nazwę tak bliską jego sercu, nazwę swoich rodzinnych stron.

Ponieważ jednak nie można się było spodziewać, aby „Maria Stella” przybyła upomnieć się o swoją zdobycz, postanowiono przystąpić do rozczwartowania zwierzęcia, zanim zacznie się rozkładać. Drapieżne ptaki, czatujące już od kilku dni na ten bogaty żer, chciały niezwłocznie się za niego zabrać i trzeba było odpędzić je wystrzałami.

Wieloryb był samicą i jego sutki dostarczyły znacznej ilości mleka, które zdaniem przyrodnika Dieffenbacha⁹⁶ może uchodzić za mleko krowie, nie różni się bowiem od niego ani smakiem, ani barwą, ani gęstością.

⁹⁵*Vineyard* — zapewne Martha's Vineyard, niewielka wyspa na Atlantyku, u wybrzeży amerykańskiego stanu Massachusetts; do lat 70. XIX w. jeden z ośrodków przemysłu wielorybniczego. [przypis edytorski]

⁹⁶*Dieffenbach, Ernst* (1811–1855) — niemiecki przyrodnik i geolog, zajmujący się badaniami w Nowej Zelandii, autor książki *Travels in New Zealand* (Podróże po Nowej Zelandii, 1843). [przypis edytorski]

Pencroff służył niegdyś na statku wielorybniczym i stąd mógł metodycznie pokierować operacją ćwiartowania zwierzęcia. Praca była dosyć nieprzyjemna i trwała trzy dni, ale żaden z kolonistów się przed nią nie uchylał, nawet Gedeon Spilett, który według słów marynarza w końcu będzie mógł zostać „bardzo dobrym rozbitkiem”.

Tłuszcz pocięto w płyty grubości dwóch i pół stopy, potem podzielono na kawały ważące po jakieś tysiąc funtów, a następnie stopiono w wielkich glinianych naczyniach przyniesionych na miejsce ćwiartowania, gdyż koloniści nie chcieli, żeby odrażający zapach rozniósł się w okolicy Płaskowyzu Pięknego Widoku. W wyniku przetopienia tłuszcz stracił na wadze około jednej trzeciej. Było go jednak i tak ogromnie dużo: sam tylko ozór dał sześć tysięcy funtów oleju, a dolna warga — cztery tysiące. Oprócz tłuszczu, który zapewniał na długo zapas stearyny i gliceryny, był jeszcze fiszbin⁹⁷, mogący się niewątpliwie przydać, pomimo że mieszkańcy Granitowego Pałacu nie nosili parasoli ani gorsetów. W górnej szczęce wieloryba tkwiło po obu stronach osiemset rogowych płytek, bardzo elastycznych, o włóknistej teksturze, wyostrzonych na końcach jak dwa wielkie grzebienie o zębach długich na sześć stóp. Służą one do zatrzymywania tysięcy żyjatek, małych rybek i mięczaków stanowiących pożywienie wieloryba.

Kiedy ku wielkiemu zadowoleniu kolonistów praca została skończona, szczątki zwierzęcia zostawiono ptakom, które zapewne nie zostawiły z nich nawet śladu, i mieszkańcy Granitowego Pałacu powrócili do przerwanych zajęć.

Przed powrotem do warsztatu okrętowego Cyrus Smith wpadł na pomysł zrobienia pewnych urządzeń, które wzbudziły żywe zaciekawienie jego towarzyszy. Wziął tuzin fiszbinów, pociął każdy na sześć równych kawałków i zaostrzył na końcach.

— A to, panie Cyrusie — spytał Harbert, gdy inżynier skończył — do czego będzie służyło?

— Do zabijania wilków, lisów, a nawet jaguarów — odpowiedział inżynier.

— Teraz?

— Nie, w zimie, gdy będziemy mieli lód do dyspozycji.

— Nie rozumiem... — powiedział Harbert.

— Zaraz zrozumiesz, mój chłopcze — odpowiedział inżynier. — Ta pułapka nie jest moim wynalazkiem. Używają jej często myśliwi aleucy⁹⁸ w rosyjskiej Ameryce⁹⁹. Widzicie te fiszliny, przyjaciele. Otóż, gdy przyjdzie mróz, zegnę mocno każdy z nich i będę polewał wodą, aż pokryją się grubą warstwą lodu, która nie pozwoliła im się rozprostować. Potem otoczę je warstwą tłuszczu i porozrzucam po śniegu. I co się stanie, kiedy jakieś zgłódniałe zwierzę połknie taką przynętę? Otóż ciepło w jego żołądku roztopi lód, a nagle rozprostowany fiszbin swymi zaostrozonymi końcami przebije wnętrzności.

— To mi pomysł co się zowie! — zawołał Pencroff.

— I zaoszczędzi nam kul i prochu — odpowiedział Cyrus Smith.

— To lepsze niż doły! — dodał Nab.

— Zaczekajmy więc do zimy!

— Zaczekajmy.

Tymczasem budowa statku posuwała się naprzód i pod koniec miesiąca połowa pozycja była gotowa. Widać już było po kształtach, że będzie się znakomicie trzymał na morzu.

Pencroff pracował z niezrównanym zapałem i tylko dzięki swej potężnej naturze wytrzymał wszystkie trudy. Ale towarzysze przygotowali mu w tajemnicy nagrodę za tyle wysiłków i 31 maja marynarz miał doznać jednej z największych radości w swoim życiu.

Tego dnia, pod koniec obiadu, w chwili gdy Pencroff podnosił się od stołu, poczuł, że ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

Był to Gedeon Spilett, który powiedział:

— Chwileczkę, mistrzu Pencroffie, tak się nie odchodzi. Zapomniał pan o deserze?

⁹⁷fiszbin (z niem. *Fischbein*: *Fisch*: ryba, *Bein* daw.: kość) — giętka, rogowa substancja tworząca płyty na podniebieniu wielorybów, z której dawniej wytwarzano usztywniające pręty w gorsetach i stanikach, pręty parasoli, uchwyty pejczy itp.; także: każda z takich płyt. [przypis edytorski]

⁹⁸Aleuci — ogólna nazwa nadana rdzennym mieszkańcom Aleutów, Wysp Komandorskich oraz zach. części półwyspu Alaska. [przypis edytorski]

⁹⁹rosyjska Ameryka — Alaska, która należała do Rosji, zanim w 1867 została sprzedana Stanom Zjednoczonym; bohaterowie trafili na wyspę w marcu 1865, wieloryb został wyrzucony na plażę na początku maja 1866. [przypis edytorski]

- Dziękuję, panie Spilett — odpowiedział marynarz. — Czas wracać do pracy.
- A może filiżankę kawy, przyjacielu?
- Dziękuję...
- A może fajeczkę?...

Pencroff podniósł się nagle i jego szeroka pocziwa twarz pobladła, gdy reporter podał mu nabitą fajkę, a Harbert — żarzący się węgielek.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa, tylko nagle pochwycił fajkę, włożył do ust, a potem, przytknąwszy do niej węgielek, zaciągnął się raz po raz, pięć czy sześć razy.

W powietrze uniósł się błękitnawy kłęb wonnego dymu, a ze środka tego obłoczka dobiegał drżący ze wzruszenia głos, który powtarzał:

- Tytoń! Prawdziwy tytoń!
 - Tak jest, Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — i to nawet doskonały tytoń!
 - O Boska Opatrzności! Stwórczo potężny wszystkich rzeczy! — zawołał marynarz.
- Teraz już niczego nie brakuje na naszej wyspie!...

I palił, palił, palił!

— A kto dokonał tego odkrycia? — spytał wreszcie. — Pewnie ty, Harbercie?

— Nie, Pencroffie, to pan Spilett.

— Pan Spilett! — wykrzyknął marynarz, przyciskając do piersi reportera, który nigdy wcześniej nie doświadczył tak potężnego uścisku.

— Uff!... Pencroffie! — zawołał, chwytając wreszcie oddech. — Niech pan udzieli części swojej wdzięczności Harbertowi, który rozpoznał tę roślinę, Cyrusowi, który ją przyrzędził, i Nabowi, któremu tak trudno było utrzymać całą tę sprawę w tajemnicy...

— Odplacę się wam kiedyś, przyjaciele! — odpowiedział marynarz. — Teraz to już na śmierć i życie!...

ROZDZIAŁ XI

Zima. — Folowanie wełny. — Młyn. — Natrętna myśl Penroffa. — Fiszbiny. — Do czego może się przydać albatros? — Paliwo przyszłości. — Top i Jup. — Burze. — Zniszczenia w ptaszarni. — Wyprawa na bagna. — Cyrus Smith zostaje sam. — Badanie studni.

Zima nadeszła w czerwcu, który jest odpowiednikiem grudnia na półkuli północnej, i najważniejszym zadaniem było sporządzenie cieplej i trwałej odzieży.

Muflony z zagrody zostały już ostrzyżone, trzeba było teraz przetworzyć ich wełnę, cenny surowiec włókienniczy, w tkaninę.

Zrozumiałe, że Cyrus Smith, nie mając do dyspozycji gręplarek, czesarek, gładziarek, rozciągarek, skręcarek ani żadnych maszyn do przędzenia wełny, takich jak *mule-jenny*¹⁰⁰ czy *self-acting*¹⁰¹, ani warsztatu tkackiego, musiał użyć dużo prostszych sposobów, żeby uniknąć ręcznego przędzenia i tkania. Postanowił wykorzystać właściwość włókien wełny polegającą na tym, że pod wpływem ugniatania w różnych kierunkach zbijają się i szepiają ze sobą, tworząc materiał zwany filcem. Filc można zatem otrzymać za pomocą prostego spłśnienia, czyli odpowiedniego zgniatania wełny, zwanego też folowaniem, co chociaż zmniejsza elastyczność tkaniny, powiększa za to jej zdolność zatrzymywania ciepła. Wełna muflonów składa się z bardzo krótkich włókien, co znacznie ułatwia jej spłśnienie.

Inżynier przy pomocy towarzyszy, łącznie z Pencroffem — który znów musiał odebrać się od swojego statku — rozpoczął czynności przygotowawcze, mające na celu oczyszczenie wełny z lepkiej i tłustej substancji, którą jest ona przesiąknięta, zwanej tłuszczopotem. Odtłuszczanie odbywało się w kadziach napełnionych wodą podgrzaną do temperatury siedemdziesięciu stopni. Wełna moczyła się w nich przez dwadzieścia cztery godziny, następnie prano ją dokładnie w wodzie z sodą. Gdy wełnę wyciśnięto i dostatecznie wysuszone, była w stanie nadającym się do folowania, to znaczy do przetworzenia

¹⁰⁰*mule-jenny* (ang.) — przędzarka mulejowa, wykorzystująca jako napęd koło wodne, wynaleziona w 1779 w Anglii przez Samuela Cromptona. [przypis edytorski]

¹⁰¹*self-acting* (ang.) — właśc. *self-acting spinning mule*, automatyczna przędzarka mulejowa, opatentowana przez Richarda Robertsa w 1825. [przypis edytorski]

w mocną, choć zgrzebną tkaninę, która nie miałaby większej wartości w jakimkolwiek ośrodku przemysłowym Europy lub Ameryki, ale wysoko cenionej na „rynkach zbytu Wyspy Lincolna”.

Zrozumiałe, że tego rodzaj materiał musiał być znany w najdawniejszych czasach. I rzeczywiście, pierwsze tkaniny wełniane wyrabiano właśnie w sposób, którego zamierzał użyć Cyrus Smith.

Przy konstruowaniu maszyny do folowania wełny bardzo przydały się umiejętności inżynierskie Cyrusa. Dzięki nim potrafił zręcznie wykorzystać do napędzania folusza¹⁰² siłę mechaniczną wytwarzaną przez wodospad nadbrzeżny, dotychczas bezużyteczną.

Urządzenie było niezwykle proste: pień drzewa zaopatrzony w krzywki¹⁰³, które na przemian podnosiły i opuszczały pionowe tłuczki, koryta na wełnę, do których tłuczki opadały, wreszcie solidna drewniana rama, otaczająca i wiążąca całą konstrukcję. Tak wyglądała ta maszyna i taka była przez wieki, aż do chwili, gdy ludzie wpadli na pomysł zastąpienia tłuczków walcami ugniatającymi i poddania surowca nie już ubijaniu, ale walcowaniu.

Całe to działanie pod kierunkiem Cyrusa Smitha udało się znakomicie. Wełna, nasyciona uprzednio roztworem mydlanym, mającym z jednej strony zwiększyć poślizg, zmiękczyć włókna i ułatwić ich zbijanie się, a z drugiej zapobiec ich uszkodzeniom podczas tłuczenia, wyszła z folusza w postaci grubej filcowej płachty. Nierówności i prążki, istniejące z natury na każdym włókienku, tak dobrze się poszczepiały i pozaplątywały, że powstała tkanina dobra zarówno na odzież, jak i na koce. Widać było, że to nie merynos¹⁰⁴, ani muslin, ani kaszmir szkocki, ani kort¹⁰⁵, ani ryps¹⁰⁶, ani jedwab chiński czy orleański, ani alpaka¹⁰⁷, ani sukno, ani też flanela! Był to „filc linkolnijski”, a Wyspa Lincolna wzbogaciła się o kolejną gałąź przemysłu.

Koloniści zdobyli więc nie tylko dobrą odzież, ale i grube koce, toteż mogli bez obaw oczekiwać nadchodzącej zimy roku 1866–67¹⁰⁸.

Około 20 czerwca dały się rzeczywiście odczuć wielkie mrozy i Pencroff musiał z żalem przerwać budowę statku, który miał być skończony na wiosnę.

Marynarza opanowała uporczywa myśl, że musi odbyć podróż zwiadowczą na wyspę Tabor, pomimo że Cyrus Smith nie popierał tego pomysłu, wypływającego z czystej ciekawości. Było przecież oczywiste, że nie można się spodziewać znalezienia pomocy na tej bezludnej i niemal jałowej skale. Przeplnięcie stu pięćdziesięciu mil, stosunkowo niewielkim statkiem, przez nieznaną ocean — to sprawa mogąca wzbudzać pewne obawy. Co będzie, jeśli statek, wypłynąwszy na pełne morze, nie będzie mógł dopłynąć do wyspy Tabor ani powrócić na Wyspę Lincolna? Co by się z nim stało na środku Pacyfiku, który tak często nawiedzają huragany?

Cyrus Smith często omawiał ten projekt z Pencroffem i zwrócił uwagę na jego dziwny upór, z którego może sam marynarz nie zdawał sobie dobrze sprawy.

— Muszę wreszcie — powiedział do niego pewnego dnia inżynier — zwrócić panu uwagę, drogi przyjacielu, że po tylu pochwałach, jakimi obdarzał pan Wyspę Lincolna, po tylokrotnym zapewnianiu o żalu, jaki by pan czuł, gdyby trzeba było się z nią rozstać, teraz pan pierwszy pragnie ją opuścić.

— Opuścić tylko na kilka dni — odparł Pencroff — tylko na kilka dni, panie Cyrusie! Na tyle, ile wymaga droga tam i z powrotem i zobaczenie, co to za wysepka!

— Przecież nie może się równać z Wyspą Lincolna!

— Jestem tego z góry pewien.

— Po cóż więc ryzykować?

— Żeby się dowiedzieć, co się dzieje na wyspie Tabor.

¹⁰²folusz — maszyna a. warsztat do folowania (spilśniania) wełny i tkanin. [przypis edytorski]

¹⁰³krzywka — element konstrukcji mechanicznej o zakrzywionej powierzchni roboczej, umożliwiający zmianę ruchu obrotowego w okresowy ruch posuwisty innego elementu. [przypis edytorski]

¹⁰⁴merynos — tu: tkanina wełniana z runa owiec merynosów. [przypis edytorski]

¹⁰⁵kort — tkanina wełniana o skośnym splocie używana głównie na ubrania męskie. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ryps — tkanina o podłużnych lub poprzecznych wypukłych prążkach. [przypis edytorski]

¹⁰⁷alpaka — lekka tkanina z wełny alpaka, peruwiańskich zwierząt podobnych do lam, popularna od poł. XIX w., używana gł. do wyrobu mundurów i wierzchnich ubiorów męskich. [przypis edytorski]

¹⁰⁸nadchodząca zima roku 1866–67 — niedopatrzenie autora: na półkuli południowej była to zima roku 1866, trwająca od czerwca do sierpnia; na przełom roku przypadają zimy na półkuli północnej. [przypis edytorski]

— Ależ tam się nic nie dzieje! Nic nie może się dziać!
— Kto to wie?
— A jeżeli złapie pana burza?
— Tego nie ma się co obawiać podczas ciepłej pory roku — odpowiedział Pencroff.
— Ponieważ jednak, panie Cyrusie, ponieważ należy wszystko przewidywać, prosiłbym pana o pozwolenie zabrania ze sobą w tę podróż Harberta.

— Pencroffie — odpowiedział inżynier, kładąc dłoń na ramieniu marynarza — gdyby się przytrafiło jakieś nieszczęście panu i temu chłopcu, którego los uczynił naszym synem, czy sądzi pan, że moglibyśmy kiedykolwiek się pocieszyć?

— Panie Cyrusie — odparł Pencroff z niewzruszoną ufnością — nie sprawimy wam nigdy tego zmartwienia. Zresztą, pomówimy jeszcze o tej podróży, gdy przyjdzie na nią czas. Poza tym jestem przekonany, że gdy tylko ujrzy pan nasz stateczek ukończony, tak dobrze zaopatrzony w maszty, liny i żagle, gdy zobaczy pan, jak się sprawuje na morzu, kiedy będziemy opływać naszą wyspę — bo zrobimy to razem — jestem przekonany, powiadam, że nie będzie się pan wahał puścić mnie w podróż. Nie ukrywam, że pański stateczek będzie prawdziwym arcydziełem!

— Niech pan przynajmniej powie: „nasz stateczek”, Pencroffie — odpowiedział inżynier, chwilowo całkiem rozbrojony.

Rozmowa, do której mieli wrócić później, skończyła się tym, że ani inżynier, ani marynarz nie zmienili swojego zdania.

Pod koniec czerwca spadł pierwszy śnieg. Zagroda już wcześniej została obficie zaopatrzona w paszę i nie trzeba było chodzić do niej codziennie, postanowiono jednak, iż ktoś będzie ją odwiedzał przynajmniej raz w tygodniu.

Ponownie zastawiono pułapki i zrobiono próbę z przyrządami zrobionymi przez Cyrusa Smitha. Zgięte fiszbiny, uwięzione w pokrowcu z lodu i pokryte grubą warstwą tłuszczu, rozrzucono na skraju lasu, w miejscu, które zwykle przechodziły zwierzęta, zmierzając do jeziora.

Ku wielkiemu zadowoleniu inżyniera wynalazek ten, zapożyczony od myśliwych aleucyckich, sprawdził się doskonale. Złapano na niego tuzin lisów, kilka dzików, a nawet jaguara. Zwierzęta znaleziono martwe, z żołądkami przebitymi przez nagle wyprostowane fiszbiny.

W tym czasie koloniści podjęli działanie, o którym należy wspomnieć, była to bowiem pierwsza próba nawiązania kontaktu z innymi ludźmi.

Gedeon Spilett nieraz już myślał o tym, żeby wrzucić do morza list zamkniętej w butelce, którą prądy może zanieśli na jakiś zamieszkały brzeg, albo powierzyć wiadomość gołębiom. Ale czy naprawdę można było się spodziewać, że gołębie czy butelki zdołają przebyć przestrzeń oddzielającą wyspę od stałego lądu, odległość wynoszącą tysiąc dwieście mil? Czystym szaleństwem byłoby w to wierzyć.

Ale oto 30 czerwca schwymano z niemalym trudem cenną zdobycz, albatrosa, ranionego lekko w nogę strzałem Harberta.

Był to wspaniały ptak z rodziny tych wielkich żeglarzy, których rozpostarte skrzydła osiągały szerokość dziesięciu stóp i pozwalają im przebywać tak rozległe przestrzenie jak Pacyfik.

Harbert chętnie zatrzymałby pięknego ptaka. Rana albatrosa szybko się bowiem wygoiła i młodzieniec uważał, że da radę go oswoić. Ale Gedeon Spilett wytłumaczył mu, że nie wolno zmarnować okazji do porozumienia się przez takiego posłańca z innymi lądami na Pacyfiku. Harbert ustąpił, gdy zrozumiał, że jeżeli albatros przybył z jakiegoś zamieszkałego lądu, to gdy tylko odzyska wolność, z pewnością tam powróci.

Możliwe, że w głębi duszy Gedeon Spilett, w którym odzywała się niekiedy żyłka dziennikarska, miał po prostu ochotę wysłać na los szczęścia interesujący artykuł z opowieścią o przygodach kolonistów z Wyspy Lincoln. Cóż to byłby za sukces dla stałego reportera „New York Herald” i dla gazety, w której zamieszczono by podobną kronikę, gdyby kiedykolwiek dotarła do rąk wydawcy, czcigodnego Johna Bennetta¹⁰⁹!

¹⁰⁹ *Bennett, James Gordon, senior* (1795–1872) — Amerykanin szkockiego pochodzenia, założyciel, redaktor i wydawca gazety „New York Herald” (1835). [przypis edytorski]

Gedeon Spilett zredagował więc treściwą notatkę, którą włożono do woreczka z mocnego, nagumowanego płótna, z dołączoną gorącą prośbą do każdego, kto ją znajdzie, aby ją odesłał do biura „New York Herald”. Woreczek przywiązano albatrosowi do szyi, a nie do nogi, ponieważ ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni morza. Po czym zwrócono wolność temu szybkiemu powietrznemu posłańcowi i koloniści nie bez wzruszenia patrzyli za nim, jak znika w dalekich mgłach na zachodzie.

— Dokąd leci? — spytał Pencroff.

— W stronę Nowej Zelandii — odpowiedział Harbert.

— Szczęśliwej podróży! — zawołał marynarz, który niewiele się spodziewał po tym sposobie korespondencji.

Z nadejściem zimy zabrano się znowu do prac we wnętrzu Granitowego Pałacu, do naprawy odzieży i do innych spraw, a między nimi do uszycia żagli dla statku, wykrojonych z powłoki balonu, stanowiącej niewyczerpane zapasy płótna.

Przez lipiec trwały silne mrozy, nie żalowano więc drzewa ani węgla. Cyrus Smith postawił drugi kominek w wielkiej sali i przed nim spędzali długie zimowe wieczory. Rozmawiali przy pracy, czytali w czasie odpoczynku i tak czas upływał z pożytkiem dla wszystkich.

Z prawdziwą przyjemnością siedzieli w jasno oświetlonej świecami i dobrze ogrzanej węglem sali, po pokrzepiającej kolacji, z parującą filiżanką kawy z bzu, otoczeni kłębammi wonnego dymu z fajek, słuchając, jak na zewnątrz szaleje burza. Odczuwaliby pełnię szczęścia, gdyby można było być szczęśliwym z dala od bliźnich i bez możliwości porozumiewania się z nimi.

Koloniści ciągle rozmawiali o swoim kraju, o przyjaciółach, których tam zostawili, o wielkości Republiki Amerykańskiej, której znaczenie mogło tylko wzrastać, a Cyrus Smith, głęboko zaangażowany w sprawy Unii, wzbudzał żywe zainteresowanie słuchaczy swoimi opowiadaniem, spostrzeżeniami i przewidywaniami.

Pewnego dnia zdarzyło się, że Gedeon Spilett w czasie rozmowy zapytał go:

— Ale przecież, drogi Cyrusie, czy całemu temu postępowi przemysłowemu i handlowemu, któremu wróży pan nieustający rozwój, nie grozi prędzej czy później całkowite zatrzymanie?

— Zatrzymanie?... A to dlaczego?

— Przez brak węgla, który można słusznie nazwać najcenniejszym z bogactw mineralnych.

— Tak, rzeczywiście najcenniejszym — odpowiedział inżynier. — I wydaje się, że sama przyroda chciała to potwierdzić, tworząc diamenty, które nie są niczym innym, jak tylko czystym, skryształizowanym węglem.

— Nie chce pan chyba powiedzieć, panie Cyrusie — wtrącił Pencroff — że pod kotłami będzie się palić diamentem zamiast węglem?

— Nie, przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith.

— Upieram się jednak przy swoim zdaniu — podjął znowu Gedeon Spilett. — Nie zaprzeczy pan przecież, że pewnego dnia węgiel całkowicie się wyczerpie.

— Ach! Pokłady węgla są jeszcze bardzo bogate, a sto tysięcy robotników wydobywających rocznie sto milionów kwintali metrycznych¹¹⁰ jeszcze nieprędko je wyczerpie.

— Ale przy rosnącym tempie zużycia węgla kamiennego — odparł Gedeon Spilett — można przewidzieć, że z tych stu tysięcy robotników niedługo zrobi się dwieście tysięcy i że wydobyte się podwoi?

— Bez wątplenia, ale oprócz złóż europejskich, których eksploatację ułatwią wkrótce nowe maszyny, kopalnie Ameryki i Australii wystarczą jeszcze na długo na potrzeby przemysłu.

— Jak długo mniej więcej? — spytał reporter.

— Przynajmniej na dwieście pięćdziesiąt lub trzysta lat.

— No, dla nas to uspokajające — wtrącił znowu Pencroff — ale mocno niepokojące dla naszych praprawnuków!

— Znajdzie się coś innego — powiedział Harbert.

¹¹⁰kwintal metryczny — pozaukładowa jednostka masy równa 100 kg. [przypisy edytorski]

— Trzeba mieć taką nadzieję — odparł Gedeon Spilett — bo bez węgla nie ma maszyn, a bez maszyn nastąpi koniec kolei żelaznych, parowców, hut, koniec wszystkiego, czego wymaga postęp współczesnego życia!

— Ale co znajdziemy zamiast tego? — spytał Pencroff. — Czy pan to sobie wyobraża, panie Cyrusie?

— Mniej więcej, przyjacielu.

— A więc czym będzie się palić zamiast węgla?

— Wodą — odpowiedział Cyrus Smith.

— Wodą?! — krzyknął Pencroff — Wodą będą rozgrzewać kotły parowców i lokomotyw, wodą grzać wodę?!

— Nie inaczej, ale wodą rozłożoną na pierwiastki składowe — odpowiedział Cyrus Smith. — Rozłożoną bez wątpienia przez elektryczność, która będzie wówczas siłą potężną i łatwą w użyciu, gdyż wskutek jakiegoś niewytłumaczalnego prawa wszystkie wielkie odkrycia zdają się zbiegać ze sobą i w pewnym momencie nawzajem uzupełniać. Tak, przyjaciele, sądzę, że kiedyś woda będzie wykorzystywana jako paliwo, że wodór i tlen, z których się składa, użyte oddzielnie lub łącznie, staną się niewyczerpanym źródłem ciepła i światła, i to o sile, jakiej nie może mieć węgiel. Przyjdzie dzień, że ładownie parowców i tendry¹¹¹ lokomotyw zamiast węgla napełnione będą tymi dwoma sprężonymi gazami, które będą się palić w paleniskach z olbrzymią wydajnością kaloryczną. Tak więc nie ma się o co obawiać. Dopóki ziemia będzie zamieszkana, zaspokoi potrzeby swoich mieszkańców, nie zabraknie im nigdy światła ani ciepła, tak samo jak produktów roślinnych, mineralnych czy zwierzęcych. Dlatego sądzę, że gdy złoża węgla się wyczerpią, będziemy palić i grzać wodą. Woda jest węglem przyszłości.

— Chciałbym to zobaczyć — powiedział marynarz.

— Za wcześniej się urodziłeś, Pencroffie — wtrącił Nab i było to jedyne zdanie, jakie dorzucił do dyskusji.

Jednak to nie słowa Naba zakończyły rozmowę, tylko nagłe szczekanie Topa, w którym znów dało się słyszeć tę dziwną nutę, tak niepokojącą inżyniera. Jednocześnie pies kręcił się wokół otworu studni, znajdującego się na końcu wewnętrznego korytarza.

— Czemu Top znów tak szczeka? — spytał Pencroff.

— A Jup tak dziwnie mruczy? — dodał Harbert.

Rzeczywiście, orangutan przyłączył się do psa i wykazywał niedwuznaczne oznaki poruszenia, przy czym — co dziwne — obywa zwierzęta wydały się raczej zaniepokojone niż rozłoszczone.

— Widocznie — odezwał się Gedeon Spilett — studnia ma bezpośrednie połączenie z morzem i jakieś zwierzę morskie podpływa tu od czasu do czasu, żeby zaczerpnąć powietrza.

— To jasne — odpowiedział marynarz. — Inaczej nie można tego wyjaśnić. No spokój, Top — dodał, zwracając się do psa — a ty, Jup, do swojego pokoju!

Małpa i pies ucichły. Jup wrócił do swego posłania, ale Top pozostał w sali i przez cały wieczór głucho powarkiwiał.

Nie wspomniano więcej o tym zdarzeniu, zachmurzyło ono jednak czoło inżyniera.

Przez resztę lipca na przemian padał deszcz i chwycił mróz. Temperatura nie spadła tak bardzo jak poprzedniej zimy i nie przekroczyła ośmiu stopni Fahrenheita (13,33° Celsjusza poniżej zera). Ale chociaż zima była mniej surowa, to bardziej dokuczały burze i wichury. Znowu wystąpiły gwałtowne ataki morza, które kilkakrotnie wdarło się do Kominów. Patrząc na to, można było sądzić, że przyplływ morza, spowodowany jakimś wstrząsami podwodnymi, unosił gigantyczne fale i miotał nimi o mury Granitowego Pałacu.

Gdy koloniści, wychylając się z okien, obserwowali te olbrzymie masy wody rozbijające się przed ich oczyma, nie przestawali się zachwycać wspaniałym spektaklem bezsilnej wściekłości oceanu. Fale odskakiwały, pokrywając się olśniewająco białą pianą, całe wybrzeże znikало pod tym wściekłym zalewem i wydawało się, że masyw skalny wynurza się z samego morza, którego bryzgi wznosiły się na wysokość ponad stu stóp.

Podczas tych sztormów pokonywanie jakiegokolwiek trasy na wyspie było nie tylko trudne, ale wręcz niebezpieczne, gdyż wicher często przewracał drzewa. Mimo to kolo-

¹¹¹tender — specjalny wagon kolejowy do przewozu węgla i wody dla parowozu. [przypis edytorski]

niści co tydzień odwiedzali zagrodę. Na szczęście, osłonięta od południowego wschodu Górą Franklina, nie ucierpiała zbytnio z powodu huraganu, który oszczędził tutaj drzewa, szopy i częstokół. Ale ptaszarnia, znajdująca się na Płaskowyżu Pięknego Widoku, a więc wystawiona bezpośrednio na ciosy wschodniego wiatru, doznała poważnych uszkodzeń. Z gołębnika dwukrotnie został zerwany dach, przewróciło się ogrodzenie. Wszystko to trzeba było naprawić i wzmocnić, ponieważ najwidoczniej Wyspa Lincoln leżała w najbardziej nieprzyjaznych okolicach Pacyfiku. Odnosiło się wręcz wrażenie, że znajduje się w samym środku ogromnych cyklonów, które smagają ją niczym bicz podkręcający dziecinnego bąka, tylko tutaj bąk stał nieruchomo, a kręcił się wiatr.

W pierwszym tygodniu sierpnia wichury nieco ucichły i atmosfera odzyskała spokój, który, zdawało się, utraciła na zawsze. Równocześnie spadła temperatura, znowu zrobiło się bardzo zimno, a słupek termometru zszedł do ośmiu stopni Fahrenheita poniżej zera (22° Celsjusza poniżej zera).

3 sierpnia doszła do skutku planowana od kilku dni wycieczka na południowy wschód wyspy, do Bagna Kazarek. Myśliwych nęciło ptactwo wodne, mające tam swoje zimowe siedliska. Na bagnach roiło się od dzikich kaczek, bekasów, rożeńców, cyranek, perkozów, postanowiono więc jeden dzień poświęcić na polowanie na te ptaki.

Nie tylko Gedeon Spilett i Harbert, ale także Pencroff i Nab wzięli udział w wyprawie. Jedynie Cyrus Smith pod pozorem jakiejś ważnej pracy nie dołączył do nich i pozostał w Granitowym Pałacu.

Myśliwi obiecali powrócić wieczorem i ruszyli drogą przez Przystań Balonową, kierując się w stronę bagien. Towarzyszyli im Top i Jup. Gdy tylko przeszli przez most na Rzece Dziękczynienia, inżynier podniósł go i powrócił do domu z zamiarem zrealizowania planu, z powodu którego chciał zostać sam.

Otóż plan ten polegał na dokładnym zbadaniu wewnętrznej studni, której otwór znajdował się na poziomie korytarza Granitowego Pałacu i która z pewnością łączyła się z morzem, ponieważ wcześniej odpływały nią wody z jeziora.

Dlaczego Top tak często kręcił się koło tego otworu? Dlaczego czekał tak dziwnie, kiedy wiedziony jakimś niepokojem zbliżał się do studni? Dlaczego Jup podzielał niepokój Topa? Czyżby studnia miała jakieś odnogi oprócz pionowego szybu prowadzącego do morza? Czy może rozgałęziała się w stronę innych części wyspy? Tego właśnie chciał się dowiedzieć Cyrus Smith, a przede wszystkim chciał to wiedzieć sam. Dlatego postanowił podjąć próbę zbadania studni podczas nieobecności towarzyszy i właśnie teraz nadarzyła mu się odpowiednia okazja.

Łatwo było zejść aż na sam dół studni, korzystając z drabinki sznurowej, nieużywanej od czasu zainstalowania windy i mającej wystarczającą długość. Tak też zrobił inżynier. Przyciągnął drabinkę do otworu, którego średnica miała około sześciu stóp, przywiązał mocno górny koniec i spuścił ją w głąb. Następnie zapalił latarnię, wziął rewolwer, zatknął kordelas za pas i zaczął schodzić po pierwszych szczeblach.

Ściany studni były gładkie, tylko gdzieniegdzie widniały niewielkie występy skalne, dzięki którym jakaś zręczna istota mogłaby się wdrapać się aż do samego wylotu studni.

Inżynier zauważył to, ale przesuwał latarnię ponad występami i dokładnie się przyglądając, nie znalazł najmniejszego śladu, najmniejszego odłamania, które mogłoby wskazywać, że dawniej czy ostatnio ktoś się po nich wdrapywał.

Cyrus Smith zszedł jeszcze głębiej, oświetlając dokładnie ściany. Nie dostrzegł niczego podejrzanego.

Gdy doszedł do ostatnich szczebli, poczuł pod sobą wodę, której powierzchnia była w tej chwili zupełnie spokojna. Ani na poziomie wody, ani w żadnym innym miejscu studni nie było widać żadnego wejścia do bocznego korytarza, który się mógłby stanowić odgałęzienie prowadzące w głąb masywu. Ściana, w którą Cyrus Smith uderzył ręką, wydawała się lita. Był to zwarty granit, przez który żadna żywa istota nie zdołałaby utorować sobie drogi. Aby dotrzeć na samo dno studni, a następnie wspiąć się na górę aż do jej wylotu, trzeba było przejść przez stale wypełniony wodą kanał łączący studnię z morzem poprzez podłoże skalne wybrzeża, a tego mogły dokonać tylko morskie zwierzęta. Natomiast kwestia, gdzie kończył się ten kanał, w którym miejscu wybrzeża i na jakiej głębokości, pozostała nierozwiązana.

Cyrus Smith, skończywszy swoje badania, powrócił na górę, wyciągnął drabinkę, zakrył z powrotem otwór studni i wrócił zamyślony do wielkiej sali Granitowego Pałacu, mówiąc do siebie:

— Nic nie widziałem, a jednak tam coś jest!

ROZDZIAŁ XII

Takielunek statku. — Napad lisów. — Jup ranny. — Pielęgnowanie. — Jup wyleczony. — Ukończenie budowy statku. — Tryumf Pencroffa. — „Bonawentura”. — Próbnny rejs na południe od wyspy. — Niespodziewany dokument.

Tego samego wieczoru myśliwi powrócili z udanego polowania dosłownie obciążeni zdobyczą, tak że każdy dźwigał za czterech. Top miał na szyi zawieszony wianuszek rożeńców, a Jup był przepasany sznurem z nawleczonymi bekasami.

— Zobacz, mój panie! — zawołał na ten widok Nab. — Będzie czym zająć czas! Narobi się konserw, pasztetów i innych smacznych zapasów! Ale ktoś musi mi w tym pomóc. Liczę na ciebie, Pencroffie.

— Nie, Nabie — odparł marynarz. — Mam do zrobienia takielunek¹¹² stateczku, będziesz sobie musiał poradzić beze mnie.

— A pan, panie Harbercie?

— Ja, Nabie, muszę iść jutro do zagrody — odparł młodzieniec.

— Więc pan mi chyba pomoże, panie Spilett?

— Zrobię to dla ciebie, Nabie — odpowiedział reporter. — Ale uprzedzam cię, że jeśli ujawnisz mi swoje przepisy, to je opublikuję!

— Jak się panu podoba, panie Spilett — odparł Nab — jak się panu podoba!

W taki oto sposób nazajutrz Gedeon Spilett został pomocnikiem Naba i urządził się w jego pracowni kuchennej. Przedtem jednak inżynier powiedział mu o rezultacie swoich poszukiwań w studni, a reporter zgodził się całkowicie ze zdaniem Cyrusa Smitha, że chociaż niczego nie udało się znaleźć, nadal tkwi w tym jakaś tajemnica.

Mrozy trzymały jeszcze przez cały tydzień i koloniści opuszczali Granitowy Pałac tylko po to, żeby doglądać ptaszarni. Całe mieszkanie napełniło się smakowitymi zapachami, jakie roztaczały potrawy zmyślnie przygotowywane przez Naba i reportera. Nie zakonserwowano jednak całego plonu polowania na bagnach, lecz ponieważ podczas tak silnych mrozów mięso doskonale się przechowywało, koloniści zjadali dzikie kaczki i inne ptactwo na świeżo i wszyscy uznali, że są smaczniejsze od wszystkich ptaków wodnych na świecie.

Przez ten tydzień Pencroff, korzystając z pomocy Harberta, zręcznie posługującego się igłą, pracował z takim zapałem, że ożaglowanie statku zostało ukończone. Lin konopnych nie zabrakło dzięki olinowaniu znalezionemu razem z powłoką balonu. Liny balonu i sznury siatki skrócone były z doskonałego materiału, który marynarz potrafił wykorzystać. Żagle zostały obrębione mocnymi sznurami i pozostało jeszcze dosyć materiału na fały¹¹³, wanty¹¹⁴ i sztagi¹¹⁵. Według wskazówek Pencroffa Cyrus Smith wykonał na tokarce potrzebne bloki.

Całe więc ożaglowanie gotowe było jeszcze przed ukończeniem statku. Pencroff sam zrobił nawet błękitno-czerwono-białą banderę¹¹⁶. barwników dostarczyły pewne rośliny barwierskie¹¹⁷, obficie występujące na wyspie. Do trzydziestu siedmiu gwiazd, lśniących na flagach Stanów Zjednoczonych i reprezentujących trzydzieści siedem stanów¹¹⁸, ma-

¹¹²*takielunek* — osprzęt statku żaglowego: omasztowanie, olinowanie i ożaglowanie; w węższym znaczeniu: takielunek ruchomy, czyli wszystkie ruchome liny regulujące żagle, bloczki itp. osprzęt dający się łatwo demontować. [przypis edytorski]

¹¹³*fały* — liny służące do podnoszenia żagli lub ruchomych części omasztowania. [przypis edytorski]

¹¹⁴*wanty* — liny stabilizujące maszt po bokach. [przypis edytorski]

¹¹⁵*sztagi* — liny zabezpieczające maszt przed wyginaniem się do przodu i do tyłu. [przypis edytorski]

¹¹⁶*bandera* — flaga morska wskazująca na państwową przynależność statku. [przypis edytorski]

¹¹⁷*barwierskie rośliny* — rośliny zawierające naturalne barwniki, wykorzystywane do barwienia tkanin, skóry, środków spożywczych. [przypis edytorski]

¹¹⁸*reprezentujących trzydzieści siedem stanów* — wg stanu pomiędzy 1 marca 1867 a 1 sierpnia 1876; obecne Stany Zjednoczone składają się z 50 stanów, z czego 8 przybyło w XIX, zaś 5 w XX wieku. [przypis edytorski]

rynarz dodał trzydziestą ósmą, gwiazdę „stanu Lincoln”, uważał bowiem, że wyspa jest już przyłączona do wielkiej republiki.

— Jest przyłączona sercem — mówił — nawet jeśli jeszcze nie faktycznie!

Na razie banderę wywieszono z głównego okna Granitowego Pałacu i koloniści pozdrowili ją trzykrotnym „hurra!”.

Zbliżyła się koniec pory chłodnej i wydawało się, że ta druga zima minie bez żadnego poważniejszego wydarzenia, gdy nagle 11 sierpnia w nocy nad Płaskowyżem Pięknego Widoku zawisła groźba zupełnego spustoszenia.

Po pracowitym dniu koloniści głęboko spali, gdy nagle około czwartej nad ranem zbudziło ich gwałtowne szczekanie Topa.

Tym razem pies nie szczekał przy otworze studni, ale przy drzwiach i rzucał się na nie, jakby je chciał otworzyć. Jup także wydawał przeraźliwe okrzyki.

— Co się stało, Top? — zawołał Nab, który zbudził się pierwszy.

Ale pies nie przestawał ujadać z rosnącą zaciekłością.

— Co tam? — spytał Cyrus Smith.

I wszyscy, ubrawszy się w pośpiechu, rzucili się do okien i otworzyli je.

Przed nimi roztaczała się pokrywa śnieżna, której biel ledwie majaczyła w ciemnościach nocy. Koloniści nic nie zobaczyli, ale usłyszeli dziwne szczekanie dobiegające z mroku. Było oczywiste, że wybrzeże zostało opanowane jakieś zwierzęta, których w ciemnościach nie można było rozpoznać.

— Co to jest? — wykrzyknął Pencroff.

— Wilki, jaguary albo małpy! — odpowiedział Nab.

— Do diabła! Przecież mogą się dostać na płaskowyż! — powiedział reporter.

— A nasza ptaszarnia! — zawołał Harbert. — Nasze plantacje!

— Którędy się tu dostały? — spytał Pencroff.

— Przez mostek na wybrzeżu — odparł inżynier. — Widocznie któryś z nas zapomniał go podnieść.

— Rzeczywiście — powiedział Gedeon Spilett. — Przypominam sobie, że zostawiłem opuszczony.

— A to się pan pięknie spał, panie Spilett! — krzyknął marynarz.

— Co się stało, to się nie odstanie — odpowiedział Cyrus Smith. — Pomyślmy lepiej, co teraz zrobić!

Takie pytania i odpowiedzi szybko przelatywały z ust Cyrusa i jego towarzyszy. Jedno było pewne: jakieś zwierzęta przeszły przez opuszczony mostek, opanowały wybrzeże i jakiegokolwiek one były, mogły lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia dotrzeć na Płaskowyż Pięknego Widoku. Należało więc je wyprzedzić i pokonać w razie potrzeby.

— Ale co to za zwierzęta? — zapytał ktoś po raz drugi, gdy ponownie rozległo się szczekanie, głośniejsze niż przedtem.

Na ten dźwięk Harbert zadrżał i przypomniał sobie, że słyszał już takie szczekanie w czasie swojej pierwszej wizyty u źródeł Czerwonego Potoku.

— To lisy kolpeo! — zawołał.

— Naprzód! — krzyknął marynarz.

I wszyscy, pochwyciwszy za topory, karabiny i rewolwery, rzucili się do windy i wkrótce stanęli na wybrzeżu.

Lisy kolpeo, gdy jest ich wiele i są rozdrażnione głodem, są bardzo niebezpieczne. Mimo to koloniści bez wahania skoczyli w sam środek gromady i pierwsze strzały z rewolwerów, rzucające nagle błyskawice w ciemności, zmusiły napastników do cofnięcia się.

Najważniejszym zadaniem było nie dopuścić do tego, by rabusie przedostali się na Płaskowyż Pięknego Widoku, ponieważ plantacje i ptaszarnia znalazłyby się na ich łasce. Z tego niewątpliwie wynikłyby ogromne szkody, być może nie do naprawienia, szczególnie jeśli chodzi o zasiewy zbóż. Ponieważ zaś wdrzeć się na płaskowyż mogły tylko od strony lewego brzegu Rzeki Dziękczynienia, wystarczyło więc zatarasować im drogę na tym wąskim odcinku wybrzeża, pomiędzy rzeką a granitową ścianą.

Wszyscy od razu to zrozumieli i na rozkaz Cyrusa pobiegli we wskazane miejsce, podczas gdy gromada lisów miotła się w ciemności.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab rozstawili się tak, aby utworzyć linię nie do przebycia. Top z otwartą, przerażającą paszczą poprzedzał kolonistów, a za nim podążał Jup uzbrojony w sękatą pałkę, którą wywijał jak maczugą.

Noc była tak ciemna, że tylko przy świetle wystrzałów, z których żaden nie chybiał, można było dostrzec napastników. Była ich co najmniej setka, a ich ślepie świeciły jak rozżarzone węgle.

— Nie wolno ich przepuścić! — zawołał Pencroff.

— I nie przepuścimy — odpowiedział inżynier.

Jeżeli jednak lisy nie przeszły, to nie dlatego, że nie próbowały. Ostatnie szeregi napierały na pierwsze i koloniści musieli bez wytchnienia walczyć strzałami z rewolwerów i ciosami toporów. Wiele ciał lisów zaścierało ziemię, ale gromada wcale się nie zmniejszała. Wyglądało na to, że przez mostek na wybrzeżu ciągle przybywają nowe posiłki.

Wkrótce koloniści musieli walczyć wręcz i nie obyło się bez kilku ran, na szczęście lekkich. Harbert strzałem z rewolweru uwolnił Naba, któremu jeden lis skoczył na plecy jak tygrys. Top walczył z prawdziwą furią, skacząc lisom do gardła i dusząc je gwałtownie. Uzbrojony w pałkę Jup tłukł na ślepo i nie dawał się odciągnąć do tyłu. Obdarzony wzrokiem pozwalającym widzieć w ciemnościach, wpadał w miejsce najzacieklejszej walki i od czasu do czasu wydawał ostry gwizd, co było u niego oznaką największej radości. W pewnej chwili tak się nawet zapędził, że przy świetle wystrzału można go było ujrzyć otoczonego przez pięć czy sześć wielkich lisów, którym stawiał czoło z niezwykle zimną krwią.

Po dwóch długich godzinach walka skończyła się zwycięstwem kolonistów. Pierwsze rozbłyśki świtu najwyraźniej skłoniły napastników do odwrotu; lisy umknęły na północ przez mostek, który Nab natychmiast podniósł za nimi.

Gdy rozwidniło się dostatecznie, koloniści naliczyli na polu walki około pięćdziesięciu zabitych lisów rozrzuconych po wybrzeżu.

— A Jup?! — zawołał Pencroff. — Gdzie jest Jup?

Jup zniknął. Nab wołał go, ale po raz pierwszy Jup nie odpowiedział na wezwanie swego przyjaciela.

Wszyscy ruszyli na poszukiwanie Jupa, drżąc z obawy, że może nie żyje. Oczyszczono teren z trupów, które plamiły śnieg krwią, i znaleziono Jupa. Leżał pod górą lisów, których pogruchothane pyski i połamane żebra świadczyły, że zetknęły się ze straszliwą pałką nieustraszonego orangutana. Biedny Jup trzymał jeszcze w ręku kawałek złamanej pałki. Widocznie pozbawiony broni, uległ przeważającej liczbie napastników. Na jego piersi ciemniały głębokie rany.

— Żyje! — zawołał Nab pochylony nad nim.

— Uratujemy go — odpowiedział marynarz. — Będziemy go pielęgnować, jakby był jednym z nas.

Zdawało się, że Jup zrozumiał te słowa, bo skłonił głowę na ramię Pencroffa, jakby chciał mu podziękować. Marynarz sam był ranny, ale jego obrażenia, tak jak i jego towarzyszy, były powierzchowne, gdyż dzięki broni palnej przeważnie mogli trzymać napastników na dystans. Tylko orangutan był w ciężkim stanie.

Nab i Pencroff przynieśli go na rękach aż do windy. Przez cały czas z jego piersi wydarł się zaledwie jeden słaby jęk. Wciągnięto go ostrożnie do Granitowego Pałacu. Tu złożono go na materacu zdjętym z jednego z posłań i obmyto troskliwie jego rany. Nie wydawało się, żeby naruszony był jakiś ważny organ, ale Jup był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi i wkrótce dostał wysokiej gorączki.

Opatrzono go więc, pozostawiono na posłaniu i poddano ścisłej diecie, „zupełnie jak prawdziwego człowieka”, jak się wyraził Nab. Następnie dano mu do wypicia kilka fiżjanek orzeźwiającej tyzany¹¹⁹, do której składników dostarczyła apteczka Granitowego Pałacu.

Zasnął niespokojnym snem, powoli jednak jego oddech stał się bardziej regularny i pozostawiono go, żeby spokojnie odpoczywał. Od czasu do czasu Top, skradając się jakby „na palcach”, przychodził do przyjaciela i zdawał się pochylać opiekę, jaką go otaczano. Ręka Jupa zwisła z łóżka, a Top lizał ją z żalną miną.

¹¹⁹tyzana (daw., z fr.) — ziółka, leczniczy napar z suszonych roślin. [przypis edytorski]

Tego samego poranka przystąpiono do pogrzebania ciał lisów, które zaciągnięto do Lasu Dalekiego Zachodu i tam zakopano głęboko.

Napad, który mógł mieć tak poważne następstwa dla kolonistów, był dla nich nauką i odtąd nie kładli się spać, dopóki jeden z nich nie upewnił się, że wszystkie mosty zostały podniesione i wszelka napaść jest niemożliwa.

Tymczasem Jup, którego stan przez kilka dni budził poważne obawy, zaczął zdrowieć. Jego silny organizm zwyciężył, gorączka powoli spadała i Gedeon Spilett, znajdując się trochę na medycynie, uznał wkrótce, że niebezpieczeństwo minęło. 16 sierpnia Jup zaczął jeść. Nab przyrządzał dla niego małe słodkie przysmaki, którymi chory zjadał się z przyjemnością, gdyż jeśli miał jakąś drobną wadę, to tę, że był nieco łakomy, a Nab nigdy nie starał się go z tego wyleczyć.

— Czego pan chce? — mawiał do Gedeona Spiletta, robiącego mu wyrzuty, że rozpyszca orangutana. — Czego pan chce? Przecież biedny Jup nie ma innej przyjemności niż ta, że czasem zje coś smacznego, a ja czuję się szczęśliwy, że mogę choć w ten sposób wynagrodzić jego usługi.

Po dziesięciu dniach w łóżku, 21 sierpnia, pan Jup wstał. Rany się zabliznyły i widać było, że wkrótce odzyska swoją zwykłą zręczność i siłę. Jak wszyscy rekonwalescenci był niesamowicie głodny. Reporter pozwolił mu jeść, co zechce, ufając, że instynkt, którego często brak istotom rozumnym, uchroni orangutana przed nadmiernym obżarstwem. Naba zachwycał powrót apetytu u jego wychowanka.

— Jedz — mówił do niego — jedz, mój Jupie, nie żałuj sobie niczego. Przelałeś za nas swoją krew, to muszę chociaż ci pomóc, żeby ci przybyło nowej!

25 sierpnia usłyszano głos Naba przywołujący resztę towarzyszy:

— Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Pencroffie, chodźcie, chodźcie!

Koloniści, zgromadzeni w wielkiej sali, zerwali się na wezwanie Naba i pobiegli do pokoju Jupa.

— Co się stało? — spytał reporter.

— Patrzcie, panowie! — odpowiedział Nab, wybuchając śmiechem.

I co ujrzeli? Pana Jupa, który siedząc po turecku w drzwiach Granitowego Pałacu, ze spokojem i powagą palił fajkę.

— Moja fajka! — zawołał Pencroff. — On wziął moją fajkę! Ach, mój dzielny Jupie, daruję ci ją! Pal, mój przyjacielu, pal!

A Jup puszczał gęste kłęby dymu, co zdawało się sprawiać mu niezrównaną przyjemność.

Cyrusa Smitha bynajmniej to nie zadziwiło i przytoczył kilka przykładów oswojonych małp, dla których palenie tytoniu stało się nałogiem.

Od tego dnia pan Jup miał własną fajkę, dawną fajkę marynarza, która wisiała w jego pokoju wraz z zapasem tytoniu. Sam ją sobie nabijał, zapalał od żarzącego się węgielka i zdawał się być najszczęśliwszym z czwororękich stworzeń. Łatwo się domyślić, że ta wspólnota gustów zacieśniła więzy serdecznej przyjaźni łączące już od dawna znaną małpę i pocziwego marynarza.

— A może to człowiek? — mawiał nieraz Pencroff do Naba. — Czy się bardzo byś się zdziwił, gdyby pewnego dnia Jup do nas przemówił?

— Na Boga, nie — odpowiadał Nab. — Jeżeli mnie coś dziwi, raczej właśnie to, że nie mówi, bo właściwie tylko mu brakuje.

— A wiesz, to by było zabawne — ciągnął dalej marynarz — gdyby pewnego dnia odezwał się do mnie: „A może byśmy się zamienili fajkami, Pencroffie?”.

— O tak — odparł Nab. — Co za szkoda, że jest niemy od urodzenia!

We wrześniu zima skończyła się ostatecznie i z nowym zapalem podjęto dalsze prace.

Budowa statku szybko posuwała się naprzód. Poszycie¹²⁰ było już gotowe, a wszystkie wewnętrzne elementy kadłuba solidnie połączone z wręgami, wygiętymi na gorąco w parze i w pełni dopasowanymi do modelu.

Ponieważ drzewa było pod dostatkiem, Pencroff zaproponował inżynierowi, żeby wewnątrz kadłuba zrobić dodatkową szczelną powłokę, co zapewniłoby statkowi większą wytrzymałość.

¹²⁰poszycie — zewnętrzna, szczelna powłoka kadłuba jednostki pływającej. [przypis edytorski]

Cyrus Smith nie wiedząc, co ich czeka w przyszłości, zgodził się na pomysł marynarza, żeby statek był jak najmocniejszy.

Dodatkowe poszycie i pokład zostały całkowicie ukończone około 15 września. Do zatknięcia szpar użyto pakul z suchej trawy morskiej, które wbito młotkiem pomiędzy deski kadłuba, powłoki wewnętrznej i pokładu. Następnie zalano szpary gorącą smołą, której sosny dostarczyły w obfitości.

Wyposażenie statku było bardzo proste. Przede wszystkim napełniono go balastem, składającym się z ciężkich kawałów granitu, połączonych ze sobą zaprawą, ważących ogółem około dwunastu tysięcy funtów. Następnie nad balastem postawiono pokład, a wewnątrz statku podzielono na dwie kajuty, wzdłuż których ciągnęły się ławki, służące zarazem za skrzynie. Pięta masztu stanowiła jednocześnie filar podtrzymujący przepierzenie dzielące obydwie kajuty, do których wchodziło się przez dwa luki znajdujące się na pokładzie i zaopatrzone w pokrywy.

Pencroff nie miał trudności ze znalezieniem drzewa przydatnego na maszt. Wybrał do tego celu młody świerk, prosty, bez sęków, który trzeba było tylko ociosać w kwadrat u spodu, a zaokrąglić u góry. Okucia masztu, steru i kadłuba zrobiono w kuźni w Kominach prymitywnie, ale solidnie. Wreszcie reje, stenga¹²¹, zapasowe drzewo na maszty, wiosła i tak dalej — wszystko to ukończono w pierwszym tygodniu października i uzgodniono, że statek powinien zostać wypróbowany w pobliżu wyspy, aby przekonać się, jak będzie się sprawował na morzu i na ile można mu zaufać.

Przez cały ten czas nie zostały bynajmniej zaniedbane inne niezbędne prace. Zagrodę przebudowano, ponieważ stado muflonów i kozic powiększyło się już o pewną ilość potomstwa, które trzeba było gdzieś pomieścić i wyżywić. Koloniści nie zapominali także o parku ostryg, ani o królikarni, ani o pokładach węgla i rudy żelaza, ani wreszcie o odwiedzeniu kilku dotychczas niezbadanych jeszcze części Lasu Dalekiego Zachodu, bogatych w zwierzynę łowną.

Odkryto nowe gatunki miejscowych roślin, które nawet jeśli nie nadawały się do natychmiastowego użytku, to urozmaiciły przynajmniej zasoby Granitowego Pałacu. Były to różne okazy przypołudnikowatych, niektóre podobne do rosnących na Przylądku Dobrej Nadziei, o mięsistych, jadalnych liściach, inne zaś mające ziarna zawierające coś w rodzaju mąki.

10 października spuszczone statek na morze. Pencroff promieniał. Wszystko udało się doskonale. Statek w pełnym ożaglowaniu zepchnięto na rolnach na sam skraj wybrzeża, skąd pochwyciło go przybierające morze, i popłynął na falach przy oklaskach kolonistów, a zwłaszcza Pencroffa, który nie wykazywał przy tej okazji ani odrobiny skromności. Zresztą miał dodatkowy powód do dumy, nawet po zbudowaniu statku, gdyż powierzono mu dowodzenie nim. Jednogłośnie przyznano mu stopień kapitana.

Aby zadowolić kapitana Pencroffa, trzeba było przede wszystkim nadać statkowi nazwę. Po długim przedyskutowaniu wielu propozycji przegłosowano nazwę „Bonawentura”, będącą zarazem chrestnym imieniem pocziwego marynarza.

Gdy tylko przyплыł morza uniósł „Bonawenturę”, od razu można było zauważyć, że statek doskonale utrzymuje się na wodzie i powinien dobrze pływać z różnymi szybkościami.

Zresztą jeszcze tego samego dnia miał się odbyć próbny rejs na otwartym morzu. Pogoda była przepiękna, wiał chłodny wietrzyk, morze sprzyjające żegludze, zwłaszcza przy południowym wybrzeżu, gdyż od godziny wiał wiatr północno-zachodni.

— Na pokład, na pokład! — wołał kapitan Pencroff.

Ale przed wypłynięciem trzeba było zjeść śniadanie i wydawało się nawet rozsądne, żeby zabrać ze sobą trochę żywności na wypadek, gdyby wycieczka miała się przeciągnąć do wieczora.

Cyrusowi Smithowi również spieszyło się wypróbować statek, do którego przecież wykonał plany, choć za radą marynarza często zmieniał rozmaite szczegóły. Nie miał jednak tyle zaufania do statku, co Pencroff, a ponieważ marynarz nie mówił już o podróży na wyspę Tabor, Cyrus Smith miał nadzieję, marynarz odstąpił od tego pomysłu. Z wielką niechęcią zgodziłby się na to, żeby dwaj czy trzej jego towarzysze mieli zaryzykować

¹²¹stenga — drugi licząc od pokładu segment wieloczołowego masztu na żaglowcu. [przypis edytorski]

wypłynięcie gdzieś dalej tym stateczkiem, tak niewielkim, mającym zaledwie piętnaście ton wyporności.

O wpół do jedenastej wszyscy znaleźli się na pokładzie, nawet Jup i Top. Nab i Harbert podnieśli kotwicę, tkwiącą w piasku w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczynienia, podniesiono żagiel, wywieszono flagę linkolniską i „Bonawentura”, sterowany przez Pencroffa, wypłynął na morze.

Ażeby wyjść z Zatoki Stanów Zjednoczonych, trzeba było najpierw złapać przeciwny wiatr, co dało kolonistom możliwość przekonania się, że w takich warunkach szybkość statku była zadowalająca.

Po okrążeniu Cypla Znaleźiska i Przylądka Szponu Pencroff musiał się trzymać blisko lądu, płynąc wzdłuż południowego brzegu wyspy. Po kilku zwrotach zauważył, że „Bonawentura” bierze wiatr w pięciu rumbach¹²² i nie daje się znosić. Statek dobrze skręcał pod przednim wiatrem, miał „zryw”, jak mówią marynarze, i podczas obrotu potrafił zwiększać szybkość.

Pasażerowie „Bonawentury” byli zachwyceni. Mieli dobry statek, który w razie potrzeby mógł oddać im wielkie usługi, a poza tym przejażdżka w tak pogodnym dniu i przy tak pomyślnym wietrze sprawiała im prawdziwą przyjemność.

Pencroff skierował się na pełne morze, trzy czy cztery mile od wybrzeża, naprzeciw Przystani Balonowej. Wówczas wyspa ukazała się im w całej okazałości i w nowej postaci, z malowniczą panoramą wybrzeża od Przylądka Szponu do Jaszczurczego Cypla, z pięknymi lasami, w których drzewa iglaste wyróżniały się wśród młodego listowia innych drzew, pączkujących zaledwie, z panującą nad okolicą Górą Franklina, której szczyt wieńczyły śniegi.

— Jakie to piękne! — zawołał Harbert.

— O tak, nasza wysepka jest piękna i dobra — odpowiedział Pencroff. — Kocham ją, jak kochałem moją biedną matkę. Przyjęła nas, ubogich i pozbawionych wszystkiego, a teraz czegoś brakuje jej pięciorgu dzieciom, które spadły jej z nieba?

— Niczego! — odpowiedział Nab. — Niczego, kapitanie!

I dwaj pocziwcy wzniesli trzykrotnie potężne „hurra!” na cześć swojej wyspy.

W tym czasie Gedeon Spilett oparty o podstawę masztu szkicował ołówkiem panoramę rozciągającą się przed jego oczyma.

Cyrus Smith rozglądał się w milczeniu.

— No, panie Cyrusie — odezwał się do niego Pencroff — co pan powie o naszym statku?

— Zdaje się, że dobrze się spisuje — odpowiedział inżynier.

— Doskonale. Czy teraz sądzi pan, że można by na nim zaryzykować dłuższą podróż?

— Jaką podróż, Pencroffie?

— Na wyspę Tabor, na przykład.

— Przyjacielu — odpowiedział Cyrus Smith — sądzę, że gdyby zaszła pilna konieczność, powinniśmy bez wahania zawierzyć „Bonawenturze” nawet na dłuższy dystans. Ale wie pan, z jakim niepokojem przyjąłbym pana podróż na wyspę Tabor, ponieważ nic pana do tego nie zmusza.

— Dobrze jest znać swoich sąsiadów — odparł Pencroff, obstając przy swoim pomysle. — Wyspa Tabor to nasza sąsiadka, i to jedyna! Grzeczność wymaga, aby przynajmniej złożyć jej wizytę.

— Do licha! — odezwał się Gedeon Spilett. — Nasz przyjaciel Pencroff stoi jak mur przy konwenansach.

— Ja przy niczym nie stoję — odciął się marynarz, którego sprzeciw inżyniera nieco drażnił, ale nie chciał mu sprawiać przykrości.

— Niech pan pomyśli, Pencroffie — odpowiedział Cyrus Smith — że nie może pan udać się sam na wyspę Tabor.

— Jeden towarzysz mi wystarczy.

— Zgoda — odparł inżynier. — Ryzykuje pan więc pozbawienie kolonii Wyspy Lincoln dwóch z pięciu kolonistów?

¹²²*rumb* — jednostka miary kąta uzyskana przez podział okręgu na 32 części, czyli kąta prostego na 8 części, dawniej powszechnie używana w nawigacji morskiej; jeden rumb = 11,25°. [przypis edytorski]

- Z szczęścia — odpowiedział marynarz. — Zapomniał pan o Jupie.
- Z siedmiu — dodał Nab. — Top liczy się tak samo jak inni.
- Nie ma w tym żadnego ryzyka, panie Cyrusie — podjął znowu Pencroff.
- Być może, Pencroffie. Ale powtarzam panu, że to narażanie się bez potrzeby.

Uparty marynarz nic nie odpowiedział i przerwał rozmowę, ale miał silne postanowienie powrócić do niej później. Nie spodziewał się, że wkrótce przyjdzie mu z pomocą przypadek, który zmieni jego zamiar, będący dotąd tylko nieuzasadnioną zachcianką, w akt humanitaryzmu.

Po żegludze na pełnym morzu „Bonawentura” zbliżył się do brzegu, kierując się do Przystani Balonowej. Trzeba było zbadać przejście pomiędzy ławicami piasku a rafami, żeby w razie potrzeby je oznakować, ponieważ zatoczka miała być portem macierzystym statku.

Znajdowali się o pół mili od wybrzeża i trzeba było lawirować, żeby płynąć pod wiatr. „Bonawentury” płynął teraz dość wolno, gdyż wiatr, częściowo powstrzymany przez wysoki brzeg, ledwie wydymał żagle, a morze, gładkie jak lustro, marszczyło się tylko pod wpływem kapryśnych podmuchów bryzy.

Harbert stał na dziobie, żeby wskazywać drogę między przesmykami. Nagle krzyknął:

— Z wiatrem, Pencroffie, z wiatrem!

— O co chodzi? — spytał marynarz, podnosząc się. — Skala?

— Nie... czekaj... — odpowiedział Harbert. — Nie widzę jeszcze dobrze... Skręć no jeszcze... Dobrze... Trochę bliżej...

Mówiąc to, Harbert położył się na pokładzie, zanurzył szybko rękę w wodzie, po czym podniósł się, wołając:

— Butelka!

W rękę trzymał zakorkowaną butelkę, którą pochwycił zaledwie kilka kabli od brzegu.

Cyrus Smith wziął butelkę. Nie mówiąc ani słowa, wyciągnął korek i wyjął z niej wilgotny papier, na którym było napisane:

Rozbitek... Wyspa Tabor: 153° dług. zach. 37° 11' szer. płd.

ROZDZIAŁ XIII

Wyjazd postanowiony. — Przypuszczenia. — Przygotowania. — Trzej pasażerowie. — Pierwsza noc. — Druga noc. — Wyspa Tabor. — Poszukiwania na wybrzeżu. — Poszukiwania w lesie. — Nie ma nikogo. — Zwierzęta. — Rośliny. — Domostwo. — Opuszczone.

— To jakiś rozbitek, opuszczony na wyspie Tabor, tylko kilkaset mil od nas! — zawołał Pencroff. — Ach, panie Cyrusie, teraz już nie będzie się pan sprzeciwiał mojemu projektowi.

— Nie, Pencroffie — odparł Cyrus Smith. — Niech pan jedzie, i to jak najprędzej.

— Więc jutro?

— Niech będzie jutro.

Inżynier trzymał jeszcze w ręku papier wydobyty z butelki. Zastanawiał się nad nim przez kilka chwil, po czym powiedział:

— Z tego dokumentu, przyjaciele, z samej formy, w jakiej został spisany, należy wysnuć następujące wnioski: po pierwsze, rozbitek z wyspy Tabor jest człowiekiem posiadającym dość dużą wiedzę żeglarską, skoro podaje długość i szerokość geograficzną wyspy zgodne co do minuty z tymi, jakie znaleźliśmy w atlasie; po drugie, jest z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, gdyż dokument jest napisany w języku angielskim.

— To całkiem logiczne — odezwał się Gedeon Spilett — i obecnością tego rozbitka można wyjaśnić, skąd się wzięła skrzynia wyrzucona na brzeg naszej wyspy. Musiała wydarzyć się katastrofa, skoro jest rozbitek. Jeśli zaś chodzi o niego, to kimkolwiek jest, ma szczęście, że Pencroffowi przyszło do głowy wybudować statek i wypróbować go właśnie dziś, bo jeden dzień później, a butelka mogła się rozbić o skały.

— Rzeczywiście — powiedział Harbert — to szczęśliwy traf, że „Bonawentura” nadpłynęła właśnie w chwili, gdy butelka unosiła się jeszcze po wodzie.

— Nie wydaje się to panu dziwne? — zapytał Cyrus Smith Pencroffa.

— Tylko bardzo pomyślne — odparł marynarz. — Cóż pan w tym widzi nadzwyczajnego, panie Cyrusie? Butelka musiała przecież dokądś popłynąć, tak samo dobrze tutaj, jak gdzieś indziej.

— Może ma pan rację, Pencroffie — odparł inżynier — a jednak...

— Ale nie ma żadnego śladu świadczącego o tym, że butelka już od dłuższego czasu pływała po morzu — zauważył Harbert.

— Żadnego — odparł Gedeon Spilett. — Nawet dokument wydaje się świeżo spisany. Co pan o tym sądzi, Cyrusie?

— Trudno to ocenić, a zresztą wkrótce się o tym dowiemy! — odparł Cyrus Smith.

Podczas tej rozmowy Pencroff nie próżnował. Zrobił zwrot i „Bonawentura”, prując fale, mknął pod pełnymi żaglami w kierunku Przylądka Szponu. Każdy myślał o rozbitku z wyspy Tabor. Czy nie jest za późno na ratunek? Było to wielkie wydarzenie w życiu kolonistów. Oni sami byli także rozbitkami, ale można się było obawiać, że tamtemu szczęście mniej sprzyjało, więc ich obowiązkiem było pospieszyć z pomocą nieszczęśliwemu.

Oplynień dokola Przylądek Szponu i o czwartej po południu „Bonawentura” rzucił kotwicę u ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Tego wieczora omówiono szczegóły nowej wyprawy. Zdawało się najwłaściwsze, aby wzięli w niej udział tylko Pencroff z Harbertem, którzy znali się żeglowaniu. Wyruszywszy nazajutrz, czyli 11 października, mogli dotrzeć na miejsce trzynastego za dnia, gdyż przy panującym wietrze pokonanie stu pięćdziesięciu mil zajęłoby nie więcej niż czterdzieści osiem godzin. Licząc jeden dzień pobytu na wyspie, a trzy czy cztery dni na powrót, można było zakładać, że 17 października będą z powrotem na Wyspie Lincoln. Pogoda była piękna, barometr z wolna się podnosił, wiatr wydawał się stały, wszystko sprzyjało przedsięwzięciu dzielnych ludzi, których obowiązek humanitarny wzywał do oddalenia się od ich wyspy.

Tak więc postanowiono, że Cyrus Smith, Nab i Gedeon Spilett pozostaną w Granitowym Pałacu. Ale Gedeon Spilett, który nie zapomniał, że jest reporterem dziennika „New York Herald”, zaprotestował i oświadczył stanowczo, że prędeż popłynie w pław za statkiem, niż przepuści taką okazję. Pozwolono mu więc wziąć udział w wyprawie.

Wieczorem przeniesiono na pokład „Bonawentury” pościel, narzędzia, broń, amunicję, busole i żywność na osiem dni. Uwinawszy się szybko z tą pracą, koloniści powrócili do Granitowego Pałacu.

Nazajutrz o piątej rano po wzruszającym dla obu stron pożegnaniu Pencroff, rozwiniawszy żagle, skierował statek na Przylądek Szponu, który należało opłynąć, a następnie wziąć kurs prosto na południowy zachód.

„Bonawentura” oddalił się już ćwierć mili od brzegów, gdy jego pasażerowie ujrzeli na szczycie Granitowego Pałacu dwóch ludzi machających im na pożegnanie. Byli to Cyrus Smith i Nab.

— Nasi przyjaciele! — zawołał Gedeon Spilett. — Rozstajemy się po raz pierwszy od piętnastu miesięcy!

Pencroff, reporter i Harbert po raz ostatni pomachali im rękami na pożegnanie i Granitowy Pałac zniknął wkrótce za wysokimi skałami przylądka.

Przez pierwszych kilka godzin z pokładu „Bonawentury” widać było południowe brzegi Wyspy Lincoln, która niebawem stała się podobna do zielonego koszyka, z którego wynurzała się Góra Franklina. Pomniejszone odległością wzniesienia sprawiały, że wyspa wyglądała mało zachęcająco jako miejsce lądowania dla przepływających statków.

Około pierwszej po południu minęli Jaszczurczy Cypel, płynąc o dziesięć mil od brzegu. Z tej odległości nie można już było odróżnić niczego na zachodnim wybrzeżu, ciągnącym się aż do zboczy Góry Franklina, a w trzy godziny później cała Wyspa Franklina zniknęła za horyzontem.

„Bonawentura” sprawował się doskonale. Unosił się lekko na falach i szybko sunął naprzód. Pencroff podniósł topsel i statek pod pełnymi żaglami płynął na wprost, kursem wskazanym przez busolę.

Od czasu do czasu Harbert zastępował go przy sterze; chłopak miał rękę tak pewną, że marynarz nie mógł mu zarzucić ani jednego zbyt ostrego skrętu.

Gedeon Spilett rozmawiał to z jednym, to z drugim, a w razie potrzeby sam przykładał się do pracy. Kapitan Pencroff był zupełnie zadowolony ze swej załogi i wspominał nawet o wynagrodzeniu jej „kwartą¹²³ wina za każdą wachtę¹²⁴”.

Wieczorem sierp księżycy, który dopiero osiemnastego miał dojść do pierwszej kwadry, zarysował się w półmroku i wkrótce zgasł. Noc była ciemna, ale roziskrzona gwiazdami, i na następny dzień zapowiadała się ładna pogoda.

Pencroff przez ostrożność zwinął topsel, żeby jakieś niespodziewane uderzenie wiatru nie zaskoczyło go z płótnem na maszcie. Była to może zbyt ostrożność w taką pogodną noc, ale Pencroff był przezornym marynarzem i nie można mu było mieć tego za złe.

Reporter przespał część nocy. Pencroff i Harbert zmieniali się co dwie godziny przy sterze. Marynarz ufał Harbertowi jak samemu sobie, a jego zaufanie usprawiedliwiały zimna krew i rozsądek młodzieńca. Pencroff podawał mu kurs jak dowódca swojemu sternikowi, a Harbert nie pozwalał, żeby „Bonawentura” zboczył z drogi.

Noc upłynęła spokojnie, a następny dzień, 12 października, przeszedł tak samo jak poprzedni. Przez cały dzień utrzymywano dokładnie kierunek południowo-zachodni i jeśli tylko „Bonawentury” nie zniesie jakiś nieznaną prąd, to powinien dopłynąć prosto na wyspę Tabor.

Na morzu było całkiem pusto. Czasem tylko w odległości strzału przelatywał jakiś wielki ptak, albatros lub fregata, a Gedeon Spilett zastanawiał się, czy nie jest to ten właśnie, któremu powierzył swoją ostatnią kronikę zaadresowaną do redakcji „New York Herald”. Wydawało się, że te ptaki są jedynymi żyjącymi istotami, jakie odwiedzają tę część oceanu pomiędzy wyspą Tabor a Wyspą Lincolną.

— Przecież teraz jest właśnie okres, w którym wielorybnicy zwykle wyruszają w południową część Pacyfiku — zauważył Harbert. — Doprawdy nie wiem, czy jest gdzieś morze bardziej bezludne niż to!

— Wcale nie aż tak bezludne! — odparł Pencroff.

— Jak pan to rozumie? — zapytał reporter.

— Przecież my na nim jesteśmy! Czy ma pan nasz statek za jakiś wrak, a nas samych za morświny¹²⁵?

I Pencroff zaśmiał się ze swojego żartu.

Wieczorem dokonano szacunkowych obliczeń, z których wynikało, że „Bonawentura” od chwili wypłynięcia z Wyspy Lincolną, czyli w ciągu trzydziestu sześciu godzin, przepłynął odległość stu dwudziestu mil, zatem jego szybkość wynosiła około trzech i jednej trzeciej mili na godzinę. Wiatr był słaby i słabł coraz bardziej. Można się jednak było spodziewać, że jeżeli obliczenia są trafne, a kurs właściwy, to nazajutrz o świcie ujrzą wyspę Tabor.

Toteż ani Gedeon Spilett, ani Harbert, ani Pencroff nie zmrużyli oka przez całą tę noc z 12 na 13 października. Wyczekując niecierpliwie dnia, nie byli w stanie powstrzymać emocji. W ich przedsięwzięciu było tak wiele niewiadomych!

Czy byli blisko wyspy Tabor? Czy wyspę nadal zamieszkiwał rozbitek, któremu spieszyli z pomocą? Co to za człowiek? Czy swoją obecnością nie zmąci spokoju kolonii, żyjącej dotąd tak zgodnie? Czy wreszcie zgodzi się na to, by swoje obecne więzienie zamienić na inne? Wszystkie te wątpliwości, które miały niewątpliwie zostać rozstrzygnięte następnego dnia, spędzały im sen z powiek i od pierwszego świtania wszyscy wyteżali wzrok, wpatrując się w zachodni horyzont.

— Ziemia! — zawołał Pencroff około szóstej rano.

Ponieważ nie sposób było przypuszczać, aby Pencroff się mylił, więc niewątpliwie musiało to być ziemia.

Łatwo sobie wyobrazić radość małej załogi „Bonawentury”! Za kilka godzin wylądują na wyspie!

Niski brzeg wyspy Tabor, ledwie wynurzający się z fal morza, był oddalony nie więcej jak o piętnaście mil. Dziób „Bonawentury”, wskazujący dotychczas nieco na południe od

¹²³kwarta — dawna miara objętości, ok. 1 litra. [przypis edytorski]

¹²⁴wachtą — okres (zwykle 4 godz.), podczas którego pełni służbę jedna załoga statku; także: część załogi, która pełni służbę w określonym czasie. [przypis edytorski]

¹²⁵morświn (biol.) — rodzaj morskiego ssaka spokrewnionego z delfinowatymi. [przypis edytorski]

wyspy, został skierowany wprost na nią. W miarę jak na wschodzie słońce podnosiło się na niebie, można było tu i ówdzie zauważyć zarysy pojedynczych wzniesień.

— To wysepka o wiele mniejsza od Wyspy Lincoln — zauważył Harbert — i zapewne podobnie jak ona zawdzięcza swoje istnienie jakimś wypiętrzeniom podmorskim.

O jedenastej rano „Bonawentura” znajdował się już zaledwie o dwie mile od wyspy. Pencroff, szukając miejsca do wylądowania, sterował po tych nieznanym wodach z ogromną ostrożnością.

Można już było ogarnąć wzrokiem całą wysepkę, porośniętą zielonymi kępami drzew gumowych i innych dużych drzew tych samych gatunków co napotkane na Wyspie Lincoln. Ale co dziwne, nigdzie nie wznosił się dym, który świadczyłby o tym, że wysepka jest zamieszkała, ani też nigdzie na wybrzeżu nie widać było żadnego sygnału.

A jednak dokument wspominał wyraźnie o rozbitku i człowiek ten powinien wypatrywać pomocy.

Tymczasem „Bonawentura” wpłynął pomiędzy kręte przejścia wśród raf, a Pencroff z największą uwagą śledził każdy zakręt. Harberta posadził przy sterze, sam zaś, stojąc na przedzie okrętu, wpatrywał się w wodę, gotów każdej chwili zwinąć żagiel, którego fał¹²⁶ trzymał w ręku. Gedeon Spilett obserwował brzeg przez lunetę, ale nie dostrzegł niczego szczególnego.

Wreszcie około południa „Bonawentura” otarł się dziobem o piaszczysty brzeg. Rzucono kotwicę, zwinęto żagle i cała załoga stateczku zeszła na ląd.

Nie ulegało wątpliwości, że była to wyspa Tabor, gdyż według najnowszych map w tej części Pacyfiku, pomiędzy Nową Zelandią a wybrzeżem amerykańskim, nie było żadnej innej wyspy.

Przycumowano starannie statek, aby nie porwał go odpływ, po czym Pencroff i jego dwaj towarzysze, uzbrojony się należycie, poszli brzegiem w stronę stożkowatego wzgórza o wysokości dwustu pięćdziesięciu do trzystu stóp, wznoszącego się w odległości około pół mili.

— Z wierzchołka tego pagórka — powiedział Gedeon Spilett — niewątpliwie będziemy mogli ogólnie przyjrzeć się całej wyspie, co nam bardzo ułatwi poszukiwania.

— Zrobimy więc tutaj to samo, co w pierwszej kolejności zrobił pan Cyrus na Wyspie Lincoln, kiedy wszedł na Górę Franklina — zauważył Harbert.

— Identycznie to samo — odparł reporter — i to jest najlepszy sposób.

Tak rozmawiając, szli skrajem łąki kończącej się u samego podnóża stożka. Przed nimi wlatywały gromady gołębi skalnych i jaskółek morskich, podobnych do tych, które widywali na Wyspie Lincoln. W lesie, który ciągnął się na lewo od łąki, słyszeli szelest w krzakach i widzieli kołyszące się zarośla, co zdradzało obecność jakichś bardzo płochliwych zwierząt, ale dotychczas nic nie wskazywało, aby wyspa była zamieszkała przez ludzi.

Przybywszy do podnóża stożka, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett w kilka chwil wdrapali się na szczyt i rozejrzeli się dookoła.

Znajdowali się na wysepce mającej nie więcej niż sześć mil obwodu. Jej kontury nie obfitowały ani w wystające na zewnątrz przylądki i cyple, ani we wznające się w głąb zatoki i zatoczki; wyspa miała kształt wydłużonego owalu. Wokół, aż po krańce widnokregu, rozciągało się zupełnie puste morze. Nigdzie nie było widać ani lądu, ani żagla!

Wysepka, cała porośnięta lasem, nie miała tak urozmaiconego krajobrazu jak Wyspa Lincoln, której jedna część była jałowa i dzika, podczas gdy druga żyzna i bogata. Tu widzieli przed sobą tylko jednostajną masę zieleni, spomiędzy której wznosiły się dwa lub trzy niewielkie pagórki. Wysepkę ukośnie przecinał strumień płynący przez szeroką łąkę i wąskim ujściem wpadający do morza na zachodnim wybrzeżu.

— Niewielki kraik — zauważył Harbert.

— Tak — powiedział Pencroff. — Dla nas byłoby tu za ciasno!

— Poza tym — odparł reporter — wydaje się niezamieszkały.

— Istotnie — odezwał się Harbert — ani śladu człowieka.

— Zejdźmy — odparł Pencroff — i poszukajmy.

¹²⁶fał — lina służąca do podnoszenia i opuszczania żagla lub ruchomej części omasztowania bądź wyposażenia statku żaglowego. [przypis edytorski]

Marynarz z towarzyszami powrócili na brzeg morza, gdzie zostawili „Bonawenturę”. Postanowili najpierw obejść pieszo całą wysepkę dookoła, a dopiero potem zapuścić się w głąb, tak by żadne miejsce nie uszło ich uwadze.

Posuwanie się wzdłuż brzegu morskiego nie nastręczało żadnych trudności, tylko w paru miejscach przecinały im drogę olbrzymie głazy, lecz łatwo było je obejść. Podróżnicy skierowali się na południe, pługając po drodze liczne gromady morskiego ptactwa i stada fok, które na ich widok już z daleka rzucały się do morza.

— Te zwierzęta — zauważył reporter — nie pierwszy raz widzą ludzi. Boją się ich, więc ich znają.

W godzinę później wszyscy trzej dotarli do południowego krańca wysepki, zakończonego spiczastym przylądkiem, skąd zawrócili na północ zachodnim brzegiem, równie piaszczystym i kamienistym, za którym w głębi rozciągał się gęsty las.

Na całym wybrzeżu wysepki, którą w ciągu czterech godzin obeszlą dookoła, nie znaleźli nigdzie ani śladu domostwa, ani odcisku stopy ludzkiej.

Było to co najmniej dziwne i skłaniało do przypuszczenia, że wyspa Tabor nie była nigdy, a przynajmniej nie jest teraz zamieszkała. Być może zresztą dokument został napisany przed kilkoma miesiącami, a nawet latami, a w takim przypadku rozbitek mógł już dawno zostać zabrany do ojczyzny albo zginąć z głodu.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, snując mniej lub bardziej prawdopodobne przypuszczenia, zjedli naprędce posiłek na pokładzie „Bonawentury”, by natychmiast wyruszyć na dalsze poszukiwania i kontynuować je aż do zmroku.

O piątej po południu poszli w stronę do lasu.

Na ich widok rzucały się do ucieczki liczne zwierzęta, głównie, a nawet prawie wyłącznie, kozy i świnie, które jak łatwo było rozpoznać, należały do gatunków europejskich. Z pewnością jakiś statek wielorybiczny zostawił je na wyspie, gdzie się szybko rozmnożyły. Harbert postanowił schwycić żywcem jedną czy dwie pary i zabrać je na Wyspę Lincolną.

Nie ulegało zatem żadnej wątpliwości, że kiedyś ludzie odwiedzili tę wysepkę. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, kiedy w lesie ukazały się wytyczone ścieżki, pościnane siekierą pnie drzew i widoczne wszędzie ślady ludzkiej pracy. Jednak te pnie już gnęły, zostały ścięte przed wieloma laty, nacięcia siekiery pokrywał mech, a na ścieżkach rozrosło się wysokie i gęste zielsko, tak że ledwie je można było rozpoznać.

— Dowodzi to jednak — zauważył Gedeon Spilett — że ludzie nie tylko wylądowali kiedyś na tej wysepce, ale ją przez jakiś czas zamieszkiwali. Pytanie teraz: co to byli za ludzie? Ilu ich było? Ilu ich jeszcze zostało?

— Dokument — odezwał się Harbert — wspomina tylko o jednym rozbitku.

— Cóż, jeśli nadal jest na wyspie, to niemożliwe, żebyśmy go nie znaleźli.

Szukali więc dalej. Marynarz z towarzyszami wybrali naturalnie drogę przecinającą ukośnie wysepkę i tym samym posuwali się wzdłuż strumienia biegnącego ku morzu.

Nie tylko zwierzęta pochodzenia europejskiego i niektóre ślady ludzkiej pracy dowodziły bezsprzecznie, że na wyspie przebywał już kiedyś człowiek. Świadczyły o tym również różne okazy roślin. Gdzieniedzie na polanach leśnych widać było, że kiedyś, zapewne dawno temu, sadzono tu warzywa.

Toteż wielką radością Harberta, gdy rozpoznał ziemniaki, cykorię, szczaw, marchew, kapustę, rzepę. Wystarczyło zebrać nasiona, by wzbogacić poletka Wyspy Lincolną!

— Świetnie! Doskonale! — powiedział Pencroff. — To coś dla Naba i dla nas. Choćbyśmy nawet nie znaleźli rozbitka, to i tak wyprawa nie była daremna i Bóg nas wynagrodził!

— Niewątpliwie — odparł Gedeon Spilett. — Ale sądząc ze stanu, w jakim znajduje się ten warzywnik, należy się obawiać, że wysepka od dawna nie jest zamieszkała.

— Rzeczywiście — odparł Harbert. — Kimkolwiek byłby mieszkaniec, nie zaniebdałby tak ważnej uprawy.

— Tak — odezwał się Pencroff — rozbitka już nie ma... Nie sposób sądzić inaczej...

— Więc musimy uznać, że dokument powstał dawno temu?

— Oczywiście.

— I że butelka długo błąkała się po morzu, zanim dopłynęła do Wyspy Lincolną?

— Czemu nie? — odparł Pencroff. — Ale zapada już zmrok i sędzę, że lepiej będzie przerwać nasze poszukiwania.

— Wracajmy na pokład, a jutro rozpoczniemy na nowo — powiedział reporter.

Była to najmądrzejsza rada i już zamierzali się do niej zastosować, gdy nagle Harbert, wskazując na jakiś duży, niewyraźny kształt mający między drzewami, zawołał:

— Domek!

Natychmiast wszyscy trzej pobiegli we wskazaną stronę. W wieczornym zmroku można było dostrzec, że była to chata zbudowana z desek pokrytych grubym, smołowanym płótnem.

Pencroff pchnął na wół przymknięte drzwi i pospiesznie wszedł do środka.

Chata była pusta!

ROZDZIAŁ XIV

Co znaleziono w chacie. — Noc. — Kilka liter. — Dalsze poszukiwania. — Rośliny i zwierzęta. — Harbert w wielkim niebezpieczeństwie. — Na pokładzie. — Odplynięcie. — Niepogoda. — Przebłysk instynktu. — Zagubieni na morzu. — Ogień zapalony w samą porę.

Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett stali przez chwilę w ciemnościach, milcząc.

Pencroff zawołał głośno.

Nikt nie odpowiedział.

Marynarz skrzesał ogień i zapalił suchą gałązkę. Ogień oświetlił na chwilę niewielką izbę, jak się zdawało, zupełnie pustą. W głębi stał niezgrabnie ulepiony komin¹²⁷, na nim leżał wystygły popiół i wiązka suchego drewna. Pencroff podłożył pod nie zapaloną gałązkę i wkrótce drzewo buchnęło jasnym płomieniem.

Wówczas marynarz i jego towarzysze ujrzeli pozostawione w nieładzie posłanie, którego wilgotna i pożółkła pościel świadczyła o tym, że od dawna nikt jej nie używał. W jednym rogu komina stały dwa pokryte rdzą czajniki i przewrócony kociołek; w szafie wisiało kilka sztuk na wół zbutwiałej odzieży marynarskiej; na stole leżało cynowe nakrycie i przeżarta przez wilgoć Biblia. W rogu stało kilka narzędzi: łopata, motyka, kilof, dwie strzelby myśliwskie, w tym jedna złamana; na desce służącej za półkę — nienaruszona baryłka prochu, beczulka śrutu i kilka pudełek kapsli. Wszystko to pokryte było grubą warstwą pyłu, nagromadzoną zapewne przez długie lata.

— Nie ma nikogo — odezwał się reporter.

— Nikogo — powtórzył Pencroff.

— Od dawna nikt w tej izbie nie mieszkał — zauważył Harbert.

— Tak, od bardzo dawna — odparł reporter.

— Panie Spilett — odezwał się wtedy Pencroff — zamiast wracać na pokład, sędzę, że lepiej będzie spędzić noc w tej chacie.

— Ma pan rację, Pencroffie — odparł Gedeon Spilett. — A jeśli właściciel powróci, to cóż! Myślę, że nie będzie się gniewał, gdy nas tu zastanie.

— Nie wróci — powiedział marynarz, kręcąc głową.

— Sądzi pan, że opuścił wyspę? — zapytał reporter.

— Gdyby ją opuścił, zabrałby ze sobą broń i narzędzia — odparł Pencroff. — Wie pan przecież, jaką wartość przypisują rozbitkowie przedmiotom, które zdołali ocalić z katastrofy. Nie, nie! — powtórzył marynarz głosem pełnym głębokiego przekonania. — Nie, on nie opuścił wyspy! Gdyby stąd odplynął na czólnie, które sam sporządził, to tym bardziej nie zostawiłby tu tych przedmiotów pierwszej potrzeby! Nie, on jest na wyspie!

— Żywy?... — zapytał Harbert.

— Żywy albo martwy. Lecz jeśli umarł, to przecież, jak sędzę, sam siebie nie pochował — odparł Pencroff — i w takim razie znajdziemy przynajmniej jego zwłoki.

Postanowili więc spędzić tę noc w opuszczonej chacie. Zapas drzewa leżący w kącie wystarczał, żeby ją ogrzać. Zamknąwszy drzwi, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett usiedli

¹²⁷ *komin* (daw.) — piec kuchenny. [przypis edytorski]

na ławie, niewiele mówiąc, lecz za to wiele rozmyślając. Znajdowali się takim stanie ducha, w którym człowiek skłonny jest wszystko przypuszczać i wszystkiego się spodziewać, i chciwym uchem łowili każdy szelest dochodzący z zewnątrz. I gdyby nagle otwarły się drzwi i ujrzeli przed sobą obcego człowieka, ani trochę by ich to nie zdziwiło, pomimo że chata wyglądała na całkowicie opuszczoną, i każdej chwili gotowi byli uściskać dłoń tego człowieka, tego rozbitka, tego nieznanego przyjaciela, którego oczekiwały przyjazne serca!

Ale nie dał się słyszeć żaden szmer, drzwi się nie otwierały, i tak upływała jedna godzina za drugą.

Jakże dłużyła się ta noc marynarzowi i jego towarzyszom! Tylko Harbert zasnął na dwie godziny, bo w jego wieku sen jest koniecznością. Wszystkim trzem spieszo było o świcie rozpocząć na nowo poszukiwania i przetrząsnąć dokładnie wysepkę aż do jej najskrytszych zakątków. Wnioski Pencroffa były zupełnie słuszne i nie ulegało prawie żadnej wątpliwości, że skoro chata była pusta i nadal znajdowały się w niej naczynia, broń i narzędzia, to jej mieszkaniec musiał zginąć. Należało zatem odszukać jego zwłoki i przynajmniej pochować je po chrześcijańsku.

Zaświtał dzień. Pencroff i jego towarzysze natychmiast przystąpili do dokładniejszych oględzin chaty.

Zbudowana była w dobrze dobranym miejscu, na zboczu niewielkiego wzniesienia, osłonięta przez kilka wspaniałych drzew gumowych. Przed chatą wycięto w lesie szeroki trakt, odsłaniający widok aż na morze. Mały trawnik, otoczony wałącym się drewnianym płotem, prowadził do brzegu, skąd na lewo znajdowało się ujście strumienia.

Chata zbudowana była z desek i nietrudno było zauważyć, że deski te pochodziły z kadłuba lub z pokładu statku. Było więc prawdopodobne, że jakiś uszkodzony statek został wyrzucony na brzeg wyspy, że ocalał przynajmniej jeden człowiek z załogi i że człowiek ten, mając potrzebne narzędzia, ze szczątków statku wybudował ten domek.

Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy Gedeon Spilett, obszedłszy dookoła całą chatę, dostrzegł na jednej z desek, pochodzącej prawdopodobnie z pawęży¹²⁸ rozbitego statku, na wpół zatarte litery:

BR.TAN..A

— „Britannia”! — zawołał Pencroff, gdy reporter przywołał go do siebie. — Tę nazwę nosi wiele statków i nie jestem w stanie nawet stwierdzić, czy to był statek angielski, czy amerykański.

— Mniejsza z tym, Pencroffie!

— Istotnie, mniejsza z tym — odparł marynarz. — Jeśli człowiek, który ocalał z załogi, nadal żyje, może liczyć na naszą pomoc, wszystko jedno, jakiej jest narodowości. Ale zanim rozpoczniemy dalsze poszukiwania, wróćmy najpierw na „Bonawenturę”.

Pencroffa ogarnął jakiś niepokój o los statku. A jeśli wyspa mimo wszystko była zamieszkała i jeśli któryś z mieszkańców nim zawładnął... Ale wzruszył tylko ramionami na tak nieprawdopodobne przypuszczenie.

Tak czy owak, marynarz chętnie poszedł zjeść śniadanie na pokładzie statku. Prowadziła do niego droga utorowana i niedaleka, zaledwie mila. Ruszono więc niezwłocznie, uważnie wpatrując się w las i zarośla, przez które setkami pomykały kozy i świnię.

W dwadzieścia minut później Pencroff i jego towarzysze ujrzeli wschodnie wybrzeże wyspy i „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy mocno zarytej w piasek.

Pencroff mimo woli odetchnął pełną piersią. W końcu ten statek był jego dzieckiem, a ojcowie mają prawo często niepokoić się bardziej, niż wymagałby rozsądek.

Na pokładzie zjedli obfite śniadanie, by można się było do późna wstrzymać z obiadem, po czym wyruszyli na dalsze poszukiwania, które prowadzili z jak największą starannością.

Koniec końców było bardzo prawdopodobne, że jedyny mieszkaniec wysepki zginął. Toteż Pencroff i jego towarzysze szukali raczej śladów zmarłego niż żywego. Jednak poszukiwania były daremne i przez pół dnia na próżno przetrząsali gęstwiny porastające wysepkę. Należało więc przypuszczać, że jeśli rozbitek zmarł, to z jego zwłok nie został już ani szczątek, gdyż zapewne jakieś drapieżne zwierzę pożarło je do ostatniej kości.

¹²⁸pawęż statku — płaskie, pionowe lub lekko nachylone zakończenie rufy statku. [przypis edytorski]

— Wyruszamy jutro o świcie — powiedział Pencroff do swoich towarzyszy, gdy około drugiej położyli się w cieniu sosen, by chwilę odpocząć.

— Sądzę — dodał Harbert — że możemy bez skrupułów zabrać ze sobą narzędzia, które niegdyś należały do tego rozbitka.

— I ja tak myślę — odparł Gedeon Spilett. — Te narzędzia i broń uzupełnią dobytek Granitowego Pałacu. Jeśli się nie mylę, zapas prochu i śrutu jest znaczny.

— Tak — odparł Pencroff — ale nie zapomnijmy też schwytać jednej czy dwóch par świń, których nie ma na Wyspie Lincoln.

— I pozbierać nasiona — dodał Harbert — z których będziemy kiedyś mieli wszystkie warzywa Starego i Nowego Świata.

— W takim razie — odezwał się reporter — może lepiej by było pozostać jeden dzień dłużej na wyspie Tabor, aby zebrać wszystko, co może nam być przydatne.

— Nie, panie Spilett — odparł Pencroff. — Proszę, żebyśmy odpłynęli jutro skoro świt. Wydaje mi się, że wiatr zaczyna zmieniać kierunek na zachodni, więc tak jak mieliśmy sprzyjający wiatr, płynąc tutaj, tak będziemy go mieli, wracając.

— Zatem nie traćmy czasu! — powiedział Harbert, powstając.

— Nie traćmy czasu — powtórzył Pencroff. — Ty, Harbercie, zajmij się zbieraniem nasion, bo znasz się na nich lepiej od nas. Tymczasem ja z panem Spiletem zapołujemy na świnie i chociaż nie ma Topa, mam nadzieję, że uda nam się schwytać kilka sztuk.

Harbert poszedł ścieżką wiodącą do uprawnej części wysepki, podczas gdy marynarz z reporterem zapuścili się w las.

Mnóstwo okazów świńskiej rasy umykało przed nimi. Te nader zwinne zwierzęta nie miały widocznie najmniejszej ochoty dopuszczać kogokolwiek blisko siebie. Po półgodzinnej gonitwie myśliwym udało się schwytać jedną parę, która zaplątała się w gęstwinie, gdy nagle o kilkaset kroków na północ od nich rozległy się głośnie krzyki. Z krzykami przeplatały się jakieś przeraźliwe ryki, niemające w sobie nic ludzkiego.

Pencroff i Gedeon Spilett zerwali się na równe nogi, a świnie skorzystały z tego, żeby uciec w chwili, gdy marynarz przygotowywał już sznurki, aby je powiązać.

— To głos Harberta! — powiedział reporter.

— Biegnijmy czym prędzej! — zawołał Pencroff.

Marynarz z reporterem pobiegli co tchu w stronę, skąd słyhać było krzyki.

Dobrze, że się pospieszyli, gdyż na zakręcie ścieżki w pobliżu polany ujrzeli jakieś dzikie stworzenie, wyglądające na olbrzymią małpę, które powaliło Harberta na ziemię i zamierzało się z nim rozprawić.

W jednej chwili Pencroff i Gedeon Spilett rzucili się na potwora, obalili go na ziemię, wydarli mu Harberta i mocno pochwycili. Marynarz miał herkulesową¹²⁹ siłę, reporter także był krzepki, toteż pomimo oporu potwora, skrzepowali go mocno, tak że nie mógł się ruszyć.

— Nic ci się nie stało, Harbercie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! Nic!

— Ach, jeśli cię zraniła ta małpa!... — zawołał Pencroff.

— Ależ to nie małpa! — odparł Harbert.

Na te słowa Pencroff i Gedeon Spilett przyjrzeni się bliżej dziwnej istocie leżącej na ziemi.

Rzeczywiście to nie była małpa! Była to istota ludzka, to był człowiek! Ale co za człowiek! Dziki w całym okropnym znaczeniu tego słowa, tym straszniejszy, że najwyraźniej popadł w stan ostatecznego zezwierzęcenia.

Włosy miał najeżone, zapuszczona broda spadała mu na piersi, był prawie nagi, z wyjątkiem kawałka płachty opasującej biodra, wzrok miał dziki, ręce olbrzymie, niezmiernie długie paznokcie, cerę ciemną jak mahoń¹³⁰, skórę na nogach stwardniałą, jak gdyby zrogowaciałą. Tak wyglądała ta nieszczęsna istota, której mimo to trzeba było nazwać człowiekiem. Ale doprawdy słusznie można było zapytać, czy w tym ciele mieszkała jeszcze dusza, czy też pozostał w nim tylko prymitywny instynkt zwierzęcia.

¹²⁹herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

¹³⁰mahoń — cenione czerwono-brunatne, twarde drewno tropikalnego mahoniowca, pochodzącego z Ameryki Środkowej i basenu M. Karaibskiego. [przypis edytorski]

— Jest pan zupełnie pewny, że to był kiedyś człowiek? — zapytał Pencroff reportera.

— Niestety, to nie ulega wątpliwości — odparł reporter.

— Więc to ma być ten rozbitek? — zapytał Harbert.

— Tak — odparł Gedeon Spilett. — Ale ten nieszczęśnik nie ma już w sobie nic ludzkiego!

Reporter miał słuszość. Było jasne, że jeśli rozbitek był kiedyś istotą cywilizowaną, to długie odosobnienie od ludzi uczyniło z niego dzikusa, a nawet co gorsza, prawdziwego leśnego człowieka. Chrapliwe dźwięki wydobywały się z jego gardła przez zaciśnięte zęby, które były ostre jak u drapieżnika i służyły już tylko do rozdzierania surowego mięsa. Pamięć musiała go pewnie od dawna opuścić i od dawna nie umiał posługiwać się narzędziami i bronią ani rozniecać ognia. Widać było, że jest silny i zwinny, ale te cechy fizyczne rozwinęły się u niego kosztem duchowych.

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawał się nie rozumieć, a nawet nie słyszeć... A jednak, wpatrując się uważnie w jego oczy, reporter miał wrażenie, że rozum jeszcze nie całkiem w nim wygasł.

Tymczasem więzień nie szamotał się i nie próbował rozerwać krępujących go więzów. Czy taki przytłaczający wpływ wywierała na niego obecność ludzi, do których był kiedyś podobny? Czy może w jakimś zakątku mózgu odnalazł przelotne wspomnienie, że też był kiedyś człowiekiem? Gdyby go uwolniono, czy uciekłby, czy został przy nich? Trudno było powiedzieć, ale nie podjęli takiej próby. Przyjrawszy się uważnie nieszczęśnikowi, Gedeon Spilett powiedział:

— Kimkolwiek jest, kimkolwiek był i będzie, naszym obowiązkiem jest zabrać go ze sobą na Wyspę Lincolna.

— Tak, tak! — odparł Harbert. — Może przez troskliwe starania uda nam się wzbudzić w nim na nowo iskrę rozumu.

— Dusza nie umiera — powiedział reporter — a dla nas byłaby to wielka radość wyrwać to boże stworzenie ze stanu zezwierzęcenia.

Pencroff pokręcił głową z powątpiewaniem.

— W każdym razie trzeba spróbować — odparł reporter. — Uczucia ludzkie nam to nakazują.

Istotnie było to ich obowiązkiem jako ludzi cywilizowanych i chrześcijan. Wszyscy trzej to rozumieli i byli pewni, że Cyrus Smith to pochwali.

— Czy zostawimy go w więzach? — zapytał marynarz.

— A może poszedłby dobrowolnie, gdybyśmy mu rozwiąziali nogi? — powiedział Harbert.

— Spróbujmy — odparł Pencroff.

Zdjęto więc sznury z nóg więźnia, ale ręce pozostawiono mocno związane. Wstał dobrowolnie i nie okazywał żadnej chęci ucieczki. Jego oczy rzuciły ostre spojrzenia na trzech ludzi idących obok niego, ale nic nie zdradzało, że sobie przypomina, że jest lub że kiedyś był ich bliźnim. Z jego ust wydobywał się nieustanny świst, wygląd miał dziki, lecz nie stawał żadnego oporu.

Za radą reportera przyprowadzono nieszczęśnika do jego mieszkania. Może widok należącego do niego przedmiotów wywrze na nim jakieś wrażenie? Może ta jedna iskierka wystarczy, aby ożywić na nowo zamglony umysł, rozniecić przygasły ogień tej duszy?

Do chaty było niedaleko. Dotarli do niej w ciągu kilku minut, ale więzień niczego nie poznawał, zdawało się, że stracił świadomość wszystkiego, co go otaczało.

Cóż można było wnioskować ze stopnia zezwierzęcenia, w jakie popadł ten nieszczęśnik? Tylko to, że był uwięziony na wysepce już od bardzo dawna, że trafił na nią jako człowiek rozumny, a długoletnie odosobnienie od świata doprowadziło go do takiego stanu.

Wtedy reporter wpadł na pomysł, że może podziła na niego widok ognia i w jednej chwili na palenisku zapłonął jasny płomień, który robi wrażenie nawet na zwierzętach.

Początkowo płomień jakby zwrócił uwagę nieszczęśnika, ale wkrótce dziki odwrócił się od niego i jego wzrok znowu zasnuł się bezmyślnością.

Nie pozostawało w tej chwili nic innego, jak tylko odprowadzić go na pokład „Bonawentury”, gdzie pozostawiono go pod strażą Pencroffa.

Tymczasem Harbert i Gedeon Spilett wrócili na wysepkę, aby załatwić, co było jeszcze do załatwienia. Kilka godzin później powrócili na brzeg, przynosząc narzędzia i broń, nasiona warzyw, kilka sztuk upolowanej zwierzyny i dwie pary świń. Wszystko to załadowano na statek i „Bonawentura” był gotów do podniesienia kotwicy, czekając tylko na przyływ, który miał nastąpić nazajutrz rano.

Więźnia umieszczono w przedniej kajucie, gdzie się zachowywał spokojnie i cicho, jak głuchy i niemy zarazem.

Pencroff dał mu jedzenie, lecz nie chciał tknąć gotowanego mięsa, widocznie już odwykł od niego. Rzeczywiście, kiedy Pencroff pokazał mu dziką kaczkę, którą ustrzelił Harbert, rzucił się na nią i pochłonął ze zwierzęcą zachłannością.

— Sądzi pan, że jeszcze przyjdzie do siebie? — zapytał Pencroff, kręcąc z powątpiewaniem głową.

— Być może — odparł reporter. — Niewykluczone, że nasze usilne starania mogą w końcu odnieść jakiś skutek, bo przecież to osamotnienie doprowadziło go do takiego stanu, a teraz nie będzie już sam.

— Biedak na pewno od dawna jest w tym stanie — powiedział Harbert.

— Możliwe — odparł Gedeon Spilett.

— W jakim może być wieku? — zapytał Harbert.

— Trudno powiedzieć — odparł reporter — gdyż pod gęstym zarostem trudno rozpoznać rysy twarzy, ale nie jest już młody i sądę, że ma około pięćdziesiątki.

— Zauważył pan, panie Spilett, jak głęboko ma osadzone oczy? — zapytał Harbert.

— Tak, Harbercie, ale mimo to jego oczy mają wyraz bardziej ludzki, niż można by sądzić po całej postaci.

— Zresztą zobaczymy — odparł Pencroff. — Jestem bardzo ciekawy, co powie pan Cyrus o naszym dzikusie. Popłynęliśmy po człowieka, a przywozimy potwora! Ha, każdy robi, co może!

Minęła noc. Nikt nie wiedział, czy więzień spał, czy nie, ale pomimo że uwolniono go z więzów, nie ruszał się wcale. Zachowywał się jak dzikie zwierzęta, które początkowo są oszołomione niewolą, a dopiero później wybuchają wściekłością.

O świcie następnego dnia, 15 października, nastąpiła przewidywana przez Pencroffa zmiana pogody. Powiał wiatr z północnego zachodu, sprzyjający powrotowi „Bonawentury”, lecz jednocześnie stał się ostrzejszy, co z kolei utrudniało nawigację.

O piątej rano podniesiono kotwicę. Pencroff zrefował¹³¹ główny żagiel i skierował dziób statku na wschodni północny wschód¹³², sterując wprost na Wyspę Lincoln.

Pierwszy dzień żeglugi upłynął bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Więzień siedział spokojnie w przedniej kajucie, a ponieważ dawniej był marynarzem, wydawało się, że kołysanie fali wpływa na niego korzystnie. Czy może budziło się w nim wspomnienie dawnego zawodu? W każdym razie zachowywał się spokojnie i był raczej zdziwiony niż przygnębiony.

Nazajutrz, 16 października, wiatr wzmógł się znacznie i wykręcił bardziej na północ, a zatem w kierunku mniej korzystnym dla „Bonawentury”, podskakującego wysoko na falach. Pencroff musiał skrócić żagle. Nic nikomu nie mówił, ale czuł się mocno zaniepokojony stanem morza. Fale rozbijały się gwałtownie o dziób statku. Było pewne, że jeśli wiatr się nie zmieni, dotarcie na Wyspę Lincoln zajmie więcej czasu niż zajęło dopłynięcie na wyspę Tabor.

Rzeczywiście, 17 października rano minęło czterdzieści osiem godzin od wypłynięcia „Bonawentury”, a jeszcze nic nie wskazywało, że znajduje się on w pobliżu Wyspy Lincoln. Zresztą niemożliwe było oszacowanie przebytej odległości, gdyż kierunek i szybkość zbyt często się zmieniały.

Dwadzieścia cztery godziny później nadal nie było widać ani śladu lądu. Wicher dął z całej siły, a morze było burzliwe. Trzeba było szybko manewrować żaglem, refować i robić częste zwroty. 19 października ogromna fala zwała się na „Bonawenturę” i gdyby nie to,

¹³¹refować — zmniejszać powierzchnię ożaglowania podczas żeglugi w trudnych warunkach wiatrowych przez częściowe zwijanie lub składanie dolnej części żagla i umocowanie jej za pomocą linek. [przypis edytorski]

¹³²wschodni północny wschód — określenie kierunku używane daw. w żegludze, oznaczające kierunek dokładnie pośredni pomiędzy wschodnim a północno-wschodnim, czyli odchylony o 67,5° od północy. [przypis edytorski]

że pasażerowie wcześniej poprzywiązywali się przez ostrożność do pokładu, z pewnością porwałaby ich ze sobą.

W tym niebezpieczeństwie Pencroffowi i jego towarzyszom, zajęтым wypłatywaniem się z lin, niespodziewanie przyszedł z pomocą więzień, który wybiegł przez luk na pokład, jak gdyby nagle wiedziony instynktem marynarza, i kilkoma potężnymi ciosami siekiery rozbił deski burty, aby woda zalewająca pokład mogła szybciej spłynąć. Po czym, gdy statek był już wolny od wody, bez słowa powrócił do kajuty.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, osłupiali ze zdziwienia, pozwolili mu działać.

Tymczasem sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Marynarz nabrał przekonania, że zabłądzili na niezmiernym pustkowiu wodnym, bez możliwości znalezienia prawidłowego kursu.

Noc z 19 na 20 października była ciemna i chłodna. Jednak około godziny jedenastej wiatr trochę przycichł, morze się uspokoiło i „Bonawentura”, mniej miotany przez fale, nabrał większej szybkości. Zresztą i tak znakomicie trzymał się na morzu.

Ani Pencroff, ani Gedeon Spilett, ani Harbert nawet na krótko nie zmrużyli oka. Czuwali z wytężoną uwagą, gdyż albo Wyspa Lincolnna była niedaleko, a wtedy zobaczą ją o świcie, albo też „Bonawentura”, porwany prądami morskimi, zboczył z drogi, a w takim razie niemożliwe byłoby naprowadzenie go na poprawny kurs.

Pencroff, chociaż w najwyższym stopniu zaniepokojony, nie tracił nadziei, gdyż posiadał niepospolity hart ducha. Siedząc przy sterze, usiłował przebić wzrokiem otaczające go gęste ciemności.

Okolo drugiej nad ranem zerwał się nagle i zawołał:

— Ogień! Ogień!

Rzeczywiście, w odległości dwudziestu mil na północny wschód ukazało się jasne światło. Tam musiała być Wyspa Lincolnna, a ogień, zapalony najpewniej przez Cyrusa Smitha, wskazywał im drogę.

Pencroff, który poprowadził statek zanadto na północ, skorygował kierunek i wziął kurs prosto na ogień jaśniejący ponad horyzontem jak gwiazda pierwszej wielkości.

ROZDZIAŁ XV

Powrót. — Rozmowa. — Cyrus Smith i nieznajomy. — Przystań Balonowa. — Starania inżyniera. — Wzruszające doświadczenie. — Kilka łez ludzkich.

Nazajutrz, 20 października o siódmej rano, po czterodniowej żegludze „Bonawentura” osiadł lekko na piasku w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczyनिया.

Cyrus Smith z Nabem, mocno zaniepokojeni burzą i przedłużającą się nieobecnością towarzyszy, wyszli o świcie na szczyt Płaskowyżu Pięknego Widoku i stamtąd ujrzeli wreszcie tak długo oczekiwany statek.

— Dzięki Bogu! Otóż i oni! — zawołał Cyrus Smith.

Nab z radości zaczął tańczyć, kręcić się w kółko, klaszcząc w ręce i wołając: „O, mój drogi panie!”. Pantomina ta była bardziej wzruszająca niż najwymowniejsze słowa.

Gdy inżynier policzył osoby stojące na pokładzie „Bonawentury”, jego pierwszą myślą było, że Pencroff nie znalazł rozbitka na wyspie Tabor albo że nieszczęśnik nie chciał porzucić swojej wyspy i zamienić dotychczasowego więzienia na inne.

Istotnie, na pokładzie „Bonawentury” prócz Pencroffa, Gedeona Spiletta i Harberta nie było nikogo więcej.

W chwili gdy statek przybijał, inżynier z Nabem oczekiwali go na brzegu i zanim pasażerowie wyskoczyli na piasek, Cyrus Smith powiedział:

— Bardzo się o was martwiliśmy, przyjaciele, że się spóźniacie. Czyżby przytrafiło się wam coś złego?

— Nie — odparł Gedeon Spilett — przeciwnie, wszystko powiodło się doskonale. Zaraz to opowiemy.

— A jednak wasze poszukiwania musiały spełznąć na niczym — powiedział Cyrus Smith — skoro wracacie we trzech, tak jak wypływaliście?

— Za pozwoleniem, panie Cyrusie — odparł marynarz — jest nas tu czterech!

— Więc znaleźliście rozbitka?

— Znaleźliśmy.

— I przywieźliście go?

— Przywieźliśmy.

— Żywego?

— Żywego.

— Gdzie jest? Kto to jest?

— Jest to, albo raczej był to człowiek! — odparł reporter. — To wszystko, co możemy o nim powiedzieć, Cyrusie.

I natychmiast opowiedziano inżynierowi wszystko, co ich spotkało w podróży. Jak i w jakich okolicznościach prowadzili poszukiwania, jak jedyne na całej wysepce domostwo od dawna już stało pustką, wreszcie, jak schwytali rozbitka, który jak się zdawało, przestał już należeć do rasy ludzkiej.

— I dotąd nie wiem — dodał Pencroff — czyśmy dobrze zrobili, żeśmy go tu ze sobą przywieźli.

— Na pewno dobrze zrobiliście, Pencroffie! — odparł żywo inżynier.

— Ale ten nieszczęśnik jest całkiem pozbawiony rozumu.

— Może teraz tak — odparł Cyrus Smith. — Ale kilka miesięcy temu był człowiekiem takim jak pan czy ja. I kto wie, co by się stało z którymkolwiek z nas, gdyby dłuższy czas przeżył samotnie na tej wyspie? Biada samotnym, przyjaciele! Widać, że samotność szybko pozbawiła go rozumu, skoro znaleźliście tę biedną istotę w takim stanie.

— Ale z czego pan to wnioskuje, panie Cyrusie — zapytał Harbert — że ten nieszczęśnik popadł w zewwierzęcenie dopiero kilka miesięcy temu?

— Z tego, że dokument, który znaleźliśmy, był świeżo napisany — odparł inżynier — i że tylko rozbitek mógł go napisać.

— Chyba że napisał go jakiś jego towarzysz, który przez ten czas mógł umrzeć — zauważył Gedeon Spilett.

— To niemożliwe, drogi Spilett.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Ponieważ w takim przypadku dokument wspominałby o dwóch rozbitkach — odparł Cyrus Smith — a wspomina tylko o jednym.

Harbert opowiedział w kilku słowach po przebiegu rejsu, kładąc szczególny nacisk na dziwny fakt chwilowego oprzytomnienia więźnia, gdy na chwilę, podczas najstraszniejszej burzy, stał się znowu marynarzem.

— Cóż, Harbercie, masz rację, przywiązując do tego faktu tak wielką wagę — odparł inżynier. — Ten nieszczęśnik może jeszcze wyzdrowieć, to rozpacz wtrąciła go w taki stan. Tutaj będzie wśród swoich bliźnich, a ponieważ nadal ma duszę, więc tę duszę ocalimy!

Rozbitka z wyspy Tabor wyprowadzono z kajuty, którą zajmował na na dziobie „Bonawentury”. Jego wygląd wzbudził wielką litość inżyniera i wielkie zdumienie Naba. Nieszczęśnik, gdy tylko dotknął stopą ziemi, natychmiast okazał chęć ucieczki.

Cyrus Smith zbliżył się do niego, z powagą położył mu rękę na ramieniu i spojrzał na niego łagodnym wzrokiem. Nieszczęśnik, jak gdyby ulegając nieprzepartej sile, uspokoił się, spuścił oczy, pochylił głowę i nie stawiał już żadnego oporu.

— Biedny, opuszczony! — szepnął inżynier.

Cyrus Smith przypatrywał się uważnie rozbitkowi. Na pozór ta nieszczęśliwa istota nie miała w sobie nic ludzkiego, lecz Cyrus Smith, tak jak poprzednio reporter, odkrył w jego wzroku jakiś nieuchwytny przeblysł inteligencji.

Postanowiono więc rozbitka, a raczej nieznanego — gdyż tak go odtąd nazywali jego nowi towarzysze — umieścić w jednym z pokojów Granitowego Pałacu, skąd zresztą nie będzie mógł uciec. Dał się tam zaprowadzić bez oporu, co pozwalało mieć nadzieję, że przy troskliwych staraniach kiedyś koloniści Wyspy Lincolna zyskają w jego osobie nowego towarzysza.

Podczas śniadania, które Nab przyrządził naprędce, gdyż Pencroff, reporter i Harbert prawie umierali z głodu, Cyrus Smith dowiedział się ze szczegółami o wszystkim, co zaszło podczas wyprawy badawczej na wyspę Tabor. Całkowicie zgodził się z przyjaciółmi, że nieznanomy musiał być z pochodzenia Anglikiem lub Amerykaninem, gdyż takie przypuszczenie nasuwała nazwa statku „Britannia”. Prócz tego inżynierowi wydawało się,

że mimo zapuszczonego zarostu i zmierzwionych kudłów na głowie rozpoznaje w twarzy rozbitka charakterystyczne rysy rasy anglosaskiej.

— A wracając do rzeczy — powiedział Gedeon Spilett do Harberta — nie opowiedziałeś nam jeszcze, jak spotkałeś się z tym dzikusiem. Na razie wiemy tylko, że pewnie by cię udusił, gdyby się nam nie udało przybiec na czas z pomocą.

— Cóż, doprawdy trudno mi opowiedzieć, jak się to stało — odparł Harbert. — Byłem właśnie, jak mi się zdaje, zajęty zbieraniem roślin, gdy nagle usłyszałem jakby łoskot lawiny spadającej z wysokiego drzewa. Ledwie zdążyłem się odwrócić... Ten nieszczęśnik, który zapewne siedział ukryty na drzewie, rzucił się na mnie. Wszystko to razem nie trwało tak długo, jak tu opowiadam, i gdyby nie pan Spilett i Pencroff...

— Mój chłopcze — powiedział Cyrus Smith — byłeś naprawdę w niebezpieczeństwie, lecz gdyby nie to, może byście nie znaleźli tej biednej istoty i nie mielibyśmy jednego towarzysza więcej.

— Więc ma pan nadzieję, Cyrusie, że uda się panu znów zrobić z niego człowieka? — zapytał reporter.

— Tak — odparł inżynier.

Po śniadaniu Cyrus Smith z towarzyszami opuścili Granitowy Pałac i wrócili na wybrzeże. Tu przystąpiono do rozładowania statku. Inżynier dokładnie zbadał broń i narzędzia, ale nie znalazł niczego, co pomogłoby ustalić, kim był nieznajomy.

Schwytane na wysepce świnię uznano za bardzo cenny nabytek dla Wyspy Lincoln. Zaprowadzono je do chlewu, gdzie wkrótce się zdomowiły.

Baryłki zawierające proch i śrut, podobnie jak pudełko kapsli, zostały przywitane z radością. Postanowiono nawet założyć małą prochownię poza Pałacem Granitowym, albo też w górnej pieczarze, gdzie nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo wybuchu. Mimo to zamierzano nadal używać piroksyliny, gdyż dawała znakomite rezultaty, nie było więc powodu zastępować jej zwyczajnym prochem.

Gdy zakończono wyładowywanie statku, Pencroff odezwał się:

— Sądzę, panie Cyrusie, że powinniśmy ulokować „Bonawenturę” w bezpiecznym miejscu.

— A czy nie jest mu dobrze przy ujściu Rzeki Dziękczynienia? — zapytał Cyrus Smith.

— Nie, panie Cyrusie — odparł marynarz. — Połowę czasu siedzi na piasku, a to go osłabia. Bo, widzi pan, to dobry statek i dzielnie się trzymał podczas burzy, która nas dopadła w drodze powrotnej.

— Czy nie można by go trzymać na rzece?

— Można by, bez wątplenia, panie Cyrusie, ale ujście nie zapewnia żadnej osłony i sądzę, że podczas wiatrów wschodnich „Bonawentura” mógłby bardzo ucierpieć od fal.

— Więc gdzie pan go chce ulokować, Pencroffie?

— W Przystani Balonowej — odparł marynarz. — Ta mała przystań, ze wszystkich stron osłonięta skałami, wydaje się jakby stworzona dla niego.

— Czy to nie trochę za daleko?

— Ba, od Granitowego Pałacu nie dalej jak trzy mile, i to po dobrej, prostej drodze.

— Dobrze więc, Pencroffie, niech pan tam odprowadzi „Bonawenturę” — odparł inżynier — chociaż wolałbym go mieć bliżej pod ręką. Gdy będziemy mieli czas, musimy dla niego urządzić mały port.

— Wyśmienicie! — zawołał Pencroff. — Port z latarnią, z falochronem i suchym dokiem! Nie, doprawdy, panie Cyrusie, przy panu wszystko jest bagatelą!

— Tak jest, mój dzielny Pencroffie — odparł inżynier — lecz tylko wtedy, gdy pan mi pomaga, w każdej naszej pracy trzy czwarte części zasługi panu się należą!

Harbert z marynarzem wsiedli więc znów na „Bonawenturę”, podnieśli kotwicę, rozpięli żagiel i pędzeni wiatrem mknęli szybko ku Przylądkowi Szponu. W dwie godziny później statek spoczywał na spokojnych wodach Przystani Balonowej.

Czy nieznajomy w pierwszych dniach swojego pobytu w Granitowym Pałacu zdradzał czymkolwiek, że jego zdziwała natura złagodniała? Czy na dnie tego zamglonego umysłu błysnęło żywsze światelko? Czy wreszcie w tym ciele budziła się na nowo dusza? Tak, bez żadnej wątpliwości, i to do tego stopnia, że Cyrus Smith i reporter zadawali sobie pytanie, czy naprawdę u tego nieszczęśnika kiedykolwiek całkiem wygasł rozum.

Z początku, przyzwyczajony do ciągłego przebywania pod gołym niebem, do nieograniczonej wolności, z jakiej korzystał na wyspie Tabor, nieznajomy miał napady ponurej wściekłości, tak że obawiano się, żeby nie rzucił się na dół z okna Granitowego Pałacu. Pomału jednak uspokajał się i można mu było pozwolić swobodnie się poruszać.

Była więc nadzieja i to niemała. Już zapomniał o instynktach mięsożercy, zaczął przyjmować mniej krwiożercze jedzenie niż to, jakim się żywił na wysepce, a gotowane mięso nie budziło w nim już tego wstrętu, jaki okazywał na pokładzie „Bonawentury”.

Cyrus Smith skorzystał kiedyś z chwili, kiedy nieznajomy spał, ostrzygł mu włosy i brodę, które tworzyły razem rodzaj grzywy i nadawały mu tak dziki wygląd. Zdjął z niego także szmatę, którą się opasywał, i ubrał go bardziej odpowiednio. Dzięki tym staraniom nieznajomy odzyskał ludzki wygląd i zdawało się nawet, że jego spojrzenie złagodniało. Z pewnością twarz tego człowieka, gdy ożywał ją promień inteligencji, musiała być nawet urodziwa.

Cyrus Smith wziął na siebie obowiązek spędzania codziennie kilku godzin w jego towarzystwie. Pracował przy nim i zajmował się różnymi rzeczami w ten sposób, aby zwrócić jego uwagę. Mógł wystarczyć jeden błysk, aby rozpalić na nowo tę duszę, jedno wspomnienie, aby wskrzesić rozum w tym mózgu. Przecież widzieli to podczas burzy na pokładzie „Bonawentury”.

Prócz tego inżynier zwykł mówić przy nim głośno, tak by jednocześnie za pomocą słuchu i wzroku przeniknąć w głąb uśpionej inteligencji rozbitka. Dołączali do niego to jeden, to drugi towarzysz, a czasem wszyscy razem. Najczęściej rozmawiali o rzeczach dotyczących żeglarstwa, które musiały obchodzić marynarza bardziej niż inne. Chwilami zdawało się, że nieznajomy jakby zwraca uwagę na to, co mówiono, i wkrótce koloniści nabrali przekonania, że ich częściowo rozumie. Czasami jego twarz przybierała niezmiernie bolesny wyraz, co świadczyło o wewnętrznym cierpieniu, gdyż twarz nie mogła kłamać do tego stopnia; mimo to ciągle milczał, chociaż kilka razy zdawało się, że za chwilę wymknie mu się kilka słów.

Tak czy inaczej, biedna istota była spokojna i smutna. Ale czy ten spokój nie był tylko pozorny? Czy smutek nie był tylko skutkiem niewoli? Na to nie można było jeszcze odpowiedzieć. Ponieważ widział zawsze te same przedmioty, i to w ograniczonym zasięgu, ponieważ pozostawał w ciągłej styczności z kolonistami, do których musiał się w końcu przyzwyczaić, nie miał żadnych potrzeb do zaspokojenia, był lepiej odżywiony, lepiej ubrany, więc naturalnie pod względem fizycznym musiał się powoli zmienić. Ale czy to był ogień nowego życia, który go przenikał, czy też, używając słowa, które niego szczególnie dawało się zastosować, oswoił się tylko, jak bywa ze zwierzęciem w stosunku do jego pana? Była to kwestia nadzwyczaj ważna i Cyrusowi Smithowi pilno było ją rozstrzygnąć, lecz nie chciał naciskać na chorego. Dla niego nieznajomy był tylko chory. Czy ten chory kiedyś wyzdrowieje?

Inżynier obserwował go przez cały czas. Jakże czatował na tę duszę, jeśli się można tak powiedzieć! Jakże każdej chwili był gotów, żeby ją pochwycić!

Koloniści ze szczerym współczuciem śledzili wszystkie fazy leczenia podjętego przez Cyrusa Smitha. Pomagali mu w tej humanitarnej pracy i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem może niedowierzającego Pencroffa, podzielali jego nadzieję i wiarę.

Nieznajomy, jak powiedzieliśmy, był zupełnie spokojny i okazywał rodzaj przywiązania do inżyniera, wyraźnie ulegając jego wpływowi. Cyrus Smith postanowił zatem przeprowadzić doświadczenie i przenieść go do innego środowiska, na brzeg oceanu, w który jego oczy dawniej tak długo się wpatrywały, i na skraj lasu, który miał mu przypomnieć lasy, w których spędził tyle lat swojego życia.

— Ale czy możemy być pewni — powiedział Gedeon Spilett — że gdy go uwolnimy, nie ucieknie?

— Na tym polega ta próba — odparł inżynier.

— Niech będzie! — powiedział Pencroff. — Gdy tylko zobaczy tylko przed sobą otwartą przestrzeń i poczuje wolność, drapnie, że aż się za nim zakurzy!

— Nie sądzę — odparł Cyrus Smith.

— Spróbujmy więc — powiedział Gedeon Spilett.

— Spróbujmy — odparł inżynier.

Tego dnia, a było to 30 października, upłynęło właśnie dziesięć dni, odkąd rozbiitek z wyspy Tabor został zamknięty w Granitowym Pałacu. Na dworze był upał i słońce rzucało na ziemię jaskrawe promienie.

Cyrus Smith z Pencroffem udali się do pokoju nieznanego i zastali go leżącego przy oknie i wpatzonego w niebo.

— Chodź, przyjacielu — powiedział do niego inżynier.

Nieznanomy wstał natychmiast. Wpatrzył się w Cyrusa Smitha, po czym poszedł za nim, podczas gdy marynarz, który niewiele sobie obiecywał po tej całej próbie, szedł krok w krok za nieznanym.

Gdy doszli do drzwi, Cyrus Smith i Pencroff ulokowali nieznanego w windzie, podczas gdy Nab, Harbert i Gedeon Spilett czekali na nich u stóp Granitowego Pałacu. Kosz zjechał na dół i po kilku chwilach wszyscy razem znaleźli się nad brzegiem morza.

Koloniści oddalili się nieco od nieznanego, aby pozostawić mu więcej swobody.

Nieznanomy zrobił kilka kroków w stronę morza i oczy jego zajaśniały niezwykle żywym ożywieniem, ale wcale nie próbował ucieczki. Patrzył na fale morskie, które załamując się o wysepkę, zamierały powoli na piasku.

— To tylko morze — zauważył Gedeon Spilett. — Możliwe, że nie wzbudza w nim chęci ucieczki.

— Tak jest — odparł Cyrus Smith. — Trzeba go zaprowadzić na płaskowyż, na skraj lasu. Tam doświadczenie będzie bardziej przekonujące.

— Zresztą i tak nie będzie mógł uciec — zauważył Nab — bo mosty są podniesione.

— Och! Miałby się przejmować takim strumyczkiem szerokości Glicerynowego Potoku? — zawołał Pencroff. — Jednym susem by go przeskoczył!

— Zobaczmy — odparł Cyrus Smith, który nie spuszczał oka ze swojego pacjenta.

Zaprowadzono nieznanego do ujścia Rzeki Dziękczynienia i stąd, idąc lewym brzegiem rzeki, wszyscy weszli na Płaskowyż Pięknego Widoku.

Gdy doszli do miejsca, gdzie się rosły pierwsze wspaniałe drzewa, których liście z lekka kołysał wietrzyk, nieznanomy jakby w upojeniu wdychał nasycone przenikliwym zapachem powietrze, a z jego piersi wydarło się głębokie westchnienie.

Koloniści stali z tyłu, gotowi zatrzymać go przy pierwszym ruchu zdradzającym chęć ucieczki.

Istotnie, biedak miał już zamiar rzucić się do potoku oddzielającego ich od lasu, spiął mięśnie nóg jak sprężynę.... Ale prawie natychmiast cofnął się, skurczył się w sobie, a z jego oczu potoczyły się wielkie łzy!

— Ach! — zawołał Cyrus Smith. — Płaczesz, więc jesteś znów człowiekiem!

ROZDZIAŁ XVI

Tajemnica do wyjaśnienia. — Pierwsze słowa nieznanego. — Dwanaście lat na wysepce. — Urywane wyznania. — Zniknięcie. — Zaufanie Cyrusa Smitha. — Budowa młyna. — Pierwszy bochenek chleba. — Akt poświęcenia. — Uczciwe ręce.

Tak, nieszczęsny płakał! Zapewne jakieś wspomnienie przemknęło przez jego umysł i, według słów Cyrusa Smitha, łzy przemieniły go na nowo w człowieka.

Koloniści pozostawili go przez pewien czas samego na płaskowyżu, oddalili się nawet nieco, żeby poczuł zupełnie wolny; ponieważ jednak wcale nie zamierzał skorzystać z wolności, Cyrus Smith uznał wkrótce za właściwe, by odprowadzić go z powrotem do Granitowego Pałacu.

Dwa dni po tym zdarzeniu nieznanomy zaczął jakby przejawiać chęć brania udziału we wspólnym życiu. Oczywiście było, że słyszał, że rozumiał wszystko, lecz niemniej oczywiście też to, że z dziwnym uporem wstrzymywał się od wszelkiej rozmowy z kolonistami; pewnego bowiem wieczoru Pencroff, przyłożywszy ucho do drzwi jego pokoju, usłyszał, jak mówił sam do siebie:

— Nie! Ja! Tutaj! Przenigdy!

Marynarz powtórzył te słowa towarzyszom.

— Jest w tym jakaś bolesna tajemnica — powiedział Cyrus Smith.

Nieznamy zaczął używać narzędzi rolniczych, pracował także w ogrodzie. Nieraz się zdarzało, że przerywając robotę, stał jakby skupiony na sobie i zatopiony w myślach. Koloniści za radą inżyniera szanowali samotność, której nieznamy zdawał się pragnąć. Gdy któryś z nich zbliżał się do niego, usuwał się na bok i bolesne łkanie wydobywało się z jego piersi, jakby przepelnionej cierpieniem.

Czyżby dręczyły go wyrzuty sumienia? Takie przypuszczenie samo się nasuwało i pewnego dnia Gedeon Spilett, nie mogąc się powstrzymać, powiedział:

— Wydaje mi się, że jeśli do nas nie mówi, to dlatego, że miałby zbyt poważne rzeczy do powiedzenia.

Nie pozostawało nic innego jak cierpliwie czekać.

W kilka dni później, 3 listopada, nieznamy, pracując na płaskowyżu, zatrzymał się nagle, wypuścił z rąk rydel, a Cyrus Smith, który obserwował go z pewnej odległości, zobaczył ponownie łzy w jego oczach. Zdjęty nieodpartą litością podszedł do niego, dotknął lekko jego ramienia i powiedział:

— Przyjacielu!

Nieznamy usiłował uniknąć wzroku inżyniera, a gdy Cyrus Smith chciał go wziąć za rękę, odskoczył gwałtownie.

— Przyjacielu — powiedział stanowczym głosem Cyrus Smith — proszę popatrzeć mi w oczy, życzę sobie tego!

Nieznamy podniósł wzrok na inżyniera i zdawał się pozostawać pod jego wpływem, jak zahipnotyzowany znajdujący się w mocy magnetyzera¹³³. Chciał uciekać. Ale nagle jego twarz dziwnie się zmieniła. Oczy zapłonęły. Na usta cisnęły się słowa. Nie mógł się dłużej powstrzymać!... Wreszcie skrzyżował ręce na piersiach i przytłumionym głosem zapytał Cyrusa Smitha:

— Kim jesteście?

— Rozbitkami tak jak pan — odparł inżynier, głęboko wzruszony. — Sprowadziliśmy pana tutaj, żeby znalazł się pan wśród swoich bliźnich.

— Moich bliźnich!... Nie mam żadnych bliźnich!

— Znajduje się pan wśród przyjaciół!...

— Przyjaciół!... Moich przyjaciół! — zawołał nieznamy, kryjąc twarz w dłoniach.

— Nie... Przenigdy... Puśćcie mnie! Puśćcie!

Po czym uciekł w stronę morza i stał tam długo nieruchomy.

Cyrus Smith udał się do swoich towarzyszy i opowiedział im, co się stało.

— Tak, jest jakaś tajemnica w życiu tego człowieka — powiedział Gedeon Spilett. — Zdaje się, że powrócił do człowieczeństwa tylko dzięki wyrzutom sumienia...

— Doprawdy nie wiem, co za człowieka tu sprowadziliśmy — powiedział marynarz. — Ma jakieś tajemnice...

— Które będziemy musieli uszanować — przerwał mu żywo Cyrus Smith. — Jeśli popełnił jakiś błąd, to ciężko go odpokutował i w naszych oczach jest rozgrzeszony.

Przez dwie godziny nieznamy pozostawał samotnie nad brzegiem morza, najwyraźniej pod wpływem wspomnień, które przywoływały mu na myśl całą jego przeszłość — przeszłość bez wątpienia fatalną — koloniści zaś, nie spuszczać go z oczu, nie zakłócali mu tej samotności.

Po dwu godzinach widocznie podjął jakąś decyzję i podszedł do Cyrusa Smitha. Oczy miał zaczerwienione od przelanych łez, ale już nie płakał. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej pokory. Sprawiał wrażenie wylęknionego, zawstydzonego i uniżonego, a oczy miał cały czas spuszczone ku ziemi.

— Panie — powiedział do Cyrusa Smitha — czy pan i pańscy towarzysze jesteście Anglikami?

— Nie — odparł inżynier — jesteśmy Amerykanami.

— Ach, to lepiej! — szepnął nieznamy.

— A pan, przyjacielu? — zapytał inżynier.

— Jestem Anglikiem — odparł pośpiesznie.

¹³³magnetyzer a. hipnotyzer — człowiek potrafiący oddziaływać na przedmioty i innych ludzi siłą swojego umysłu. [przypis edytorski]

I jakby tych kilka słów sprawiło mu wielką trudność, wrócił na wybrzeże i w najwyższym wzburzeniu chodził wzdłuż brzegu od wodospadu aż do ujścia Rzeki Dziękczynienia.

W pewnym momencie, przechodząc obok Harberta, zatrzymał się i zapytał przytłumionym głosem:

— Który to miesiąc?

— Listopad — odparł Harbert.

— A rok?

— Tysiąc osiemset sześćdziesiąty szósty.

— Dwanaście lat! Dwanaście lat! — zawołał.

Po czym oddalił się pospiesznie.

Harbert powtórzył towarzyszom swoją rozmowę z nieznanym.

— Ten nieszczęsny stracił rachubę miesięcy i lat — zauważył Gedeon Spilett.

— Tak, w chwili kiedyśmy go znaleźli na wysepce, przebywał tam już dwanaście lat — dodał Harbert.

— Dwanaście lat! — powiedział Cyrus Smith. — Ach, dwunastoletnia samotność, po życiu być może zbrodniczym, łatwo może człowiekowi pomieszać zmysły.

— Mnie się zdaje — odezwał się Pencroff — że ten człowiek trafił na wyspę Tabor wcale nie wskutek katastrofy statku, ale że został tam osadzony za jakąś zbrodnię...

— Być może ma pan rację, Pencroffie — odparł reporter. — Jeśli tak było, wtedy ci co, go zostawili na wyspie, mogą pewnego dnia po niego powrócić.

— I nie znajdą go — powiedział Harbert.

— W takim razie — ciągnął dalej Pencroff — wypadaloby tam powrócić i...

— Przyjaciele — powiedział Cyrus Smith — nie zajmujmy się tą kwestią, dopóki nie będziemy wiedzieli, czego się mamy trzymać. Sądzę, że ten nieszczęśnik wiele wycierpiał, że ciężko odpokutował swe winy, jakiegokolwiek one były, i że chęć zwierzania się z nich pali mu piersi. Nie naciskajmy na niego, by nam opowiedział swoją historię. Sam bez wątpienia to zrobi, a kiedy ją poznamy, zdecydujemy, co robić dalej. Zresztą tylko on sam może nam powiedzieć, czy ma coś więcej niż nadzieję, czy ma pewność, że kiedyś będzie mógł powrócić do ojczyzny, w co zresztą wątpię.

— Dlaczego? — zapytał reporter.

— Dlatego, bo gdyby był pewny, że po jakimś określonym czasie odzyska wolność, oczekiwałby chwili oswobodzenia i nie wrzuciłby do morza tego dokumentu. Nie, bardziej prawdopodobne jest raczej, że został skazany na dożywotnie wygnanie na wysepce i że miał już nigdy nie ujrzeć swoich bliźnich.

— Jednak jest w tym coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć — zauważył marynarz.

— Co takiego?

— Jeżeli ten człowiek od dwunastu lat znajdował się na wyspie Tabor, to można śmiało przypuścić, że w stanie zdziczenia, w jakim go znaleźliśmy, pozostawał już od kilku lat.

— Całkiem możliwe — odparł Cyrus Smith.

— A w takim razie musiałby ten dokument napisać kilka lat temu.

— Niewątpliwie... A przecież dokument wygląda, jakby został napisany niedawno.

— Zresztą, czy można przypuszczać, że butelka zawierająca dokument płynęła kilka lat z wyspy Tabor do Wyspy Lincolna?

— Zupełnie niemożliwe to nie jest — odparł reporter. — Czy nie mogła od dawna krążyć w pobliżu wyspy?

— Nie — odparł Pencroff — bo nadal pływała po morzu. Nie można nawet przypuszczać, aby po tym, jak przez pewien czas leżała na brzegu, mogła zostać powtórnie uniesiona przez morze, gdyż całe południowe wybrzeże jest najeżone skałami, o które na pewno by się roztrzaskała.

— Tak, rzeczywiście — odparł Cyrus Smith pogrążony w zamyśleniu.

— Poza tym — dodał marynarz — gdyby dokument został napisany kilka lat temu, gdyby już od kilku lat był zamknięty w butelce, to zbutwiały od wilgoci. A przecież nie był zbutwiały, wręcz przeciwnie, papier był w zupełnie dobrym stanie.

Uwagi marynarza były zupełnie słuszne. Było w tym coś niezrozumiałego, gdyż dokument, w chwili gdy koloniści znaleźli go w butelce, sprawiał wrażenie pisanego niedawno.

Co więcej, określał położenie wyspy Tabor, jej długość i szerokość geograficzną, z dokładnością świadcząca o gruntownej wiedzy hydrograficznej¹³⁴ autora, której nie mógł mieć zwykły marynarz.

— Jest w tym, powtarzam raz jeszcze, coś niewytłumaczalnego — powiedział inżynier — ale nie prowokujmy naszego nowego towarzysza do zwierzeń. Gdy sam zechce, będziemy gotowi go wysłuchać.

Przez kilka następnych dni nieznajomy nie odezwał się ani słowem i ani razu nie wyszedł poza obręb płaskowyżu. Pracował na roli bez chwili wytchnienia, lecz zawsze sam, na uboczu. W porze posiłków nie wracał do Granitowego Pałacu, pomimo że kilkakrotnie go zapraszano, i zadawał się surowymi warzywami. Na noc również nie szedł do przeznaczanego mu pokoju, lecz sypiał na zewnątrz pod kępą drzew lub podczas niepogody wciskał się w jakieś wydrążenie w skale. Żył więc całkiem tak samo, jak na wyspie Tabor, gdy jego jedynym schronieniem były lasy, a ponieważ wszelkie nalegania, aby zmienić tryb życia, były daremne, koloniści czekali cierpliwie. Wreszcie nadeszła chwila, gdy pod nieodpartymi wyrzutami sumienia, prawie wbrew jego woli, wydarło mu się z ust straszne wyznanie.

10 listopada około ósmej wieczorem, gdy zaczął już zapadać zmrok, nieznajomy zjawił się nagle wśród kolonistów zgromadzonych na werandzie. Jego wzrok pałał dziwnym ogniem, a cała postać znowu nabrała dzikiego wyglądu z dawnych złych czasów.

Cyrus Smith i jego towarzysze stali jak wryci, widząc, jak pod wpływem strasznego wzburzenia dzwonił zębami jak w febrze. Co mu się stało? Czy widok bliźnich był dla niego tak nieznośny? Czy mu już obrzydło życie pomiędzy uczciwymi ludźmi? Czy ogarnęła go tęsknota za dawnym życiem zwierzęcia? Można było tak sądzić, słysząc z jego ust urywane, bezładne słowa:

— Czemu ja tu jestem?... Jakim prawem porwaliście mnie z mojej wysepki?... Czy może istnieje jakaś więź między mną a wami?... Czy wiecie, kim jestem... co zrobiłem... dlaczego byłem tam... sam jeden? A kto wam powiedział, że mnie tam nie porzucono umyślnie... że nie byłem skazany na to, aby tam zginąć?... Czy znacie moją przeszłość?... Skąd wiecie, czy nie kradłem, nie mordowałem... czy nie jestem nędznikiem... istotą przeklętą na wieki... zasługującą tylko na to, żeby żyć jak dzikie zwierzęta... z dala od wszystkich... powiedzcie... Skąd wiecie?...

Kolonisci słuchali, nie przerywając nieszczęśnikowi, któremu te bezładne słowa wrywały się z ust jakby wbrew jego woli. Cyrus Smith chciał go uspokoić i podszedł do niego, ale ten cofnął się gwałtownie i zawołał:

— Nie, nie! Jedno słowo tylko... Czy jestem wolny?

— Jesteś wolny — odparł inżynier.

— Więc żegnajcie! — zawołał i wybiegł jak szalony.

Nab, Pencroff i Harbert pobiegli natychmiast na skraj lasu... lecz powrócili sami.

— Trzeba mu pozwolić robić, co chce! — powiedział Cyrus Smith.

— On już nigdy nie wróci... — stwierdził Pencroff.

— Wróci — odparł inżynier.

Od tego czasu minęło wiele dni, lecz Cyrus Smith, wiedziony jakimś przeczuciem, trwał niezachwianie w przekonaniu, że nieszczęśnik prędzej czy później powróci.

— To był ostatni bunt tej nieokrzesej natury, którą poruszyły wyrzuty sumienia. Ponowna samotność przejęłaby go przerażeniem — mówił inżynier.

Tymczasem rozmaitego rodzaju prace toczyły się dawnym trybem, zarówno na Płaskowyżu Pięknego Widoku, jak i w zagrodzie, gdzie Cyrus Smith zamierzał zbudować farmę. Nie trzeba dodawać, że nasiona zebrane przez Harberta na wyspie Tabor zostały troskliwie zasiane. Na płaskowyż powstał już obszerny ogród warzywny, dobrze rozplanowany i porządnie utrzymywany, który nie pozostawiał kolonistom wiele czasu na bezczynność. Zawsze było tam coś do zrobienia. W miarę jak wzrastała ilość roślin warzywnych, trzeba było powiększać początkowo małe grządki, które kosztem łąki zmieniały się w prawdziwe pola uprawne. Ale trawy nie brakowało także w innych częściach wyspy i onagry nie potrzebowały się obawiać, aby ograniczono im paszę do skąpych porcji.

¹³⁴hydrografia — dział geografii fizycznej zajmujący się opisywaniem stosunków wodnych na Ziemi, w szczególności sporządzaniem map morskich oraz zbieraniem danych geograficznych przydatnych w nawigacji. [przypis edytorski]

Zresztą lepiej było przekształcić Płaskowyż Pięknego Widoku w ogród warzywny, chroniony dokoła pasmem głębokich strumieni, a pastwisko przenieść poza jego obręb, ponieważ nie potrzebowało ochrony przed spustoszeniem przez czwororękie i czworonogie zwierzęta.

15 listopada zebrano trzeci plon. Powierzchnia pola znacznie się powiększyła od chwili, gdy osiemnaście miesięcy wcześniej zasadzono pierwsze ziarno. Drugi zbiór, liczący sześćset tysięcy ziaren, dał tym razem cztery tysiące buszli zboża, czyli ponad pięćset milionów ziaren. Kolonia była bogata w zboże, gdyż wystarczyło zasiał jakieś dziesięć buszli, aby zapewnić coroczne plony i aby wszyscy, ludzie i bydło, mieli się czym wyżywić.

Ukończono więc żniwa i drugą połowę listopada poświęcono pracom potrzebnym do uzyskania chleba.

Rzeczywiście, koloniści mieli ziarno, ale nie mieli jeszcze mąki, toteż trzeba było koniecznie zbudować młyn. Cyrus Smith mógłby jako siły napędowej użyć drugiego wodospadu na Rzece Dziękczynienia, pierwszy bowiem napędzał już folusz, jednak po krótkiej naradzie stanęło na tym, aby na Płaskowyżu Pięknego Widoku postawić zwyczajny wiatrak. Zbudowanie go nie było trudniejsze od zbudowania młyna wodnego, a można było mieć pewność, że na płaskowyżu, wystawionym na wiatr od morza, nigdy nie zabraknie wiatru.

— Nie wspominając już o tym — dodał Pencroff — że wiatrak jest weselszy i ożywi krajobraz!

Przystąpiono więc zaraz do dzieła i wybrano odpowiednie drewno na szkielet i mechanizm młyna. Duże bloki piaskowca, znalezione na północ od jeziora, można było z łatwością przemienić w kamienie młyńskie, a jeśli chodzi o skrzydła, to potrzebnego na nie płótna dostarczyła niewyczerpana powłoka balonu.

Cyrus Smith sporządził plan, po czym wybrano miejsce na wiatrak, trochę na prawo od ptaszarni, blisko brzegu jeziora. Klatka wiatraka miała spoczywać na osi podtrzymywanej grubymi belkami, tak by mogła się obracać razem z wewnętrznym mechanizmem odpowiednio do kierunku wiatru.

Pracę wykonano szybko. Nab i Pencroff stali się bardzo zręcznymi cieślami i wystarczyło, że robili wszystko według szkiców wykonanych przez inżyniera. Toteż wkrótce w wyznaczonym miejscu stanęła walcowata budka, jakby pieprzniczka, nakryta szpiczastym dachem. Cztery ramy tworzące szkielety skrzydeł mocno osadzono w głównym wale pod odpowiednim kątem, a następnie przytwierdzono za pomocą żelaznych klamer. Bez trudu sporządzono rozmaite części mechanizmu wewnętrznego: skrzynię mieszczącą oba kamienie młyńskie, kamień nieruchomy i kamień obrotowy, kosz młyński w kształcie dużej, kwadratowej rynny, szerokiej u góry, wąskiej u dołu, którą zboże miało się sypać między kamienie, następnie korytko wahadłowe przeznaczone do regulowania zsypania ziarna, z powodu nieustannego klekotu nazywane „gadulą”, i wreszcie pytel¹³⁵, który odsiewa otręby od mąki. Narzędzia mieli dobre, a praca nie była trudna, gdyż, ogólnie rzecz biorąc, części składowe wiatraka są bardzo proste. Była to tylko kwestia czasu.

Wszyscy członkowie kolonii pracowali nad budową młyna i 1 grudnia był gotowy.

Pencroff jak zwykle zachwycał się swym dziełem i nie wątpił, że wiatrak jest doskonały.

— A teraz — powiedział — obyśmy mieli tylko dobry wiatr, a zmielemy ślicznie nasz pierwszy plon!

— Dobry wiatr, owszem — odparł inżynier — byle tylko nie za dużo wiatru, Pencroffie.

— Ba, to wiatrak będzie się szybciej obracać!

— Nie musi się zbyt szybko obracać — odparł Cyrus Smith. — Wiemy z doświadczenia, że wiatrak wtedy miele najlepiej, gdy liczba obrotów skrzydeł w ciągu minuty wynosi sześć razy tyle co prędkość wiatru wyrażona w liczbie stóp na sekundę. Przy średnim wietrze o prędkości dwudziestu czterech stóp na sekundę skrzydła wiatraka wykonają szesnaście obrotów na minutę, a więcej nie trzeba.

— W samą porę! — zawołał Harbert. — Właśnie wieje piękny wiaterek z północnego wschodu, który nam odpowiada!

¹³⁵pytel — drobne sito, przez które w młynie odsiewano mąkę od otrąb. [przypis edytorski]

Nie było powodu odkładać na później inauguracji młyna, gdyż kolonistom pilno było skosztować pierwszego kawałka chleba na Wyspie Lincoln. Jeszcze tego samego dnia rano zmielili dwa czy trzy buszle zboża i nazajutrz na śniadanie pojawił się na stole w Granitowym Pałacu wspaniały bochen chleba, może trochę zanadto ciężki i zbity, pomimo że został rozczyony na drożdżach piwnych. Wszyscy jedli z wielkim apetytem i z jaką przyjemnością, to łatwo sobie wyobrazić.

Tymczasem nieznajomy nie wracał. Kilkakrotnie Gedeon Spilett z Harbertem kilka razy przemierzali las w pobliżu Granitowego Pałacu, lecz nigdzie nie napotkali ani jego samego, ani jego śladów. Ta przedłużająca się nieobecność poważnie ich niepokoiła. Zapewne dziki mieszkaniec wyspy Tabor nie potrzebował się troszczyć o pożywienie w pełnym zwierzyny Lesie Dalekiego Zachodu, ale czy nie należało się obawiać, że powróci do dawnych obyczajów i że to wolne, koczownicze życie wzbudzi w nim na nowo zwierzęce instynkty? Mimo to Cyrus Smith, wiedziony zapewne jakimś wewnętrznym przecuciem, obstawał przy twierdzeniu, że uciekinier powróci.

— Tak, on wróci! — powtarzał z ufnością, której jego towarzysze nie potrafili podzielać. — Gdy ten nieszczęśnik był na wyspie Tabor, wiedział, że jest sam. Tutaj wie, że oczekują na niego bliźni. Ponieważ opowiedział nam już część historii swego dawnego życia, biedny pokutnik powróci, by nam ją opowiedzieć w całości, i od tego dnia będzie do nas należał!

Wydarzenia dowiodły, że Cyrus Smith miał słuszność.

3 grudnia Harbert opuścił Płaskowyż Pięknego Widoku i poszedł łowić na ryby południowym brzegu jeziora. Nie wziął ze sobą broni i dotychczas nie widział nigdy potrzeby takich środków ostrożności, gdyż drapieżne zwierzęta nie pojawiały się w tej części wyspy.

Pencroff z Nabem krzatali się właśnie w ptaszarni, a Cyrus Smith z reporterem zajęci byli w Kominach produkcją sody, ponieważ zapas mydła już się wyczerpał.

Nagle odezwał się krzyk:

— Na pomoc! Ratunku!

Cyrus Smith i reporter znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć te wołania. Pencroff z Nabem wybiegli czym prędzej z ptaszarni i popędzili w stronę jeziora.

Ale uprzedził ich nieznajomy, którego nikt się w tym miejscu nie spodziewał. Przeskoczył Glicerynowy Potok, oddzielający płaskowyż od lasu, i pobiegł na przeciwległy brzeg.

Tam Harbert znalazł się oko w oko z olbrzymim jaguarem podobnym do tego, który został zabity na Jaszczurzym Cyplu. Zaskoczony młodzieniec przycisnął się plecami do drzewa, podczas gdy zwierzę, przysiadłszy na ziemi, już gotowało się do skoku... Lecz w tej chwili nieznajomy, nie mając innej broni prócz noża, rzucił się na drapieżnika, który zwrócił się przeciwko nowemu przeciwnikowi.

Walka trwała krótko. Nieznajomy posiadał niezwykłą siłę i zręczność. Mocną jak kleszcze ręką schwycił jaguara za gardło i nie troszcząc się wcale o to, że zwierzę zatapiał mu w ciału pazury, pchnął go nożem w samo serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i już chciał uciekać, gdy koloniści przybyli na pole walki, lecz Harbert, tuląc się do niego, zawołał:

— Nie! Nie! Pan tak nie odejdzie!

Cyrus Smith zbliżył się do nieznajomego, który zmarszczył brwi na jego widok. Krew ciekła mu z ramienia pod rozdartym ubraniem, ale nie zwracał na to uwagi.

— Przyjacielu — powiedział doń Cyrus Smith — zaciągnęliśmy wobec pana dług wdzięczności. Żeby ocalić życie naszego dziecka naraził pan swoje własne!

— Moje życie! — szepnął nieznajomy. — Co ono warte? Mniej niż nic!

— Jest pan ranny?

— To nieważne.

— Czy zechce pan mi podać swoją dłoń?

I w chwili gdy Harbert chciał uchwycić dłoń, która go ocaliła, nieznajomy skrzyżował obie ręce, pierś uniosła się w westchnieniu, wzrok zaszedł mgłą i zdawało się, że chce uciekać. Przewyciężywszy się z trudem, zapytał szorstkim tonem:

— Kim jesteście? Kim chcecie być dla mnie?

W ten sposób po raz pierwszy zapytywał kolonistów o ich dzieje. Wydawało się prawdopodobne, że kiedy je usłyszy, opowie swoje własne.

Cyrus Smith w kilku słowach opowiedział koleje ich losu od chwili, gdy opuścili Richmond, jak udało im się przetrwać i jakimi środkami rozporządzali obecnie.

Nieznajomy słuchał z wyteżoną uwagą.

Następnie inżynier przedstawił mu wszystkich po kolei: Gedeona Spiletta, Harberta, Pencroffa, Naba i siebie, i dodał, że największą radość, jakiej doznali od przybycia na Wyspę Lincoln, sprawiło im to, że po powrocie z wysepki zyskali jeszcze jednego towarzysza.

Na te słowa nieznajomy zarumienił się, opuścił głowę na piersi, a z całej jego postaci przebijało zawstydylenie.

— A teraz, skoro już pan nas zna, czy zechce pan podać nam rękę? — zapytał Cyrus Smith.

— Nie — odparł nieznajomy przytłumionym głosem. — Nie! Wy, wy jesteście uczciwymi ludźmi! A ja!...

ROZDZIAŁ XVII

Zawsze na uboczu. — Prośba nieznajomego. — Farma w zagrodzie. — Dwanaście lat temu! — Bosman z „Britannii”. — Porzucony na wyspie Tabor. — Ręka Cyrusa Smitha. — Tajemniczy dokument.

Te ostatnie słowa nieznajomego potwierdziły przecucia kolonistów. Przeszłość nie-szczęsnika musiała ukrywać jakąś zbrodnię, odpokutowaną może w oczach ludzkich, lecz z której jeszcze nie było rozgrzeszyło go własne sumienie. W każdym razie winowajca czuł wyrzuty sumienia i żal, ale nie czuł się godny podania ręki uczciwym ludziom, którzy go o to prosili i którzy by ją serdecznie uściśli. Mimo to po zdarzeniu z jaguarem nie powrócił już do lasu i od tego dnia pozostawał w pobliżu Granitowego Pałacu.

Jakaż to tajemnica kryła się w jego życiu? Czy ją kiedyś wyjawia? Przyszłość to miała pokazać. W każdym razie postanowiono nigdy go o nią nie wypytywać i zachowywać się wobec niego tak, jak gdyby go o nic nie podejrzewano.

Przez kilka dni życie kolonistów toczyło się dawnym trybem. Cyrus Smith z Gedeonem Spillettem pracowali razem bądź jako chemicy, bądź jako fizycy. Reporter opuszczał inżyniera tylko wtedy, gdy szedł na polowanie z Harbertem, gdyż rozsądek nakazywał nie puszcząć już więcej chłopca samego do lasu i zachowywać ostrożność. Nabowi i Pencroffowi również nie brakowało zajęcia, czy to w zagrodzie, czy to w ptaszarni przy ptactwie, nie licząc już Granitowego Pałacu.

Nieznajomy pracował ciągle na uboczu i powrócił do swoich dawnych zwyczajów: nie brał udziału we wspólnym posiłku, sypiał pod drzewami na płaskowyżu, nie przyłączał się nigdy do ich. Doprawdy zdawało się, że obcowanie z tymi, którzy go ocalili, było dla niego nie do zniesienia.

— Ale w takim razie — zauważał Pencroff — dlaczego zwrócił się o pomoc do swoich bliźnich? Dlaczego wrzucił do morza ten dokument?

— On sam nam to powie — odpowiadał zawsze Cyrus Smith.

— Kiedy?

— Może prędzej niż się pan spodziewa, Pencroffie.

Rzeczywiście, chwila wyznania była już bliska.

10 grudnia, w tydzień po powrocie do Granitowego Pałacu, nieznajomy stanął nagle przed Cyrusem i powiedział do niego łagodnym i pokornym głosem:

— Panie, miałbym do pana prośbę.

— Słucham — odparł inżynier — ale pozwól pan, że wcześniej coś panu powiem.

Na te słowa nieznajomy splonął rumieńcem i już chciał odejść. Cyrus Smith zrozumiał, co się działo w duszy winowajcy, który obawiał się zapewne, żeby inżynier nie wypytywał go o jego przeszłość.

Cyrus Smith powstrzymał go ręką.

— Jesteśmy nie tylko pańskimi towarzyszami — powiedział do niego — ale i przyjaciółmi. To chciałem panu powiedzieć, a teraz słucham.

Nieznajomy przetarł dłonią oczy. Opanowało go jakies drżenie i stał tak kilka chwil, nie mogąc wymówić słowa. Wreszcie powiedział:

— Panie, chcę prosić pana o jedną łaskę.

— Jaką?

— Cztery czy pięć mil stąd, u podnóża góry, macie panowie zagrodę przeznaczoną dla zwierząt domowych. Zwierzęta te potrzebują starania i opieki. Czy pozwoli mi pan mieszkać tam razem z nimi?

Przez kilka chwil Cyrus Smith przyglądał się nieznajomemu z wyrazem najgłębszego współczucia, potem powiedział:

— Przyjacielu, w zagrodzie są tylko szopy, nadające się zaledwie dla zwierząt...

— Będą wystarczająco dobre dla mnie.

— Przyjacielu — ciągnął dalej Cyrus Smith — nie będziemy się panu nigdy w niczym sprzeciwiali. Chce pan mieszkać w zagrodzie, dobrze. Zresztą będzie pan zawsze mile widziany w Granitowym Pałacu. Ale ponieważ chce pan mieszkać w zagrodzie, więc zapewnimy tam panu odpowiednie warunki.

— Niepotrzebnie, i tak będzie mi tam dobrze.

— Przyjacielu — odparł Cyrus Smith, specjalnie kładąc nacisk na ten serdeczny zwrot — proszę nam pozostawić ocenę, co powinniśmy zrobić w tej sprawie.

— Dziękuję panu — odpowiedział nieznajomy i odszedł.

Inżynier natychmiast powiadomił towarzyszy o propozycji nieznajomego i postanowiono wybudować na terenie zagrody drewniany domek, tak wygodny, jak to tylko będzie możliwe.

Jeszcze tego samego dnia koloniści udali się do zagrody z niezbędnymi narzędziami i nie minął tydzień, jak stanął tam domek gotowy na przyjęcie gospodarza. Postawiono go w odległości dwudziestu stóp od szop, tak żeby łatwo było stamtąd czuwać nad stadem mufflonów, liczącym już wówczas przeszło osiemdziesiąt sztuk. Sporządzono kilka mebli: łóżko, stół, ławę, szafę i kufel, i przyniesiono do zagrody broń, amunicję i narzędzia.

Nieznajomy nie przyszedł ani razu zobaczyć swojego nowego mieszkania i nie mieszal się do tego, co robili koloniści, sam zaś w tym czasie zajęty był na płaskowyżu, gdzie chciał najwyraźniej ukończyć swą pracę. Istotnie, dzięki niemu całe pole było uprawione i gotowe pod zasiewy, gdy tylko nadejdzie odpowiedni czas.

20 grudnia ukończono przygotowania w zagrodzie. Inżynier zawiadomił nieznajomego, że mieszkanie czeka na jego przyjęcie, a ten odparł, że jeszcze tego samego dnia pójdzie tam nocować.

Tego wieczora koloniści zgromadzili się w wielkiej sali Granitowego Pałacu. Była ósma, pora, o której nowy towarzysz miał ich opuścić. Nie chcąc go krępować i zmuszać swoją obecnością do pożegnania, które mogło być dla niego nieprzyjemne, zostawili go samego i udali się do Granitowego Pałacu.

Zgromadzeni zatem w wielkiej sali rozmawiali już od kilku minut, gdy rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Prawie równocześnie nieznajomy wszedł do sali i bez żadnych wstępów powiedział:

— Panowie, zanim panów opuszczę, powinniście poznać moją historię. Opowiem ją. Te proste słowa wywarły na Cyrusie i jego towarzyszach mocne wrażenie.

Inżynier powstał ze swego miejsca.

— Nie pytałśmy pana o nic, przyjacielu — powiedział. — Ma pan prawo milczeć...

— Mam obowiązek mówić.

— Więc niech pan usiądzie.

— Wolę stać.

— Słuchamy pana zatem — odparł Cyrus Smith.

Nieznajomy stanął w kącie sali, w lekkim półcieniu. Głowę miał odkrytą, ręce skrzyżował na piersi i przytłumionym głosem, jakby się przymuszał do mówienia, rozpoczął następujące opowiadanie, którego żaden ze słuchaczy nie przerwał ani razu:

— 20 grudnia 1854 roku parowy jacht „Duncan” należący do pewnego szkockiego arystokraty, lorda Glenarvana, rzucił kotwicę u przylądka Bernouilli na zachodnim wybrzeżu Australii, na wysokości trzydziestego siódmego równoleżnika. Na statku znajdowali się lord Glenarvan, jego żona, pewien major armii angielskiej, geograf francuski, młoda dziewczyna i młody chłopak. Tych dwoje ostatnich było dziećmi kapitana Granta, którego statek „Britannia” rok wcześniej zatonął z całą załogą i ładunkiem. „Dun-

can” pływał pod rozkazami kapitana nazwiskiem John Mangles i posiadał załogę złożoną z piętnastu ludzi.

Powód, dla którego jacht znajdował się w tym czasie u wybrzeży australijskich, był następujący:

Sześć miesięcy wcześniej załoga „Duncana” wylowiła z Morza Irlandzkiego¹³⁶ butelkę zawierającą dokument spisany w językach angielskim, niemieckim i francuskim. Dokument stwierdzał, że z rozbitego statku „Britannia” pozostało przy życiu jeszcze trzech ludzi, mianowicie sam kapitan Grant i dwóch członków załogi oraz że znaleźli schronienie na jakimś lądzie, którego szerokość geograficzna była podana w dokumencie, ale oznaczenie długości, zamazane przez wodę morską, było zupełnie nieczytelne.

Odczytana część wskazywała 37°11' szerokości południowej. Dlatego też, ponieważ długość geograficzna była nieznana, podążając wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika przez morza i lądy, miało się pewność, że dotrze się wreszcie do miejsca, gdzie zamieszkiwali kapitan Grant i jego dwaj towarzysze.

Gdy admiralicja angielska wahała się podjąć poszukiwania, lord Glenarvan postanowił dołożyć wszelkich starań, aby odszukać kapitana. Mary i Robert Grant porozumieli się z nim. Wyposażono jacht „Duncan” we wszystko, co potrzebne w tak dalekiej podróży, w której miała wziąć udział rodzina lorda i dzieci kapitana. „Duncan”, opuściwszy Glasgow, skierował się na Atlantyk, przepłynął Cieśninę Magellana i przez Pacyfik dotarł aż do Patagonii, gdzie, jak przypuszczano według pierwszej interpretacji dokumentu, kapitan Grant miał znajdować się w niewoli u tubylców.

„Duncan” wysadził więc pasażerów na zachodnim wybrzeżu Patagonii, a sam odpłynął, aby ich zabrać z powrotem ze wschodniego wybrzeża, z Przylądka Corrientes¹³⁷.

Lord Glenarvan przeszedł całą Patagonię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika i nie znalazłszy nigdzie śladu kapitana, 13 listopada wrócił na pokład statku, by kontynuować poszukiwania na oceanie.

Po bezskutecznych poszukiwaniach na położonych po drodze wyspach Tristan Acunha¹³⁸ i Amsterdam¹³⁹ „Duncan”, jak już wspomniałem, przybył do przylądka Bernuilli na wybrzeżu australijskim 20 grudnia 1854 roku.

Zamiarem lorda Glenarvana było przemierzyć wzdłuż całą Australię, tak jak przeszedł Amerykę, i w tym celu wylądował. Kilka mil od brzegu morza znajdowała się farma należąca do pewnego Irlandczyka, który ofiarował podróżnym gościnne przyjęcie. Lord Glenarvan wyjawiał Irlandczykowi powód, który go sprowadził w te strony, i zapytał go, czy wie coś o rozbiciu się trójmasztowca angielskiego „Britannia” przed niespełna dwoma laty na zachodnim wybrzeżu Australii.

Irlandczyk nigdy nie słyszał o tym zdarzeniu. Ale ku wielkiemu zdumieniu wszystkich obecnych jeden ze służących Irlandczyka wtrącił się do rozmowy, mówiąc:

„Milordzie¹⁴⁰, dziękuj Bogu i wychwalaj Jego imię! Jeśli kapitan Grant żyje jeszcze, to na ziemi australijskiej”.

„Kim pan jest?” — zapytał lord Glenarvan.

„Szkotem, tak jak pan, milordzie — odparł ów człowiek. — Jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków »Britannii«”.

Człowiek ten nazywał się Ayrton. Jak o tym świadczyły jego dokumenty, był bosmanem na statku „Britannia”. Będąc z dala od kapitana Granta w chwili, gdy statek rozbił się o skały, sądził dotychczas, że kapitan utonął wraz z całą załogą i że tylko on sam, Ayrton, jako jedyny z całej „Britannii” pozostał przy życiu.

¹³⁶*Morze Irlandzkie* — morze między wyspami Irlandią i Wielką Brytanią. [przypis edytorski]

¹³⁷*Przylądek Corrientes* — tu: skalisty przylądek w Argentynie na 38°01' szer. południowej, na terenie ob. miasta Mar del Plata, pomiędzy plażami Chica i Varese; najbardziej wysunięty na południowy zachód punkt prowincji Buenos Aires. [przypis edytorski]

¹³⁸*Tristan Acunha* — ob. *Tristan da Cunha*, archipeląg wysepek wraz z gł. wyspą o tej samej nazwie, leżący na Atlantyku, na 37°15' szerokości południowej, odległy o ok. 3400 km od Ameryki Płd. oraz o ok. 2400 km od płd. Afryki. [przypis edytorski]

¹³⁹*Wyspa Amsterdam* — niewielka wyspa na południowym Oceanie Indyjskim, na 37°49' szerokości południowej, mniej więcej w połowie odległości pomiędzy płd. Afryką a Australią. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*milord* — tytuł grzecznościowy używany przy zwracaniu się do lordów angielskich, z ang. *my lord*: mój lordzie. [przypis edytorski]

„Tylko że »Britannia« — dodał — nie rozbiła się przy zachodnim wybrzeżu Australii, ale przy wschodnim, i jeśli kapitan Grant wciąż żyje, jak to wynika z dokumentu, to jest więźniem tubylców australijskich i należy go szukać nie na tym, ale na przeciwnym brzegu”.

Człowiek ten mówił głosem pełnym szczerości, z pewnym siebie spojrzeniem. Nie można było wątpić w prawdziwość jego słów. Irlandczyk, u którego służył od przeszło roku, ręczył za niego. Lord Glenarvan uwierzył w prawość tego człowieka i idąc za jego radą, postanowił przemierzyć całą Australię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Grupką składającą się z lorda Glenarvana, jego żony, dwojga dzieci kapitana, majora, Francuza, kapitana Manglesa i kilku marynarzy miał dowodzić Ayrton, podczas gdy „Duncan” pod komendą zastępcy kapitana, Toma Austina, miał odpłynąć do Melbourne i tam oczekiwać dalszych rozkazów lorda Glenarvana.

Wyruszyli w drogę 23 grudnia 1854 roku.

Czas teraz wyjawić, że Ayrton był zdrajcą. Rzeczywiście był bosmanem na statku „Britannia”, lecz pokłóciwszy się ze swym kapitanem, usiłował nakłonić załogę do buntu i gwałtem opanować statek, za co kapitan Grant 8 kwietnia 1852 roku wysadził go na zachodnim wybrzeżu Australii i pozostawiwszy go jego losowi, odpłynął, co było zresztą słuszne i sprawiedliwe.

Tak więc nędznik nie wiedział nic o rozbiści „Britannii”. Dowiedział się o nim dopiero z opowiadania lorda Glenarvana! Od czasu, gdy pozostawiono go samego na lądzie, został pod imieniem Ben Joyce’a przywódcą zbiegłych skazańców¹⁴¹, dlatego zaś utrzymywał z taką bezczelnością, że statek rozbił się u wschodnich wybrzeży, i dlatego nakłaniał lorda Glenarvana do wyruszenia w tym kierunku, ponieważ miał nadzieję w ten sposób odciągnąć go od statku, opanować „Duncana” i zrobić z jego jachtu okręt piracki, krążący po wodach Pacyfiku.

Tu nieznamy przerwał na chwilę. Głos mu drżał, lecz ciągnął dalej:

— Wyprawa wyruszyła w drogę i kierowała się w poprzek ładu australijskiego. Oczywiście okazała się nieudana, gdyż kierował nią Ayrton, czyli Ben Joyce, a raz przed nimi, raz za nimi posuwała się jego banda złoczyńców, których powiadomił, co mają robić.

Tymczasem „Duncana” odesłano do Melbourne, ponieważ potrzebował naprawy. Chodziło teraz o to, aby skłonić lorda Glenarvana do wydania rozkazu, żeby statek opuścił Melbourne i udał się na wschodnie wybrzeże Australii, gdzie łatwo go będzie opanować. Doprowadziwszy wyprawę dość blisko tego wybrzeża, w głąb rozległych puszczy, gdzie brakowało wszelkich środków do życia, Ayrton skłonił lorda do przekazania mu listu, który podjął się sam doręczyć zastępcy kapitana na „Duncanie”. List zawierał polecenie, by jacht natychmiast odpłynął na wschodnie wybrzeże do zatoki Twofold¹⁴², oddalonej o kilka dni drogi od miejsca, w którym zatrzymała się wyprawa. Tam właśnie Ayrton wyznaczył swoim kamratom miejsce spotkania.

W chwili gdy zdrajca miał już dostać list do ręki, został zdemaskowany i nie pozostawało mu nic innego jak ucieczka. Musiał jednak za wszelką cenę zdobyć list oddający „Duncana” w jego ręce. Ayrtonowi udało się wykraść list i w dwa dni później był już w Melbourne.

Dotychczas jego zbrodnicze zamiary udawały się znakomicie. Wkrótce miał zwabić „Duncana” do zatoki Twofold, gdzie ze swoimi współnikami opanują go bez trudu, wymordują załogę, a Ben Joyce zostanie panem tych mórz... Lecz Bóg miał zapobiec spełnieniu tych zbrodniczych planów.

Po przybyciu do Melbourne Ayrton wręczył list zastępcy kapitana, Tomowi Austiniowi, a ten przeczytawszy go, rozkazał natychmiast rozwinąć żagle; lecz łatwo wyobrazić sobie rozczarowanie i wściekłość Ayrtona, gdy drugiego dnia żeglugi dowiedział się, że zastępca kapitana prowadzi statek nie na wschodnie wybrzeże Australii, do zatoki Twofold, lecz na wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii. Chciał się temu przeciwstawić, ale Austin pokazał mu list!... Istotnie, dziwnym zrządzeniem Opatrzności, przez przypad-

¹⁴¹zbiegłych skazańców — od końca XVIII wieku Wielka Brytania traktowała Australię głównie jako miejsce zsyłki więźniów, gdyż brytyjskie więzienia były przepełnione. Do roku 1868, kiedy tego zaprzestano, wysłano do kolonii karnych w Australii ok. 160 tysięcy skazanych. [przypis edytorski]

¹⁴²Twofold — zatoka w pld.-wsch. Australii, położona na 37°04' szer. południowej. [przypis edytorski]

kową omyłkę francuskiego geografa, który pisał list, jako cel podróży statku wskazano w nim wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii.

Wszystkie plany Ayrtona przepadły! Chciał wywołać bunt. Uwięziono go. I tak oto zabrany został do wybrzeży Nowej Zelandii, nie mając pojęcia ani o tym, co się stanie z jego współnikami, ani jaki los spotka lorda Glenarvana.

„Duncan” krążył w pobliżu wybrzeży Nowej Zelandii aż do 3 marca. Tego dnia Ayrton usłyszał jakiś huk. To armaty „Duncana” dawały ognia i wkrótce lord Glenarvan z całą drużyną znaleźli się na pokładzie.

Oto co i jak się stało.

Po tysięcznych trudach i niebezpieczeństwach lord Glenarvan dotarł wreszcie do celu podróży, do wschodnich wybrzeży Australii, do zatoki Twofold. Ani śladu „Duncana”! Zatelegrafował do Melbourne. Odpowiedziano stamtąd: „Duncan» odpłynął 18 bieżącego miesiąca, nie wiadomo dokąd”.

Lord Glenarvan mógł pomyśleć tylko jedno: jego poczciwy jacht wpadł w ręce Ben Joyce’a i stał się okrętem pirackim.

Ale lord Glenarvan nie chciał dać za wygraną. Był to człowiek nieustraszonej odwagi i wspaniałego serca. Wsiadł więc na jeden ze statków kupieckich, kazał się zawieść na zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii i przemierzył ją całą wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, nie napotykając ani śladu kapitana Granta. Ale na przeciwległym wybrzeżu, ku swemu wielkiemu zdumieniu i z woli Nieba, odnalazł „Duncana”, pozostającego pod dowództwem zastępcy kapitana, który oczekiwał go już od pięciu tygodni!

Było to 3 marca 1855 roku. Lord Glenarvan był wreszcie znowu na swoim statku, a wraz z nim także i Ayrton. Postawiono go przed lordem, który chciał wydobyć z niego wszystko, cokolwiek ten bandyta mógł wiedzieć o losie kapitana Granta. Ayrton nie chciał mówić. Wtedy lord Glenarvan oświadczył mu, że na pierwszym postoju odda go w ręce władz angielskich. Ayrton milczał uporczywie.

„Duncan” ruszył dalej w podróż wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Tymczasem lady Glenarvan postanowiła przełamać upór bandyty. W końcu Ayrton uległ jej wpływowi i zaproponował lordowi Glenarvan, aby w zamian za to, co by miał do powiedzenia, wysadził go na jednej z wysp Pacyfiku zamiast oddawać w ręce władz angielskich. Lord Glenarvan, który gotów był zrobić wszystko, byle się dowiedzieć czegoś o losie kapitana Granta, zgodził się na układ.

Wtedy Ayrton opowiedział historię całego swego życia, z której się okazało, że od dnia, w którym kapitan Grant wysadził go na wybrzeżu australijskim, nie wiedział o nim nic.

Mimo to lord Glenarvan dotrzymał danego słowa. „Duncan”, płynąc dalej, przybył do wyspy Tabor. Tu zamierzano pozostawić Ayrtona i tutaj także, prawdziwie cudownym trafem, znaleziono kapitana Granta z dwoma jego ludźmi, właśnie pod trzydziestym siódmym równoleżnikiem. Skazaniec miał zająć ich miejsce na tej bezludnej wysepce i gdy opuszczał jacht, lord Glenarvan przemówił do niego tymi słowami:

„Ayrtonie, pozostanie pan tutaj z dala od świata, z dala od ludzi, z którymi nie będzie się pan mógł porozumiewać. Nie będzie pan mógł uciec z wysepki, na której zostawia pana »Duncan«. Pozostanie pan sam, pod okiem Boga, który czyta w najgłębszych skrytościach ludzkiego serca, lecz nie będzie pan ani zgubiony bez śladu, ani zapomniany, jak był kapitan Grant. Choć jest pan niegodny ludzkiej pamięci, ludzie będą o panu pamiętali. Wiem, gdzie pan jest, Ayrtonie, i wiem, gdzie pana znaleźć. Nie zapomnę o tym nigdy!”

„Duncan” rozwinął żagle i zniknął wkrótce sprzed oczu wygnańca.

Było to 18 marca 1855 roku.¹⁴³

Ayrton pozostał sam, ale nie brakowało mu ani amunicji, ani broni, ani narzędzi, ani nasion. Do użytku skazańca pozostał domek zbudowany przez zanego kapitana Granta. Mógł tam żyć i pokutować w samotności za popełnione zbrodnie.

Panowie, on szczerze żałował, wstydził się swoich zbrodni i był bardzo nieszczęśliwy! Powiedział sobie, że jeśli kiedyś ludzie przybędą po niego, to musi być wtedy godny wrócić

¹⁴³Te pokrótce opowiedziane tutaj wydarzenia stanowią treść książki znanej zapewne niejednemu z czytelników, zatytułowanej *Dzieci kapitana Granta*. I tu, i później czytelnicy zauważą pewne niezgodności dat, lecz później dowiedzą się także, dlaczego pierwotnie nie mogły być podane prawdziwe daty. (Przypis wydawcy). [przypis redakcyjny]

pomiędzy nich! Jakże on cierpiał, ten nieszczęśnik! Jak ciężko pracował, aby przez pracę stać się innym człowiekiem! Jak gorąco się modlił, aby przez modlitwę odrodzić się na nowo!

Trwało tak dwa, trzy lata. Ayrton, przygnębiony ciągłą samotnością, wypatrując nieustannie, czy na widnokręgu nie pojawi się jakiś statek, zapytując sam siebie, czy już wkrótce dopełni się czas pokuty, cierpiał jak nikt nigdy nie cierpiał! Ach, jak gorzka jest samotność dla duszy trawionej zgryzotami sumienia!

Lecz Niebo widocznie nie uznało, by kara tego nieszczęśliwego była wystarczająca, czuł bowiem, że z każdym dniem coraz bardziej dziczeje. Czuł, jak z wolna popada w stan zezwierzęcenia. Czy się to stało po dwóch, czy po czterech latach samotności, tego wam powiedzieć nie może, ale w końcu stał się tą nędzną istotą, którą znaleźliście.

Nie potrzebuję, panowie, dodawać, że Ayrton, czyli Ben Joyce, i ja — to jedna i ta sama osoba!

Gdy Ayrton ukończył swe opowiadanie, Cyrus Smith i jego towarzysze powstali z miejsc. Trudno wyrazić ich wzruszenie. Taki obraz nędzy, cierpienia i rozpaczki w całej nagości roztoczył się przed ich oczyma!

— Ayrtonie — powiedział Cyrus Smith — był pan wielkim zbrodniarzem, lecz Niebo orzekło wyraźnie, że już pan odpokutował swe zbrodnie! W dowód tego sprowadziło pana między bliźnich. Ayrtonie, uzyskał pan przebaczenie! A teraz, czy zechce pan zostać naszym towarzyszem?

Ayrton na te słowa cofnął się.

— Oto moja ręka! — powiedział inżynier.

Ayrton rzucił się, by uścisnąć rękę, którą wyciągnął do niego Cyrus Smith, a z jego oczu popłynęły wielkie łzy.

— Czy chce pan zamieszkać z nami? — zapytał Cyrus Smith.

— Panie Smith — odparł Ayrton — proszę zostawić mi jeszcze trochę czasu, pozwolić mi mieszkać samemu w zagrodzie.

— Niech tak będzie, skoro pan tego chce, Ayrtonie — odparł Cyrus Smith.

Ayrton chciał się już oddalić, lecz inżynier zadał mu jeszcze ostatnie pytanie:

— Jeszcze słówko, przyjacielu. Jeżeli zdecydował się pan żyć samotnie, dlaczego wrzucił pan do morza ten dokument, który naprowadził nas na pana ślad?

— Jaki dokument? — zapytał Ayrton, jak gdyby nie wiedział, o czym mowa.

— Dokument zamknięty znalezionej przez nas w butelce, który podawał dokładne położenie wyspy Tabor.

Ayrton przetarł dłonią czoło. Po chwili namysłu odparł:

— Nigdy nie wrzuciłem do morza żadnego dokumentu.

— Nigdy?! — zawołał Pencroff.

— Nigdy.

Ayrton skłonił się, odwrócił się ku drzwiom i wyszedł.

ROZDZIAŁ XVIII

Rozmowa. — Cyrus Smith i Gedeon Spilett. — Pomysł inżyniera. — Elektryczny telegraf. — Druty. — Stos. — Baterie. — Alfabet. — Sezon letni. — Dobrobyt kolonii. — Fotografia. — Złudzenie śniegu. — Dwa lata na Wyspie Lincoln.

— Biedny człowiek! — powiedział Harbert, który rzucił się do drzwi, ale zaraz wrócił, gdy zobaczył, że Ayrton zsuwa się po linie od windy i znika w ciemnościach.

— Powróci do nas — powiedział Cyrus Smith.

— Tam do kata, panie Cyrusie! — zawołał Pencroff. — Co to wszystko ma znaczyć? Jak to, więc to nie Ayrton wrzucił butelkę do morza? Więc kto?

Doprawdy, jeśli narzucało się jakieś pytanie, to właśnie takie.

— To on — odparł Nab — tylko że biedak był już wtedy na wpół szalony.

— Tak — powiedział Harbert — nie wiedział już wtedy, co robi.

— Tylko w ten sposób można to wytłumaczyć — odparł żywo Cyrus Smith. — Teraz rozumiem, dlaczego Ayrton mógł podać dokładnie położenie geograficzne wyspy Tabor: poznał je podczas wydarzeń poprzedzających pozostawienie go na wyspie.

— Jeżeli jednak — zauważył Pencroff — nie zdziżał jeszcze zupełnie w chwili, gdy spisywał ten dokument, i jeżeli już siedem czy osiem lat temu wrzucił go do morza, to jak się stało, że papier nie został uszkodzony przez wilgoć?

— To dowodzi — odparł Cyrus Smith — że Ayrton postradał rozum o wiele później, niż sam sądzi.

— Zapewne tak musi być — odparł Pencroff — inaczej nie dałoby się to w ogóle wytłumaczyć.

— Rzeczywiście, nie dałoby się wytłumaczyć — odparł inżynier, który, jak się zdało, chciał urwać całą tę rozmowę.

— Ale czy Ayrton powiedział prawdę? — zapytał marynarz.

— Tak — odparł reporter. — Historia, którą opowiedział, jest ze wszystkimi szczegółami prawdziwa. Przypominam sobie bardzo dobrze, że gazety donosiły swego czasu o przedsięwzięciu lorda Glenarvana i o jego wynikach.

— Ayrton powiedział prawdę — dodał Cyrus Smith. — W to nie ma co wątpić, Pencroffie, bo prawda ta była straszna dla niego samego. A pewnie mówi prawdę ten, kto się sam tak oskarża.

Nazajutrz, 21 grudnia, koloniści zeszli nad brzeg morza, potem wspięli się na płaskowyż, lecz nigdzie nie znaleźli Ayrtona. W nocy powrócił do swego mieszkania w zagrodzie i koloniści uznali za stosowne nie narzucać mu swojego towarzystwa. Czas, jak sądzili, dokona tego, czego nie mogła sprawić zachęta z ich strony.

Harbert, Pencroff i Nab powrócili do swych zwykłych zajęć. Tego dnia Cyrusa Smith z reporterem pracowali razem w warsztacie w Kominach.

— Wie pan, drogi Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett — że pańskie wczorajsze wyjaśnienia co do tej butelki zupełnie mnie nie przekonały. Jak można przypuszczać, że ten nieszczęśnik mógł napisać dokument i wrzucić butelkę do morza, a nie zachować o tym najmniejszego wspomnienia?

— Bo też to nie on ją wrzucił, drogi Spilecie.

— Więc twierdzi pan...

— Niczego nie twierzę, bo nic nie wiem! — odparł Cyrus Smith, przerywając reporterowi. — Zdarzenie to zaliczam do spraw, których dotychczas nie udało mi się wytłumaczyć, i na tym poprzestaję.

— Rzeczywiście, panie Cyrusie — powiedział Gedeon Spilett — to są rzeczy trudne do uwierzenia! Pańskie ocalenie, skrzynia wyrzucona przez morze, przygody Topa, wreszcie ta butelka... Czy nigdy nie znajdziemy rozwiązania tych zagadek?

— Znajdziemy! — odparł żywo inżynier. — Znajdziemy, gdy przetrząśniemy całą tę wyspę aż do samego jej wnętrza!

— Może przypadek podsunie nam klucz do tej tajemnicy?

— Przypadek! Spilecie! Nie wierzę w przypadki, tak jak nie wierzę w cuda na tym świecie. Wszystkie niezrozumiałe sprawy, które się tu dzieją, mają swoją przyczynę i ja tę przyczynę odkryję. Tymczasem obserwujmy i pracujmy.

Nadszedł styczeń, a wraz z nim zaczął się rok 1867. Letnie prace wykonywano pilnie i gorliwie. W pierwszych dniach miesiąca Harbert z Gedeonem Spilettem udali się w okolice zagrody i przekonali się, że Ayrton rozgościł się w przygotowanym dla niego mieszkaniu. Zajmował się powierzonym mu licznym stadem, oszczędzając w ten sposób towarzysom trudu przychodzenia tam co dwa czy trzy dni. Aby jednak zbyt długo nie pozostawał sam, koloniści odwiedzali go dość często.

Niemniej, ze względu na pewne podejrzenia, które mieli inżynier z Gedeonem Spilettem, uznano, że na tę część wyspy powinno się stale zwracać uwagę. Dlatego polecono Ayrtonowi, żeby w razie jakiegoś wypadku zawiadomił mieszkańców Granitowego Pałacu.

Mógł się jednak zdarzyć jakiś nagły wypadek, o którym należałoby natychmiast zawiadomić inżyniera. Zresztą oprócz wypadków mających związek z tajemnicą, jaką skrywała Wyspa Lincoln, mogły się wydarzyć także zupełnie inne, wymagające natychmiastowego działania ze strony kolonistów, takie jak pojawienie się statku na morzu od strony zachodniego wybrzeża, katastrofa morska na zachód od wyspy, przybycie piratów i tak dalej.

Dlatego też Cyrus Smith postanowił wprowadzić błyskawiczną łączność między zagrodą a Granitowym Pałacem.

10 stycznia przedstawił towarzyszom swój projekt.

— Tam do licha, jak pan zamierza się za to zabrać, panie Cyrusie? — zapytał Pencroff.
— Czyżby przypadkiem myślał pan o założeniu telegrafu?

— Właśnie tak — odparł inżynier.

— Elektrycznego?! — zawołał Harbert.

— Elektrycznego — odparł Cyrus Smith. — Mamy wszystko, czego potrzeba do zrobienia baterii elektrycznej, najtrudniej będzie wyprodukować druty, ale sądzę, że za pomocą ciągar¹⁴⁴ nam się uda.

— Jeśli tak — odparł marynarz — to już wcale nie wątpię, że pewnego dnia będziemy jeździć po wyspie pociągiem!

Zabrano się więc zaraz do pracy i zaczęto od najtrudniejszej rzeczy, czyli od zrobienia drutów, gdyż gdyby się to nie udało, to bateria i inne części byłyby niepotrzebne.

Żelazo na Wyspie Lincolna było, jak wiemy, dobrego gatunku, a tym samym łatwo dawało się rozciągać. Cyrus Smith zaczął od zrobienia potrzebnego do tego przyrządu, czyli drutownicy. Jest to płyta stalowa ze stożkowatymi otworami rozmaitego kalibru, przez które kolejno przeprowadza się drut, żeby nabrał pożądanej grubości. Tę płytę zahartowano do pełnej twardości, jak mówią metalurgowie, a następnie przymocowano na stałe do wkopanej w ziemię mocnej ramy, w odległości zaledwie kilku stóp od dużego wodospadu, który inżynier zamierzał znowu wykorzystać jako siłę napędową.

W tym miejscu stał folusz, który wówczas nie działał, ale jego wał, obracany z niezwykłą siłą, mógł posłużyć do nawijania na niego drutu i wyciągania go.

Była to praca delikatna i wymagająca dużej staranności. Żelazo przygotowano w postaci długich, wąskich prętów, zaostrzonych na końcach pilnikiem. Następnie pręty wkładano do największego otworu drutownicy. Wał, obracając się, rozciągał je do długości od dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp i jednocześnie nawijał. Nawinięty na wał zwój drutu odwijano, po czym przepuszczano go kolejno przez otwory o coraz to mniejszej średnicy. W końcu inżynier otrzymał druty długości czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, które łatwo było połączyć ze sobą i przeciągnąć na przestrzeni pięciu mil dzielących zagrodę od Granitowego Pałacu.

Wykonanie tego zadania zajęło tylko kilka dni, a gdy już urządzenie została wprawione w ruch, Cyrus Smith zostawił towarzyszy przy pracy nad drutami, a sam zajął się sporządzeniem baterii.

Chodziło o to, aby otrzymać baterię prądu stałego. Ogniwa nowoczesnych baterii składają się zazwyczaj, jak wiadomo, z węgla retortowego¹⁴⁵, cynku i miedzi. Miedzi nie miał inżynier zupełnie, gdyż pomimo wszelkich poszukiwań nie znalazł żadnych jej śladów na Wyspie Lincolna. Trzeba więc było obejść się bez niej. Jeśli chodzi o węgiel retortowy, czyli twardy grafit otrzymywany w retortach gazowni przez usunięcie wodoru z węgla kamiennego, to można go było wprawdzie wytworzyć, ale do tego potrzebne byłyby specjalne aparaty, co wymagałoby zbyt wiele trudu. Co zaś do cynku, to jak sobie zapewne przypominamy, skrzynia znaleziona na Cyplu Znaleziska, wyłożona była wewnątrz blachą z tego metalu i nie można jej było teraz lepiej wykorzystać niż do tego celu.

Po gruntownym namyśle Cyrus Smith postanowił zatem sporządzić proste ogniwo, bardzo podobne do tego, które wymyślił Becquerel¹⁴⁶ w 1820 roku, a w którym używa się tylko cynku. Inne substancje, mianowicie kwas azotowy i potaż, miał do dyspozycji.

Ogniwo, które miało dawać prąd dzięki reakcji zachodzącej pomiędzy kwasem azotowym a potażem, powstało w następujący sposób:

Sporządzono pewną ilość szklanych butli i napełniono je kwasem azotowym. Inżynier zatkał każdą z nich korkiem, przez który przechodziła szklana rurka zatkana u dołu

¹⁴⁴ciągar^{ka} — maszyna do produkcji drutów i prętów przez ciągnięcie na zimno. [przypis edytorski]

¹⁴⁵węgiel retortowy — zgrafitowany węgiel, osadzający się w retortach podczas suchej destylacji; ukształtowany przez prasowanie, służy do celów elektrotechnicznych. [przypis edytorski]

¹⁴⁶Becquerel, Antoine César (1788–1878) — francuski fizyk i fizykochemik; konstruktor cynkowego ogniwa galwanicznego poprzedzającego cynkowo-miedziowe ogniwo Daniella. [przypis edytorski]

tamponem z gliny, przymocowanym kawałkiem płótna, i zanurzona tym końcem w kwasie azotowym. Przez górny otwór rurki wlewał do niej roztwór potażu, otrzymanego ze spopielenia rozmaitych roślin, i w ten sposób kwas azotowy i potaż mogły wzajemnie na siebie oddziaływać poprzez glinę.

Cyrus Smith wziął następnie dwie płytki cynkowe i jedną z nich zanurzył w kwasie azotowym, a drugą w roztworze potażu. Natychmiast wytworzył się prąd, który od płytki zanurzonej w butli płynął do płytki w rurce; gdy obie płytki zostały ze sobą połączone metalowym drutem, płytka w rurce stała się biegunem dodatnim, a płytka w butli — biegunem ujemnym. W każdej butli wytwarzał się prąd i dzięki połączeniu odpowiedniej ilości butli można było uzyskać prąd wystarczający do wywołania wszystkich zjawisk zachodzących w telegrafie elektrycznym.

Tak wyglądał pomysłowy, a zarazem prosty aparat wykonany przez Cyrusa Smitha, aparat, za pomocą którego zdołał utworzyć połączenie telegraficzne między Granitowym Pałacem a zagrodą.

6 lutego zaczęto wkopywać w ziemię słupy, zaopatrzone w szklane izolatory, na których spoczywać miał drut, biegnące wzdłuż drogi prowadzącej do zagrody. W kilka dni potem przeciągnięto drut, gotowy do przekazywania prądu elektrycznego z szybkością stu tysięcy kilometrów na sekundę, a prąd ten miał wracać przez ziemię z powrotem do miejsca, skąd wyszedł.

Sporządzono dwie baterie, jedną dla Granitowego Pałacu, drugą dla zagrody, tak by nie tylko zagroda mogła się komunikować z Granitowym Pałacem, lecz także w razie potrzeby Granitowy Pałac z zagrodą.

Odbiornik i nadajnik miały również bardzo prostą konstrukcję. Na obu stacjach drut telegraficzny był zakończony elektromagnesem, czyli kawałkiem miękkiego żelaza, na który nawinięto drut. Gdy obydwa bieguny były połączone, prąd, wychodząc od bieguna dodatniego, płynął przez drut, docierał do elektromagnesu, który wówczas działał jak magnes, a następnie powracał przez ziemię do bieguna ujemnego. Wystarczyło więc było umieścić przed elektromagnesem płytkę z miękkiego żelaza, którą przyciągałby do siebie przy zamknięciu obwodu, a która po przerwaniu obwodu i ustaniu przepływu prądu ponownie by opadała. Uzyskawszy poruszającą się pod wpływem prądu płytkę, Cyrus Smith z łatwością przymocował do niej wskazówkę umieszczoną na tarczy, na której wypisano dokoła wszystkie litery alfabetu, i dzięki temu mógł przekazywać wiadomości od jednej stacji do drugiej.

12 lutego było wszystko gotowe. Cyrus Smith puścił prąd po drucie telegraficznym i zapytał, czy w zagrodzie jest wszystko w porządku, a po kilku chwilach otrzymał od Ayrtona zadowolającą odpowiedź.

Pencroff nie posiadał się z radości; każdego ranka i wieczora wysyłał telegram do zagrody, na który zawsze otrzymywał odpowiedź.

Ten rodzaj komunikacji miał dwie bardzo realne korzyści: przede wszystkim można było w każdej chwili przekonać się, czy Ayrton jest obecny w zagrodzie, a po drugie nie zostawiano go w zupełnej samotności. Zresztą Cyrus Smith odwiedzał go co tydzień, a i Ayrton od czasu do czasu przychodził do Granitowego Pałacu, gdzie zawsze doznawał serdecznego przyjęcia.

Lato minęło wśród zwykłych zajęć. Zapasy kolonii, zwłaszcza warzyw i zboża, powiększały się z każdym dniem, a nasiona przywiezione z wyspy Tabor przyjęły się doskonale. Płaskowyż Pięknego Widoku wyglądał bardzo dostatnio. Czwarte z kolei żniwa wypadły świetnie i jak łatwo się domyślić, nikt nie miał ochoty sprawdzać, czy rzeczywiście plon wyniósł czterysta miliardów ziaren. Wprawdzie Pencroff początkowo zamierzał to zrobić, ale gdy Cyrus Smith wytłumaczył mu, że gdyby nawet zdołał przeliczyć po trzysta ziaren na minutę, czyli dziewięć tysięcy na godzinę, potrzebowałby około pięciu tysięcy pięćset lat na ukończenie całego zliczania, wówczas poczciwy marynarz uznał, że lepiej z tego zrezygnować.

Pogoda była wspaniała, w dzień panowała bardzo wysoka temperatura, za to wieczorem wiejący od morza wiatr studził upał powietrza i mieszkańcom Granitowego Pałacu użyczał chłodnych nocy. Zdarzyło się kilka burz, które wprawdzie nie trwały długo, ale spadły na Wyspę Lincoln z niesłychaną gwałtownością. Kilka godzin błyskawice bez przerwy rozjaśniały niebo i raz po raz odzywały się grzmoty.

W tym czasie małej kolonii powodziło się nadzwyczaj pomyślnie. Ptaszarnia roiła się od ptactwa, przyrost szedł na kuchnię, gdyż trzeba było utrzymywać liczebność drobiu w rozsądnych granicach. Świnie miały już prosięta i zrozumiały, że opieka nad tymi zwierzętami pochłaniała Nabowi i Pencroffowi wiele czasu. Onagrom urodziły się dwa piękne źrebaki. Najczęściej jeździli na nich Gedeon Spilett i Harbert, który pod okiem reportera stał się znakomitym jeźdźcem. Zaprzęgano je także do wózka, żeby zwozić do Granitowego Pałacu drewno, węgiel czy też rozmaitego rodzaju kruszce używane przez inżyniera.

W tym czasie zrobiono kilka wypraw w głąb Lasu Dalekiego Zachodu. Koloniści mogli zapuszczać się tam bez obawy przed nadmiernym upałem, gdyż promienie słoneczne ledwie przeciskały się przez zbity gąszcz nad ich głowami. Zbadali tak cały lewy brzeg Rzeki Dziękczynienia, wzdłuż którego ciągnęła się droga z zagrody do ujścia Rzeki Wodospadu.

Podczas tych wypraw koloniści byli zawsze dobrze uzbrojeni, nieraz bowiem spotykali się po drodze z nadzwyczaj zajadłymi dzikami, z którymi trzeba było staczać poważne walki.

W tym samym czasie wydano także bezlitosną wojnę jagurom. Gedeon Spilett odczuwał do nich szczególną nienawiść, a jego uczeń Harbert w pełni ją podzielał.

Będąc teraz dobrze uzbrojeni, nie obawiali się spotkań z tymi bestiami. Harbert cechował się nadzwyczajną odwagą, a reporter zdumiewająco zimną krwią, toteż około dwadzieścia wspaniałych skór zdobyło już wielką salę Granitowego Pałacu i gdyby tak dalej poszło, jaguary musiałyby wkrótce wyginąć na Wyspie Lincoln, co właśnie było celem naszych myśliwych.

Inżynier niekiedy uczestniczył w wyprawach podejmowanych w nieznane dotąd okolice wyspy i obserwował wszystko z wielką uwagą. W największych gęstwinach tych nieprzejranych puszczy szukał innych śladów niż zwierzęce, nigdy jednak nie wpadło mu w oko nic podejrzanego. Ani Top, ani Jup, którzy mu towarzyszyli, nie zdradzali swym zachowaniem, aby napotkali coś nadzwyczajnego, a przecież nadal zdarzało się, że pies szczekał przy otworze studni, w której inżynier przeprowadził bezskuteczne poszukiwania.

Gedeon Spilett przy pomocy Harberta wykonał w tym czasie kilka zdjęć najbardziej malowniczych okolic wyspy, używając aparatu fotograficznego znalezionej w skrzyni, z którego do tej pory nie korzystano.

Aparat miał silny obiektyw i był kompletnie wyposażony. Nie brakowało żadnej z substancji potrzebnych do wykonywania zdjęć fotograficznych, ani kolodium¹⁴⁷ do powlekania szklanych płytek, ani azotanu srebra do uczulania ich na działanie promieni słonecznych, ani siarczanu sodu do utrwalania otrzymanego obrazu, ani chlorku amonu do płukania w nim papierowych odbitek, ani octanu sodu czy chlorku złota potrzebnych do zaimpregnowania światłoczułego papieru. Były już nawet gotowe nachlorowane papiery i wystarczyło przed nałożeniem ich na negatywy uprzednio zanurzyć je na kilka minut w wodnym roztworze azotanu srebra.

Reporter i jego pomocnik stali się wkrótce umiejętnymi fotografami i zrobili kilka pięknych zdjęć, na przykład: widok całej wyspy uchwycony z Płaskowyżu Pięknego Widoku, z Górą Franklina sterczącą na horyzoncie, z ujściem Rzeki Dziękczynienia malowniczo obramowanym wysokimi skałami, z łąką i zagrodą przylegającą do dolnych zboczy góry, widok na cały Przylądek Szponu, ze wszystkimi ciekawymi szczegółami, widok Cypla Znależiska i tak dalej.

Fotografowie nie zapomnieli o portretach wszystkich bez wyjątku mieszkańców wyspy.

— To gęściej zaludnia wyspę — mówił Pencroff.

¹⁴⁷kolodium a. kolodion — roztwór nitrocelulozy w rozpuszczalnikach organicznych, stosowany dawniej w fotografii; szklaną płytkę pokrytą warstwą kolodium z zawieszonymi w niej światłoczułymi związkami srebra nasświetlano w aparacie fotograficznym, w wyniku czego po wywołaniu powstawał na niej negatywowo obraz. [przypis edytorski]

Marynarz był zachwycony tym, że jego fotografia, bardzo wierna, zdobiła ściany Granitowego Pałacu, i chętnie przystawał, żeby się jej przyglądać, jakby stawał przed najwspanialszą witrzyną na Broadwayu¹⁴⁸.

Trzeba jednak przyznać, że najbardziej udany ze wszystkich był portret pana Jupa. Pan Jup przybrał pozę pełną powagi wprost nie do opisanego i na zdjęciu wyglądał jak żywy.

— Jakby za chwilę miał zrobić jakąś minę! — zawołał Pencroff.

Doprawdy, pan Jup musiałby chyba być bardzo wybredny, gdyby nie był zadowolony. Ale był całkiem zadowolony i przyglądał się swojemu wizerunkowi z wyrazem wzruszenia, z którego przeziarała lekka doza zarozumiałości.

W marcu skończyły się wielkie upały letnie. Od czasu do czasu padał deszcz, lecz powietrze było jeszcze ciepłe. Marzec, odpowiadający wrześniowi na półkuli północnej, nie był tak piękny, jakby się można było spodziewać. Być może zapowiadał wczesną i ostrą zimę.

Pewnego poranka — było to 21 marca — zdawało się nawet, że spadł już pierwszy śnieg. Harbert, który wstał wcześniej i wyrzwał przez okno Granitowego Pałacu, zawołał:

— Patrzcie! Wysepka pokryta jest śniegiem!

— Co, śniegiem? O tej porze? — zapytał reporter, podchodząc do Harberta.

Wkrótce dołączyli do nich pozostali towarzysze i stwierdzili wszyscy, że nie tylko wysepkę, lecz także całe wybrzeże w pobliżu Granitowego Pałacu przykrywał równomiernie biały całun.

— Dalibóg, to śnieg! — powiedział Pencroff.

— Lub coś bardzo do niego podobnego! — odparł Nab.

— Lecz termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (14° Celsjusza powyżej zera) — zauważył Gedeon Spilett.

Cyrus Smith w milczeniu spoglądał na białą powłokę, nie wiedział bowiem, jak wytłumaczyć to zjawisko o tej porze roku i przy tej temperaturze.

— Do kroćset diabłów! — zawołał Pencroff — nasze plantacje pomarzną!

I już marynarz miał zejść na dół, lecz ubiegł go Jup, który czym prędzej opuścił się po linie na dół.

Lecz zanim jeszcze orangutan dotknął stopą ziemi, nagle cała ta olbrzymia powłoka śnieżna wzbijała się w górę i rozproszyła się w powietrzu w takiej niezliczonej ilości płatków, że na kilka minut zasłoniły światło słoneczne.

— To ptaki! — zawołał Harbert.

Były to istotnie chmary morskich ptaków o śnieżnych, połyskujących piórach. Tysiącami obsiadły wysepkę i wybrzeże, a teraz znikwały w oddali, pozostawiając kolonistów pogrążonych w takim zdumieniu, jak gdyby na jakimś widowisku wskutek błyskawicznej zmiany dekoracji ujrzeli nagle, że zima przemieniła się w lato. Niestety, zmiana nastąpiła tak szybko, że ani reporter, ani Harbert nie mieli czasu upolować choćby jednego z tych ptaków, dlatego nie mogli określić ich gatunku.

W kilka dni później, 26 marca, przypadała druga rocznica wyrzucenia rozbitków powietrznych na Wyspę Lincoln.

ROZDZIAŁ XIX

Wspomnienia ojczyzny. — Widoki na przyszłość. — Projekt zbadania brzegów wyspy. — Odjazd 16 kwietnia. — Widok z morza na Półwysep Wężowy. — Bazalty na zachodnim wybrzeżu. — Burza. — Noc. — Nowe wydarzenie.

Upłynęły dwa lata! Od dwóch lat koloniści pozbawieni byli kontaktu z innymi ludźmi. Nie mieli żadnych wieści ze świata cywilizowanego i żyli na tej odludnej wyspie zapomniani, jakby na jakieś malutkiej asteroidzie¹⁴⁹ Układu Słonecznego.

¹⁴⁸*Broadway* — ulica w Nowym Jorku, w dzielnicy Manhattan, słynąca z mieszczących się przy niej licznych teatrów, kabaretów i modnych sklepów, uważana za centrum kulturalno-rozrywkowe USA. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*asteroida* — jedno z niewielkich ciał niebieskich o małych rozmiarach (od kilku metrów do 1000 km), obiegających Słońce, w większości pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza; większe asteroidy są nazywane planetoidami. [przypis edytorski]

Co się przez ten czas działo w ich ojczyźnie? Zawsze mieli przed oczyma obraz rodzinnego kraju, rozdartego wojną domową w chwili, gdy go porzucali, a może i dotąd jeszcze broczącego potokami krwi, spowodowanymi przez rebelię Południa. Napawało ich to niezmiernym bólem i nieraz o tym rozmawiali, nie wątpiąc nigdy, że sprawa Północy w końcu odniesie tryumf na chwałę Stanów Zjednoczonych.

W ciągu tych dwóch lat w pobliżu wyspy nie pojawił się ani jeden statek, a przynajmniej koloniści nie dostrzegli żadnego żagla. Najwidoczniej Wyspa Lincoln leżała z dala od uczęszczanych szlaków, a nawet była całkiem nieznaną — czego zresztą dowodziły mapy — gdyż nawet przy braku portu, źródła wody słodkiej, jakie posiadała, powinny przyciągać statki potrzebujące uzupełnić zapasy wody. Tymczasem otaczające ich morze, jak daleko wzrok sięgał, było zupełnie puste i koloniści, chcąc powrócić do ojczyzny, mogli liczyć tylko na siebie samych.

Była jednak jeszcze jedna szansa powrotu i właśnie ją omawiali koloniści pewnego dnia w pierwszym tygodniu kwietnia, zgromadziwszy się w wielkiej sali Granitowego Pałacu.

Była właśnie mowa o Ameryce, o kraju rodzinnym, którego prawie nie mieli nadziei ponownie ujrzeć.

— Stanowczo pozostał nam tylko jeden, jedyny sposób, żeby wydostać się z Wyspy Lincoln — mówił Gedeon Spilett. — Mianowicie trzeba zbudować statek tak duży, aby wytrzymał kilkusetmilową podróż na morzu. Uważam, że skoro potrafiliśmy zrobić ślup, to potrafimy zrobić i statek.

— I że skoro dopłynęliśmy do wyspy Tabor, to dopłyniemy i do wysp Paumotu — dorzucił Harbert.

— Nie zaprzeczę — odparł Pencroff, który miał zawsze ostateczny głos we wszystkich kwestiach dotyczących żeglugi — nie zaprzeczę, chociaż to nie jest bynajmniej to samo popłynąć blisko, a popłynąć daleko. Gdy podczas podróży na wyspę Tabor zagrażały nam nieprzyjazne wiatry, przynajmniej wiedzieliśmy, że z jednej i z drugiej strony mamy niedaleko do portu, ale tysiąc dwieście mil do przebycia to kawał drogi, a najbliższy ląd leży co najmniej w tej odległości.

— Czy w takim razie, Pencroffie, nie zaryzykowałby pan takiej wyprawy? — zapytał reporter.

— Zaryzykuję wszystko, czego będzie trzeba, panie Spilett — odparł marynarz. — Wie pan, że nie jestem człowiekiem, który cofa się przed niebezpieczeństwem.

— Nie zapominajmy zresztą i o tym, że mamy teraz wśród nas jednego marynarza więcej — zauważył Nab.

— Kogo? — zapytał Pencroff.

— Ayrtona.

— To prawda — odparł Harbert.

— Jeżeli zechce popłynąć z nami — zauważył Pencroff.

— Też coś! Czy sądzi pan, że gdyby jacht lorda Glenarvana przybił do wyspy Tabor wówczas, gdy Ayrton jeszcze się na niej znajdował, to on odmówiłby jej opuszczenia?

— Zapominacie, przyjaciele — powiedział na to Cyrus Smith — że Ayrton w ostatnich latach swojego pobytu na wyspie nie był w pełni władz umysłowych. Ale to nieistotne. Ważne jest raczej to, czy rozważając możliwości naszego ocalenia, możemy liczyć na powrót tego szkockiego statku. Otóż lord Glenarvan obiecał Ayrtonowi, że powróci po niego, kiedy uzna, że już dostatecznie odpokutował za swe zbrodnie, a ja wierzę, że powróci.

— A ja dodam, że powróci niebawem — powiedział reporter. — Przecież Ayrton pokutuje już dwanaście lat!

— Zgadzam się z wami, że lord powróci, i to wkrótce — odparł Pencroff. — Ale w takim razie dokąd się uda? Na wyspę Tabor, a nie na Wyspę Lincoln.

— Tym bardziej, że Wyspa Lincoln nie ma nawet na mapie — odparł Harbert.

— Dlatego też — powiedział inżynier — musimy podjąć odpowiednie środki, żeby na wyspie Tabor było wiadomo, że razem z Ayrtonem znajdujemy się na Wyspie Lincoln.

— Oczywiście — odparł reporter. — Nic łatwiejszego, jak w tej chacie, w której mieszkał kapitan Grant, a później Ayrton, zostawić wskazówkę o położeniu geograficznym naszej wyspy. Lord Glenarvan i jego ludzie na pewno ją znajdą.

— Wielka szkoda — odezwał się marynarz — że zapomnieliśmy to zrobić podczas naszej pierwszej podróży na wyspę Tabor.

— A dlaczego mielibyśmy to wtedy zrobić? — odparł Harbert. — Przecież nie znaliśmy jeszcze wówczas historii Ayrtona, nie wiedzieliśmy o tym, że kiedyś po niego przypłyną. Gdy się o tym dowiedzieliśmy, pora roku była już zbyt późna, żebyśmy mogli powtórnie popłynąć na wyspę Tabor.

— Tak — odparł Cyrus Smith — było już za późno, trzeba odłożyć tę podróż do przyszłej wiosny.

— A jeśli tymczasem szkocki jacht przypłynie? — zapytał Pencroff.

— Bardzo w to wątpię — odparł inżynier. — Lord Glenarvan nie wybrałby pory zimowej, aby wypuszczać się na tak dalekie morza. Albo więc był już na wyspie Tabor w ciągu tych pięciu miesięcy, w czasie których Ayrton jest z nami, i odpłynął z powrotem, albo przybędzie dopiero później, a wtedy mamy czas, żeby w pierwszych pogodnych dniach października wybrać się na wyspę Tabor i zostawić tam notatkę.

— Trzeba przyznać — powiedział Nab — że byłby to dla nas bardzo niepomysłny zbieg okoliczności, gdyby „Duncan” w ciągu ostatnich kilku miesięcy odwiedził już te morza.

— Mam nadzieję, że tak nie było — odparł Cyrus Smith — i że Niebo nie pozbawiło nas najpewniejszej szansy wybawienia, jaka nam pozostała.

— Sądzę — powiedział reporter — że w każdym razie po przybyciu na wyspę Tabor będziemy wiedzieli, czego się trzymać, jeśli bowiem Szkoci już tam byli, to niewątpliwie musieli zostawić ślady swojego pobytu.

— Bez wątpienia — odparł inżynier. — Ponieważ więc, przyjaciele, pozostała nam jeszcze taka możliwość powrotu do ojczyzny, czekajmy cierpliwie, a gdyby się okazało, że nas ominęła, wtedy zastanowimy się, co robić dalej.

— W każdym razie — powiedział Pencroff — rozumie się, że jeśli w ten czy w inny sposób opuścimy Wyspę Lincolna, to nie dlatego, że nam tu źle.

— Nie, Pencroffie — odparł inżynier — ale dlatego, że jesteśmy tu z dala od wszystkiego, co człowiek kocha najbardziej na świecie: od rodziny, od przyjaciół i od kraju ojczystego.

Po podjęciu tych decyzji nie było odtąd mowy o budowie statku tak dużego, by można było na nim wyruszyć bądź to na północ, aż do archipelagów, bądź na zachód, aż do Nowej Zelandii. Koloniści zajmowali się zwykłymi zajęciami, związanymi z przygotowaniem do zbliżającej się trzeciej z kolei zimy, którą mieli spędzić w Granitowym Pałacu.

Niemniej jednak postanowiono przed rozpoczęciem się zimowej niepogody skorzystać ze słupa i opłynąć wyspę dookoła. Dotychczas nie zbadano jeszcze dokładnie wszystkich wybrzeży i koloniści mieli bardzo niejasne wyobrażenie o tym, jak wygląda wybrzeże zachodnie i północne, od ujścia Rzeki Wodospadu do Przylądków Szczęk, a także wąska zatoka wznająca się między nie niczym paszcza rekina.

Projekt tej wyprawy zaproponował Pencroff, a Cyrus Smith udzielił pełnego poparcia, gdyż sam chciał obejrzeć tę część ich posiadłości.

Pogoda była zmienna, ale barometr nie robił zbyt gwałtownych skoków, więc można się było spodziewać znośnych warunków atmosferycznych. Właśnie w pierwszym tygodniu kwietnia, po dużym spadku barometrycznym, silny wiatr zachodni, wiejący pięć czy sześć dni, zapoczątkował ponowny wzrost. Następnie wskazówka instrumentu stanęła, wskazując dwadzieścia dziewięć i dziewięć dziesiątych cala (759,45 mm) i te warunki uznano za sprzyjające wyprawie.

Dzień odpłynięcia wyznaczono na 16 kwietnia, a „Bonawenturę”, stojącego na kotwicy w Przystani Balonowej, zaopatrzono na drogę, która mogła potrwać dłuższy czas.

Cyrus Smith uprzedził Ayrtona o zamierzonej wyprawie i zaproponował mu, by wziął w niej udział. Ponieważ jednak Ayrton wolał zostać na lądzie, postanowiono, aby na czas nieobecności towarzyszy zamieszkał w Granitowym Pałacu. Towarzystwa miał mu do trzymywać pan Jup, który zresztą się temu nie sprzeciwiał.

16 kwietnia rano koloniści w towarzystwie Topa wsiedli na stateczek. Wiał dość silny wiatr z południowego zachodu i „Bonawentura”, wypływając z Przystani Balonowej, musiał lawirować, aby się dostać do Jaszczurczego Cypla. Z dziewięćdziesięciu mil obwodu wyspy około dwadzieścia przypadało na południowe wybrzeże, od portu do cypla.

Te dwadzieścia mil trzeba było przepłynąć jak najbliżej lądu ze względu na bardzo silny wiatr.

Dotarcie do cypla zajęło cały dzień, gdyż statek po wypłynięciu z portu mógł tylko przez dwie godziny korzystać odpływu, natomiast przez kolejnych sześć godzin musiał walczyć z utrudniającym żeglugę przyływem. Dlatego zanim opłynęli cypel, zapadła już noc.

Pencroff zaproponował inżynierowi, żeby płynąć dalej powoli, z żaglem na dwóch refach. Cyrus Smith wołał jednak rzucić kotwicę o kilka kabli od lądu, by ponownie obejrzeć tę część wybrzeża w ciągu dnia. Koloniści uzgodnili, że ponieważ celem wyprawy było szczegółowe zbadanie wybrzeży wyspy, to nie będą płynąć nocą, ale wieczorem będą rzucać kotwicę w pobliżu lądu, jeśli tylko pogoda na to pozwoli.

Noc minęła na kotwicy w pobliżu cypla. Mgła opadła, wiatr ustał i w powietrzu panowała cisza. Pasażerowie, z wyjątkiem marynarza, spali może mniej smacznie na pokładzie „Bonawentury” niż w pokojach Granitowego Pałacu, ale jakoś spali.

Nazajutrz, 17 kwietnia, Pencroff skoro świt rozwinął żagle i korzystając umiejętnie z wiatru, prowadził statek prawie przy samych brzegach.

Koloniści znali już dobrze to wspaniałe, lesiste wybrzeże, gdyż przebyli je pieszo, lecz mimo to znowu wzbudzało w nich zachwyt. Zmniejszyli szybkość i podpłynęli tak blisko do brzegu, jak tylko było można, żeby móc wszystko dokładnie obejrzeć, uważając jednocześnie, by nie zawadzić o któryś z pływających tu i ówdzie pni drzew. Kilkakrotnie nawet zarzucali kotwicę, a Gedeon Spilett robił zdjęcia tych wspaniałych okolic.

Okolo południa „Bonawentura” przybył do ujścia Rzeki Wodospadu. Na jej prawym brzegu ponownie widać było drzewa, ale rosnące rzadziej, a o trzy mile dalej tworzyły one już tylko pojedyncze kępy rozrzucone pomiędzy zachodnimi pasmami góry, której nagi grzbiet ciągnął się do samego brzegu oceanu.

Co za kontrast między południowym a północnym wybrzeżem wyspy! Jedno lesiste i pokryte bujną zielonością, drugie jałowe i dzikie. Wyglądało zupełnie jak jedno z tych „żelaznych wybrzeży”, jak je nazywają w niektórych krajach, a jego konwulsyjnie wykrzywione kształty zdawały świadczyć o tym, że w odległych epokach geologicznych nastąpiła tu nagła krystalizacja roztopionego bazaltu. Spiętrzenie głazów wyglądało tak straszliwie, że gdyby los wyrzucił rozbitków najpierw na ten brzeg wyspy, na pewno byliby przerażeni. Ze szczytu Góry Franklina nie mogli dostrzec ponurego obrazu tego wybrzeża, gdyż patrzyli na nie ze zbyt dużej wysokości, lecz od strony morza widok był tak niesamowity, że podobnego nie znalazłoby się chyba nigdzie na świecie.

„Bonawentura” płynął w odległości pół mili od brzegu. Łatwo było stwierdzić, że wybrzeże składało się z bloków skalnych różnej wielkości, począwszy od mierzących dwadzieścia stóp wysokości aż do wysokich na trzysta stóp. Miały najrozmaitsze kształty: były wśród nich walcowate jak wieże, w kształcie graniastosłupa jak dzwonnice, piramidalne jak obeliski¹⁵⁰, stożkowe jak kominy fabryczne. Lodowce mórz północnych w swej wspaniałej grozie nie mogły mieć dziwniejszych kształtów. Tu wisiał jakby most przetrzucony z jednej skały na drugą, ówdzie rysowały się potężne łuki, jakby w nawie kościelnej, których szczytu nie dało się osiągnąć wzrokiem; w jednym miejscu widać było olbrzymie pieczary o monumentalnych sklepieniach, w innym znów jeżył się istny las iglic, wieżyczek i strzałek, jakiego nie znajdzie się w żadnej katedrze gotyckiej. Najkapsyśnieszce wymysły natury, stokroć dziwniejsze i bardziej różnorodne, niż zdołałaby wytworzyć ludzka wyobraźnia, składały się na to wspaniałe wybrzeże, ciągnące się na przestrzeni ośmiu czy dziewięciu mil.

Cyrus Smith i jego towarzysze spoglądali na nie z wyrazem zdumienia graniczącego z osłupieniem. Milczeli wszyscy, tylko Top, nie troszcząc się o to, co się wokół niego działo, poszczekiwiał głośno, a jego szczekaniu odpowiadały tysięcznym echem bazaltowe skały. Inżynier zauważył nawet, że ujadanie to było jakieś dziwne, podobne jak przy otworze studni w Granitowym Pałacu, i powiedział:

— Przybijmy do brzegu.

¹⁵⁰obelisk — czworościenny, zwężający się ku górze słup zakończony ostrosłupem (piramidką), charakterystyczny element architektury starożytnego Egiptu; obeliski stawiano parami przed wejściami do świątyń. [przypis edytorski]

„Bonawentura” zbliżył się jak można było najbardziej do nadbrzeżnych skał. Być może znajdowała się między nimi jakaś jaskinia, którą należało zbadać? Ale Cyrus Smith nie dostrzegł żadnej jaskini ani szczeliny, która mogłaby służyć jakimkolwiek stworzeniu za schronienie, gdyż skały wynurzały się z wody. Wkrótce Top przestał szczekać i statek oddalił się znów o kilka kabli od brzegów.

W północno-zachodniej części wyspy wybrzeże stało się znowu płaskie i piaszczyste. Gdzieś tam na bagnistej nizinie, którą przedtem już poznali koloniści, rosły pojedyncze drzewa. W przeciwieństwie do tamtej, opustoszałej okolicy tę ożywiały miriady¹⁵¹ morskiego ptactwa.

Wieczorem „Bonawentura” rzucił kotwicę w lekkim wgłębieniu, które tworzył w tym miejscu brzeg, na północnym krańcu wyspy tuż przy lądzie, ponieważ morze było tu dość głębokie. Noc upłynęła w miarę spokojnie, gdyż wiatr zamierał z ostatnim promieniem słońca i ożywał się na nowo dopiero z pierwszym brzaskiem dnia.

Ponieważ łatwo było wylądować, więc tego poranka najlepsi myśliwi kolonii, Harbert z Gedeonem Spilettem, wyszli na dwugodzinną przechadzkę, z której powrócili obciążeni dzikimi kaczkami i bekasami. Top dokazywał cudów i dzięki jego gorliwości i zręczności nie przepadła ani jedna sztuka zwierzyny.

O ósmej rano „Bonawentura” rozwinął żagle i pomknął w kierunku Północnego Przylądka Szczęki, gdyż wiatr wiał od rufy i stawał się coraz silniejszy.

— Zresztą nie dziwiłbym się wcale — powiedział Pencroff — gdyby się zerwał wicher od zachodu. Wczoraj słońce zaszło czerwono na horyzoncie, a dziś rano te białe smugi na niebie nie wróżą także nic dobrego.

Te białe smugi, o których wspominał Pencroff, zwane fachowo *cirrusami*, snują się tu i ówdzie w górnej części nieba, nie schodząc na wysokość mniejszą niż pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Wyglądają jak lekkie strzępki waty i zwykle zapowiadają pogorszenie pogody.

— Rozwińmy więc wszystkie żagle, jakie tylko mamy, i szukajmy schronienia w Zatoce Rekinów — powiedział Cyrus Smith. — Sądzę, że „Bonawentura” będzie tam bezpieczny.

— Najzupełniej — odparł Pencroff. — Zresztą północne wybrzeże składa się z samych tylko piaszczystych wydm, zupełnie nieciekawych.

— Nie miałbym nic przeciwko temu — dodał inżynier — żebyśmy spędzili w tej zatoce nie tylko noc, ale i cały jutrzejszy dzień, gdyż warto ją starannie zbadać.

— Sądzę, że chcąc nie chcąc będziemy do tego zmuszeni — odparł Pencroff. — Od zachodu niebo zaczyna wyglądać groźnie. Niech pan spojrzy, jak się zaciąga chmurami!

— W każdym razie mamy pomyślny wiatr dla żeglugi do Przylądka Szczęki — zauważył reporter.

— Świetny wiatr — odparł marynarz — ale żeby wejść do zatoki, trzeba będzie lawirować, więc wolalbym to zrobić za dnia, bo zupełnie nie znam tych wód.

— Wód, które są pewnie usiane rafami — dodał Harbert — sądząc z tego, co widzieliśmy przy południowych brzegach Zatoki Rekinów.

— Pencroffie — powiedział na to Cyrus Smith — niech pan robi, jak pan uważa, że będzie najlepiej, zdajemy się na pana.

— Niech pan będzie spokojny, panie Cyrusie — odparł marynarz — nie będę się narażał bez potrzeby. Wolalbym, żeby mnie ktoś dźgnął nożem w mój własny brzuch, niż żeby jakaś rafa przedziurawiła brzuch „Bonawentury”!

Przez „brzuch” rozumiał Pencroff zanurzony w wodzie kadłub swojego statku, o który dbał bardziej niż o własną skórę.

— Która godzina? — zapytał Pencroff.

— Dziesiąta — odparł Gedeon Spilett.

— A jak daleko jeszcze do przylądka, panie Cyrusie?

— Około piętnastu mil — odparł inżynier.

— Potrzeba więc dwie i pół godziny — powiedział marynarz. — Będziemy w pobliżu przylądka między dwunastą a pierwszą. Niestety, o tej godzinie skończy się przyływ i za-

¹⁵¹*miriada* (z gr. *myrias*) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

cznie się odpływ. Obawiam się, że będzie bardzo trudno wejść do zatoki, mając przeciwko sobie wiatr i morze.

— Tym bardziej że mamy dziś pełnię — dodał Harbert — a te przyprływy i odpływy kwietniowe bywają bardzo silne.

— A nie mógłby pan, Pencroffie, zakotwiczyć przy cyplu przylądka? — zapytał Cyrus Smith.

— Co? Rzucić kotwicę przy samym lądzie, mając w perspektywie burzę?! — zawołał marynarz. — O czym pan myśli, panie Cyrusie? To by znaczyło dobrowolnie wystawiać statek na pewne rozbicie!

— Więc co pan zrobi?

— Będę się starał wytrwać na pełnym morzu aż do nadejścia przyprływu, czyli do mniej więcej siódmej wieczorem, a jeśli będzie jeszcze widno, spróbuję wejść do zatoki. Gdyby się nie udało, to będziemy się kręcić całą noc po morzu, a do zatoki wejdziemy jutro o wschodzie słońca.

— Powiedziałem już, Pencroffie, że zdajemy się całkowicie na pana — odparł Cyrus Smith.

— Ach! Gdyby na tym wybrzeżu była jakaś latarnia morska, byłoby wygodniej dla żeglarzy! — powiedział Pencroff.

— Tak — odparł Harbert — zwłaszcza że tym razem nie będzie już uprzejmego inżyniera, który by nam zapalił ogień wskazujący drogę do portu.

— Aha, dobrze, że sobie przypomniał, drogi Cyrusie — powiedział Gedeon Spillett. — Jeszcze panu za to nie podziękowaliśmy. Szczerze mówiąc, bez tego ognia nigdy nie zdołalibyśmy wrócić do domu.

— Jakiego ognia? — zapytał Cyrus Smith, mocno zdumiony słowami reportera.

— Chodzi nam o to, panie Cyrusie — odparł Pencroff — że przez kilka ostatnich godzin przed naszym powrotem byliśmy w wielkim kłopotcie na pokładzie „Bonawentury”. Pewnie byśmy minęli wyspę, gdyby pan nie rozpałił tego ognia w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października, na płaskowyżu przy Granitowym Pałacu.

— Tak, tak... To był szczęśliwy pomysł — odparł inżynier.

— A tym razem — dorzucił marynarz — nie będzie nikogo, kto by nam oddał tę małą przysługę, chyba żeby Ayrton wpadł na ten pomysł.

— Tak, nikogo — odparł Cyrus Smith.

W kilka chwil później inżynier, znalazłszy się sam na sam z reporterem na dziobie statku, szepnął mu do ucha:

— Słuchaj, przyjacielu, jeśli jest coś pewnego na świecie, to to, że w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października nie rozpałałem żadnego ognia ani na płaskowyżu w pobliżu Granitowego Pałacu, ani w żadnym innym punkcie wyspy!

ROZDZIAŁ XX

Noc na morzu. — Zatoka Rekinów. — Zwierzenia. — Przygotowania do zimy. — Wczesna zima. — Mrozy. — Prace wewnątrz domostwa. — Po sześciu miesiącach. — Negatyw fotograficzny. — Niespodziewane zdarzenie.

Stało się tak, jak przewidział Pencroff, jego doświadczenie nie mogło go omylić. Wiatr wzmagął się i z bryzy przeszedł w gwałtowny wicher, to znaczy osiągnął prędkość czterdziestu do czterdziestu pięciu mil na godzinę¹⁵². Statek płynący na pełnym morzu musiałby w takiej sytuacji zrefować wszystkie żagle i zwinąć bramsle¹⁵³. Ponieważ „Bonawentura” zbliżył się do zatok około szóstej, gdy trwał odpływ, nie sposób było do niej wpłynąć. Trzeba więc było pozostać na pełnym morzu, gdyż Pencroff, choćby nawet chciał, nie zdołałby dotrzeć do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Wciągnąwszy wobec tego na główny maszt foka jako żagiel sztormowy, czekał spokojnie, utrzymując statek dziobem do lądu.

¹⁵²czterdzieści pięć mil na godzinę — około 83 kilometrów na godzinę. [przypis autorski]

¹⁵³bramsel — prostokątny żagiel zawieszany na trzeciej lub czwartej licząc od pokładu rei (poziomym drzewcu przytwierdzonym do masztu); podczas silnych wiatrów bramsle zwija się. [przypis edytorski]

Na szczęście, pomimo że wicher był bardzo gwałtowny, morze pod osłoną brzegów nie było zbyt wzburzone. Nie obawiano się więc gwałtownych uderzeń bałwanów, bardzo niebezpiecznych dla małych statków. Nie zdołałyby zapewne przewrócić „Bonawentury”, który był dobrze obciążony, niemniej jednak wielkie masy wody, zalewając pokład, mogłyby uszkodzić statek, gdyby poszycie nie wytrzymało. Pencroff jako dobry marynarz był gotowy na wszelkie przypadki. Co prawda miał duże zaufanie do swojego statku, mimo to jednak oczekiwał świtu z pewnym niepokojem.

Przez całą noc Gedeonowi Spilett i Cyrus Smith nie mieli okazji porozmawiać ze sobą, a przecież słowa, które inżynier wyszeptał do ucha reporterowi, zasługiwały na to, aby jeszcze raz zastanowić się nad tą tajemniczą mocą, która zdawała się rządzić na Wyspie Lincoln. Gedeon Spilett bezustannie myślał o tym nowym, niewytłumaczalnym wydarzeniu, o pojawieniu się ognia na wybrzeżu. Przecież sam go widział! Jego towarzysze, Harbert i Pencroff, też go widzieli. Ogień pomógł im rozpoznać położenie wyspy w tę ciemną noc i nie mieli wątpliwości, że rozpałała go ręka inżyniera, a tymczasem Cyrus Smith oświadczył kategorycznie, że nic podobnego nie zrobił!

Gedeon Spilett postanowił po powrocie do domu jeszcze raz zagadnąć o to inżyniera i skłonić go do powiedzenia towarzyszom o tych dziwnych zdarzeniach. Może zdecydowano by się wówczas, żeby wspólnie dokładnie zbadać całą Wyspę Lincoln.

Tak czy owak, tego wieczora na tych nieznanym dotąd brzegach, tworzących wejście do zatoki, nie pojawił się żaden ogień i stateczek całą noc pozostał na pełnym morzu.

Gdy tylko na wschodzie zaświtały pierwsze błyski jutrzeńki, wiatr, który tymczasem powoli się uspokoił, zmienił kierunek o dwa rumbly, co ułatwiło Pencroffowi prześlizgnięcie się przez wąską cieśninę stanowiącą wejście do zatoki. Około siódmej rano „Bonawentura”, wzięwszy kurs na Północny Przylądek Szczęki, wśliznął się ostrożnie w cieśninę, potem wypłynął na wody zatoki, otoczonej malowniczym obramowaniem z zastygłej lawy.

— Oto kawałek morza jakby stworzony na doskonałą przystań — powiedział Pencroff. — Cała flota mogłaby tu swobodnie manewrować!

— Najdziwniejsze — zauważył Cyrus Smith — że tę zatokę utworzyły dwa potoki lawy wyrzuconej przez wulkan i stopniowo nagromadzonej w czasie kolejnych wybuchów. Wskutek tego jest osłonięta ze wszystkich stron i zapewne nawet podczas najgwałtowniejszych burz morze jest tu spokojne jak jezioro.

— Bez wątpienia — odparł marynarz. — Wiatr może się tu wcisnąć tylko przez wąskie gardło pomiędzy dwoma przylądkami, a w dodatku przylądek północny zasłania całkiem południowy, dzięki czemu podmuchy wiatru mają bardzo utrudniony dostęp. Doprawdy, „Bonawentura” mógłby tu sobie stać przez cały rok nawet bez rzucania kotwicy.

— Miałby tu trochę za dużo miejsca — zauważył reporter.

— Ba! Panie Spilett — odparł marynarz — zgadzam się, że dla „Bonawentury” zatoka jest zbyt obszerna, ale gdyby floty Unii potrzebowały bezpiecznego schronienia na Pacyfiku, nie znalazłyby pewnie lepszego niż ta przystań.

— Jesteśmy w paszczy rekina — zauważył Nab, robiąc aluzję do kształtu przystani.

— W samej paszczy, mój poczciwy Nabie — odparł Harbert. — Ale przecież nie boisz się, że się zamknie i nas pożre?

— Nie, panie Harbercie — odparł Nab — ale jednak ta przystań nie bardzo mi się podoba. Jakoś nieprzyjemnie wygląda.

— Masz ci los! — zawołał Pencroff. — Nab krytykuje moją przystań akurat w chwili, kiedy zamierzam złożyć ją w darze Ameryce!

— Ale czy przynajmniej jest tu dość głęboko? — zapytał inżynier. — Bo co wystarczy naszemu „Bonawenturze”, na pewno nie wystarczy naszym pancernikom¹⁵⁴.

— Łatwo się o tym przekonać — odparł Pencroff.

I marynarz wyrzucił za burtę długi sznur z kawałkiem żelaza na końcu, który mu służył za sondę. Sznur miał około pięćdziesięciu sążni długości i rozwinął się aż do końca, nie napotkawszy dna.

¹⁵⁴pancernik — duży, silnie opancerzony i uzbrojony w działa wielkiego kalibru okręt wojenny o napędzie parowym lub turbinowym; pancerniki stanowiły trzon flot wojennych od czasu powstania tego typu okrętów w drugiej połowie XIX w. do okresu II wojny światowej. [przypis edytorski]

— Świetnie! — powiedział Pencroff. — Nasze pancerniki mogą tu zawijać, na pewno nie osiadą na mieliźnie!

— Rzeczywiście, ta zatoka to istna otchłań — powiedział Cyrus Smith. — Ale biorąc pod uwagę wulkaniczne pochodzenie wyspy, nic dziwnego, że dno morskie ma tu takie głębie.

— Wygląda — zauważył Harbert — jakby ściany wybrzeży ktoś wykuli kilofem i sądzę, że u ich podnóży nawet pięcio- czy sześciokrotnie dłuższą sondą Pencroff nie dotarłby do dna.

— Wszystko to pięknie — odezwał się na to reporter — ale muszę zwrócić Pencroffowi uwagę, że jego przystani brakuje jednej bardzo ważnej rzeczy.

— Jakiej to, panie Spilett?

— Jakieś szczeliny w skale czy wyźłobienia, którymi można by się było dostać do wnętrza wyspy. Nie widzę nigdzie miejsca, na którym dałoby się postawić stopę.

Istotnie, na całym obwodzie zatoki, wśród wysokich, stromych bloków lawy, nie było jednego miejsca dogodnego do wylądowania. Była to jedna niedostępna ściana, przypominająca brzegi norweskich fiordów¹⁵⁵, lecz jeszcze bardziej naga i jałowa. „Bonawentura” płynął tak blisko brzegu, że prawie go dotykał, ale jego pasażerowie nigdzie nie dostrzegli najmniejszej występy, który pozwoliłby im zejść na ląd.

Pencroff pocieszał się, mówiąc, że w razie potrzeby można rozsadzić skały za pomocą ładunku wybuchowego, a ponieważ nie było już co robić w zatoce, skierował statek w stronę cieśniny i około drugiej wyprowadził go na morze.

— Uff! — westchnął Nab z ulgą.

Można było naprawdę pomyśleć, że poczciwy Murzyn czuł się nieswojo w tej olbrzymiej paszczy.

Od Przylądka Szczęki do ujścia Rzeki Dziękczynienia było nie więcej niż osiem mil. Statek wziął kurs w kierunku Granitowego Pałacu, płynąc w odległości mili od brzegu. Olbrzymie złomy lawy ustąpiły wkrótce malowniczym piaszczystym wydmom, wśród których w tak niezwykły sposób odnaleziono inżyniera i które odwiedzały setki ptaków morskich.

Okolo czwartej Pencroff, pozostawiając z lewej burty cypel wysepki, wpłynął do cieśniny dzielącej ją od wyspy, a o piątej kotwica „Bonawentury” zaryła się w piasek przy ujściu Rzeki Dziękczynienia.

Minęły trzy dni, odkąd koloniści opuścili swój dom. Ayrton oczekiwał ich na brzegu, a pan Jup wyszedł im naprzeciw, wydając pomruki zadowolenia.

W ten sposób zbadano wybrzeża całej wyspy, nie odkrywając nigdzie żadnych podejrzanych śladów. Jeśli więc mieszkała na niej jakaś tajemnicza istota, to chyba tylko w tych nieprzebranych lasach Półwyspu Wężowego, gdzie jeszcze dotąd nie powstała stopa kolonistów.

Gedeon Spilett rozmawiał o tym z inżynierem i ustalili, że zwrócą uwagę swoich towarzyszy na dziwny charakter niektórych zdarzeń, jakie zaszły na wyspie, z których ostatnie było najbardziej zagadkowe.

Cyrus Smith, wracając do sprawy ognia, który jakaś nieznana ręka zapaliła na wybrzeżu, po raz dwudziesty chyba zapytał reportera:

— Czy jest pan pewny tego, że widział pan ogień? Może to był jakiś częściowy wybuch wulkanu lub meteor?

— Nie, Cyrusie — odparł reporter — to był z pewnością ogień zapalony ludzką ręką. Zresztą proszę zapytać Pencroffa i Harberta. Widzieli to samo co ja i potwierdzą moje słowa.

W wyniku tej rozmowy kilka dni później, 25 kwietnia wieczorem, gdy wszyscy koloniści zbrali się na Płaskowyżu Pięknego Widoku, Cyrus Smith zabrał głos i odezwał się w te słowa:

— Przyjaciele, czuję się w obowiązku zwrócić waszą uwagę na pewne wydarzenia, które zaszły na naszej wyspie i o których chciałbym zasięgnąć waszego zdania. Wydarzenia te są, że się tak wyrażę, nadprzyrodzone...

¹⁵⁵*fiord* — głęboka zatoka morska mocno wrzynająca się w ląd, mająca strome, skaliste zbocza; fiordy tworzą wybrzeża Norwegii oraz Szkocji, Grenlandii, Islandii i in. [przypis edytorski]

— Nadprzyrodzone! — zawołał marynarz, puszczając z fajki kłęb dymu. — To może nasza wyspa też jest nadprzyrodzona?

— Nie, Pencroffie, ale z pewnością tajemnicza — odparł inżynier. — Chyba że pan potrafiłby wytłumaczyć to, czego ani ja, ani Spilett dotychczas nie potrafiliśmy zrozumieć.

— Proszę mówić, panie Cyrusie — odparł marynarz.

— Dobrze więc! Czy rozumie pan — ciągnął dalej inżynier — jak to możliwe, że po tym, jak wpadłem do morza, zostałem znaleziony w głębi wyspy o ćwierć mili od brzegu, nie wiedząc sam, jak się tam dostałem?

— Może w stanie nieświadomości... — powiedział Pencroff.

— Nie, to niemożliwe — odparł inżynier. — Idźmy dalej. Czy wie pan, w jaki sposób Top zdołał odszukać wasze schronienie o pięć mil od miejsca, w którym leżałem?

— Wrodzony instynkt psa... — odparł Harbert.

— Osobliwy instynkt! — powiedział reporter. — Przecież pomimo wiatru z deszczem, jaki szalał tamtej nocy, Top przybył do Kominów całkiem suchy i niezablocony!

— Idźmy dalej — powiedział inżynier. — Czy rozumie pan, w jak to się stało, że nasz pies tak dziwnie został wyrzucony z jeziora po walce z diugoniem?

— Nie, nie bardzo, przyznaję — odparł Pencroff. — Trudno też wyjaśnić pochodzenie rany na boku diugonia, która wyglądała na zadaną jakimś ostrym narzędziem.

— Idźmy jeszcze dalej — powiedział Cyrus Smith. — Czy rozumiecie, przyjaciele, w jaki sposób w ciele młodego pekari znalazło się ziarnko śrutu; w jaki sposób skrzynia została tak szczęśliwie wyrzucona na brzeg, pomimo że nigdzie nie było śladu po rozbitym statku; w jaki sposób butelka zawierająca dokument wtedy, gdy po raz pierwszy wyruszyliśmy na morze, nadpłynęła ku nam jakby na zawołanie; w jaki sposób nasze czołno urwało się z uwięzi i przypłynęło samo z prądem rzeki właśnie w chwili, gdy go potrzebowaliśmy; w jaki sposób podczas najazdu małp drabina tak szczęśliwie zsunęła się na dół z okna Granitowego Pałacu; w jaki sposób wreszcie dokument, którego Ayrton, jak twierdzi, nigdy nie pisał, dostał się w nasze ręce?

Cyrus Smith wyliczył wszystkie zadziwiające zdarzenia, jakie zaszły na wyspie, nie zapominając żadnego. Harbert, Pencroff i Nab patrzyli po sobie, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, gdyż cały ten szereg wydarzeń, po raz pierwszy w ten sposób zestawionych, zaskoczył ich nadzwyczajnie.

— Na honor! — powiedział wreszcie Pencroff. — Ma pan rację, panie Cyrusie. Trudno to wszystko wytłumaczyć.

— Otóż, przyjaciele — ciągnął dalej inżynier — do tych wypadków dołączył teraz nowy, równie niepojęty fakt.

— Jaki, panie Cyrusie? — zapytał żywo Harbert.

— Mówi pan, Pencroffie — ciągnął dalej inżynier — że gdy wracaliście z wyspy Tabor, ujrzeliście ogień na Wyspie Lincolna?

— Nie inaczej — odparł marynarz.

— Czy jest pan pewny, że widział pan ten ogień?

— Tak, jak pana widzę.

— I ty także, Harbercie?

— Ach, panie Cyrusie — zawołał Harbert — przecież ten ogień jaśniał jak gwiazda pierwszej wielkości!

— A może to rzeczywiście była gwiazda? — zapytał inżynier.

— Nie — odparł Pencroff — bo całe niebo było zakryte gęstymi chmurami, a gwiazda w żadnym razie nie świeciłaby tak nisko nad horyzontem. Przecież pan Spilett widział to samo co my i może potwierdzić nasze słowa!

— Muszę dodać — powiedział reporter — że światło było bardzo jaskrawe i przypominało strugę światła elektrycznego.

— Tak! Tak! Właśnie... — odparł Harbert. — I świeciło z pewnością gdzieś z wysokości Granitowego Pałacu.

— Otóż, przyjaciele — odparł Cyrus — w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października ani ja, ani Nab nie rozpaliliśmy żadnego ognia na wyspie.

— Jak to? Nie zapalaliście?!... — zawołał Pencroff w najwyższym zdumieniu, które nie dało mu nawet dokończyć zdania.

— Nie wychodziliśmy wcale z Granitowego Pałacu — odparł Cyrus Smith — a jeśli na wybrzeżu pojawił się ogień, to musiała go zapalić jakaś inna ręka.

Pencroff, Harbert i Nab stali osłupieni. Nie było mowy o żadnym złudzeniu, na własne oczy widzieli płonące światło w nocy z 19 na 20 października.

Tak! Musieli zgodzić się, że istniała tu jakaś tajemnica! Na Wyspie Lincolna działała widocznie jakaś zagadkowa moc, sprzyjająca kolonistom, lecz mocno drażniąca ich ciekawość. Czyżby w najskrytszych zakątkach wyspy ukrywała jakaś istota? O tym koniecznie należało się przekonać!

Cyrus Smith przypomniał towarzyszom, z jakim dziwnym niepokojem Top i Jup krążyli dokoła otworu studni łączącej Granitowy Pałac z morzem, i oznajmił im, że badał tę studnię, ale nie odkrył w niej nic podejrzanego. Rezultatem tej rozmowy było postanowienie powzięte jednomyślnie przez wszystkich członków kolonii, aby po nadejściu wiosny przeszukać bardzo dokładnie całą wyspę.

Od tego dnia Pencroff stał się niespokojny. Miał wrażenie, że wyspa, którą dotąd uważał za swoją osobistą własność, nie należy już całkowicie do niego i że musi ją dzielić z innym właścicielem, któremu na dodatek, chcąc nie chcąc, czuł się podległy. Często rozmawiał z Nabem o tych wszystkich zdarzeniach i obaj, będąc z natury skłonni do wiary w cuda, byli prawie przekonani, że Wyspa Lincolna znajduje się w mocy jakichś sił nadprzyrodzonych.

Tymczasem w maju, któremu na półkuli północnej odpowiada listopad, nadeszły słotne dni. Wszystko zapowiadało ostrą i wczesną zimą, toteż niezwłocznie rozpoczęto prace związane z przygotowaniem się do zimowania.

Zresztą teraz koloniści mogli przetrzymać choćby najostrzejszą zimą. Nie brakowało im ubrań z filcu, a muffony, już bardzo liczne, dostarczyły obficie wełny potrzebnej do wyrobu ciepłych tkanin.

Ayrtona oczywiście także zaopatrzone w wygodną i ciepłą odzież. Cyrus Smith zaproponował mu, żeby zimą spędził razem z nimi w Granitowym Pałacu, gdzie mu będzie lepiej niż w zagrodzie, i Ayrton obiecał, że się przeniesie, kiedy tylko skończy ostatnie prace w zagrodzie. Stało się to w połowie kwietnia. Odtąd Ayrton mieszkał razem z kolonistami i przy każdej okazji okazywał się przydatny. Zawsze jednak był pokorny i smutny i nie brał udziału w rozrywkach swoich towarzyszy.

Większą część trzeciej z kolei zimy spędzanej na Wyspie Lincolna koloniści przesiedzieli zamknięci w Granitowym Pałacu. Cały czas szalały straszliwe burze i wichry, które zdawały się wstrząsać skałami w posadach. Wzburzone fale przyływu zagrażały zalaniem całej wyspy i z pewnością statek, który zakotwiczyłby w pobliżu lądu, przepadłby wraz z całym ładunkiem i załogą. Dwukrotnie podczas jednej z tych nawałnic Rzeka Dziękczynienia wezbrała do tego stopnia, że obawiano się, by nie pozrywała mostów, a nawet trzeba było wzmocnić mostki na wybrzeżu, które całkiem zalewała woda, gdy morze biło o brzegi.

Łatwo się domyślić, że te straszliwe huragany, podobne do trąb powietrznych, zmieszane z deszczem i śniegiem, wyrządziły niemałe szkody na Płaskowyżu Pięknego Widoku. Najbardziej ucierpiał młyn i ptaszarnia. Koloniści musieli często dokonywać tam pilnych napraw, gdyż inaczej życie ptactwa byłoby poważnie zagrożone.

Podczas tej niepogody parę jaguarów i gromady małp zapędziły się aż na skraj płaskowyżu i ciągle trzeba się było obawiać, aby najzwinniejsze i najśmielsze z nich, pędzone głodem, nie przedostały się przez potok, który po zamarnięciu stawał się łatwy do przebycia. Gdyby nie stałe pilnowanie, plantacje i zwierzęta domowe z pewnością uległyby zagładzie. Często trzeba było odstraszać wystrzałami niebezpiecznych intruzów, żeby utrzymać ich w przyzwoitej odległości. Toteż kolonistom nie brakowało zajęć, gdyż oprócz pracy poza domem, zawsze było coś do zrobienia w samym Granitowym Pałacu.

Podczas wielkich mrozów kilka razy urządzono wspaniałe polowania na wielkich Bagnach Kazarek. Gedeon Spilett i Harbert, korzystając z pomocy Jupa i Topa, nie zmarnowali ani jednego strzału, polując wśród chmary dzikich kaczek, bekasów, cyranek, rożeńców i czajek. Dostęp do tych pełnych ptactwa terenów był łatwy — bądź to drogą do Przystani Balonowej po przejściu przez most na Rzece Dziękczynienia, bądź też dookoła głazów Cypla Znaleziska. Myśliwi nigdy więc nie oddalali się od Granitowego Pałacu o więcej niż dwie czy trzy mile.

Tak upłynęły cztery miesiące tej surowej zimy, to jest czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Ogólnie rzecz biorąc, Granitowy Pałac nie ucierpiał zbyt podczas niepogody, podobnie jak zagroda, mniej odkryta od płaskowyżu i w znacznej części osłonięta Górą Franklina. Docierały do niej tylko ostatnie podmuchy wichru, który rozbijał się wcześniej o lasy i wysokie skały wybrzeża. Szkody nie były więc znaczne, a zręczne i pracowite ręce Ayrtona szybko je naprawiły, gdy w drugiej połowie października powrócił na kilka dni do zagrody.

W czasie zimy nie wydarzył się żaden nowy zagadkowy wypadek. Nie stało się nic niezwykłego, pomimo że Pencroff z Nabem wręcz czatowali na najmniej znaczące fakty, żeby móc je przypisać jakiejś tajemniczej przyczynie. Nawet Top i Jup nie krążyli już wokół studni i nie zdradzali żadnego niepokoju. Zdawało się zatem, że seria nadprzyrodzonych wypadków została przerwana, chociaż często rozmawiano o nich wieczorami w Granitowym Pałacu i podtrzymywano postanowienie przeszukania całej wyspy, nawet najbardziej niedostępnych zakamarków. Jednak zdarzenie największej wagi, które mogło mieć zgubne następstwa, nagle odwróciło Cyrusa Smitha i jego towarzyszy od tych planów.

Było to w październiku. Wiosna zbliżała się szybkimi krokami. Natura odżywała pod wpływem promieni słonecznych, a między wiecznie zielonymi drzewami iglastymi, które tworzyły obramowanie lasu, zaczęły się pojawiać świeże listki na wiązowcach, banksjach i cedrach himalajskich.

Przypominamy sobie zapewne, że Gedeon Spilett i Harbert nieraz robili zdjęcia rozmaitych okolic Wyspy Lincoln.

Otóż 17 października, około trzeciej po południu, Harbert, zwabiony piękną pogodą, wpadł na pomysł, żeby sfotografować całą Zatokę Stanów Zjednoczonych, rozciągającą się naprzeciw Płaskowyżu Pięknego Widoku od Przylądka Szczęki aż do Przylądka Szponu.

Horyzont rysował się ze wspaniałą czystością, morze, lekko kołysane wietrzykiem, wyglądało w oddali na nieruchome jak jezioro, tu i ówdzie tylko migocząc złocistymi cętkami.

Harbert umieścił aparat w jednym z okien dużej sali Granitowego Pałacu, tak że obiektyw obejmował całe wybrzeże wraz z zatoką. Jak zwykle zrobił zdjęcie, a potem poszedł utrwalić naświetlony negatyw w ciemnym zakątku Granitowego Pałacu, gdzie przechowywał odczynniki.

Kiedy powrócił i przyjrzał się dokładnie negatywowi pod światło dostrzegł na nim malutką, ledwie widoczną plamkę na samym horyzoncie. Kilka razy próbował wypłukać negatyw, żeby się jej pozbyć, ale to nie pomogło.

„To zapewne jakaś wada w szkłe” — pomyślał.

Z ciekawości postanowił ją zbadać za pomocą silnej soczewki, którą wyjął z lunety.

Ale gdy tylko spojrział, wydał głośny krzyk, a płytka negatywu omal nie wypadła mu z ręki.

Pędem pobiegł do pokoju, w którym znajdował się Cyrus Smith, podał inżynierowi negatyw wraz z soczewką i wskazał malutką plamkę.

Cyrus Smith obejrzał punkcik, po czym chwycił lunetę i podbiegł do okna.

Powoli przesunął lunetę, przeszukując horyzont, w końcu zatrzymał ją na podejrzanym punkcie. Opuścił ją i wypowiedział tylko jedno słowo:

— Statek!

Istotnie, z Wyspy Lincoln widać było statek.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/verne-tajemnicza-wyspa-tom-ii/>

Tekst opracowany na podstawie: Jules Gabriel Verne, Tajemnicza wyspa, Nakładem księgarni Seyfartha i Czajowskiego, Lwów 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Kotwica Wojciech, Michał Bień, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5597-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.